

ANDRZEJ PILIPIUK

KSIEŻNICZKA

2004

TMN

Rozdział I

Każde miasto ma swoje tajemnice. Mniejsze i większe, ponure i weselsze. Kraków nie jest wyjątkiem od tej reguły. Gdzieś w okolicy kościoła św. Trójcy tkwią, przykryte kolejnymi warstwami błota, śmieci i bruku, fragmenty pogańskich posągów. Pod nawierzchnią ulicy Dominikańskiej spoczywają prochy mieszkańców miasta – drogę wytyczono, niszcząc stary cmentarz. Podziemia dawnych kupieckich domów ciągną się w nieskończoność, a prace renowacyjne co i rusz pozwalają odkryć nieznane przejścia oraz komory. Remontując wiekowe kamieniczki, konserwatorzy nieoczekiwanie znajdują malowane drewniane stropy z XVI wieku czy wątki murów starsze o kolejne stulecia...

Oczywiście gród Kraka posiada w duszy naprawdę mroczne zakamarki. Jeśli nie zabraknie wam odwagi, rzucimy sobie okiem na jeden z nich. Opodal dworca PKS-u, wzdłuż pewnej ulicy ciągnie się wysoki, otynkowany mur. Nad jego koroną widać gałęzie drzew. Zapewne po drugiej stronie jest park lub ogród. Jediną drogę do środka stanowi furtka ze stalowej blachy, zaopatrzona w mały wizjerek. Furtka jest zawsze zamknięta. Wygląda jakby zarosła rdzą na amen. To jednak tylko pozory, wystarczy powąchać zawiasy, by poczuć delikatną, charakterystyczną woń towotu.

Zagadkowa posesja nie posiada tabliczki z numerem – jeśli mam być szczery, w ogóle nie posiada numeru. Gdy na początku XIX wieku zabudowywano położone w okolicy parcele, właściciel uznał, że im trudniej będzie do niego trafić, tym lepiej. Oczywiście Kraków, jak każde miasto, jest wymierzony z dokładnością co do milimetra, a każdy centymetr kwadratowy został uwzględniony w stosownych wykazach niezbędnych dla wyliczenia podatku gruntowego.

Zajdźmy więc do hipoteki i zbadajmy księgi wieczyste. Niestety, to także nic nam nie da. Interesująca nas posesja nie figuruje w aktach. Przez dwieście lat nikt nie odnotował jej istnienia. Zrozumiałe jest, że tak dużego budynku nie można całkowicie ukryć. Zajrzyjmy więc do planu zagospodarowania przestrzennego. No i wreszcie nasze poszukiwania przynoszą konkretne rezultaty. Parcela za murem jest zewidencjonowana i, co więcej, posiada swój numer. Sięgnijmy zatem do odpowiednich akt. A tu – figa. Działki o takim numerze po prostu nie ma w wykazie.

Kto zatem uiszcza należny podatek? Przejdźmy się do urzędu gminy. W tutejszych aktach działka o takim numerze figuruje. Opisano ją jako plac składu, własność armii cesarstwa

austro-węgierskiego. Dziwne? Nic podobnego, zwykły bałagan w papierach. Przez ostatnie osiemdziesiąt lat nikt tej informacji nie poprawił, a zatem jest to jedna z tysięcy parceli, będących własnością Skarbu Państwa. Ponieważ zaś państwo samo nie wie, co posiada, urzędnicy nigdy nie wpadli na trop stojącej na tymże terenie samowoli budowlanej oraz zamieszkujących ją ludzi.

Na usprawiedliwienie biurokratów należy powiedzieć, że ich poprzednicy przez minione dwieście lat również nigdy nie sprawdzili, czy armia faktycznie wykorzystuje ten plac zgodnie z przeznaczeniem. Z drugiej strony, wojsko nie ma pojęcia, że posiada coś takiego – po prostu w wykazach Agencji Mienia Wojskowego taki obiekt nie figuruje.

Już powyższe poszlaki wskazują na to, że mieszka tam ktoś wyjątkowo sprytny i dobrze obznajomiony nie tylko z procedurami obowiązującymi w urzędach, ale i z mentalnością ich pracowników... Samo ustalenie, że działka istnieje i posiada swój numer, zajęło nam sporo czasu. Próba znalezienia jej właściciela zaprowadziła donikąd. Lenistwo urzędników dawno już stało się kanwą przysłów ludowych, więc zagadkowej posesji od tej strony nic nie grozi.

Dom, zabezpieczony przed wścibstwem bliźnich, przetrwał wszystko: rozbiory, bombardowania, hitlerowców, komunistów, socjalistów. Kapitalizm też zapewne przetrwa.

Owszem, zdarzało się parę razy, że różni ludzie usiłowali zakłócić spokój domostwa i jego mieszkańców. W czasie wojny kilku gestapowców postanowiło, ot tak, sprawdzić, co dzieje się za murem. Załomotali w metalową furtkę, nie załując kułaków i buciorów. Zostali grzecznie wpuszczeni do środka, po czym drzwiczki zatrzasknięto. Co stało się z nadgorliwymi pacholkami Adolfa, dokładnie nie wiadomo, ale zapewne nic dobrego, bowiem nigdy nie wrócili do rodzinnej Koblencji. Zaraz po wojnie czterej milicjanci postanowili przeprowadzić rewizję w domu za murem. Mieli wyjątkowego pecha. Właśnie wyważali drzwi łomem, gdy zza rogu wypadła rozpędzona ciężarówka. Wnęka przy bramce okazała się zbyt płytka. Sprawcy śmiertelnego wypadku nigdy nie odnaleziono. Spokój domu nie został naruszony.

Każdy z miejsca uzna, że to przecież bzdura. Najmniejszy nawet budynek musi być podłączony do magistrali energetycznych, gazociągu, wodociągu, kanalizacji, telefonu... A figę. Kto tak powiedział? Sięgnijmy do planów. Rura z wodą, biegnąca w kierunku dworca, ciągnie się wzdłuż muru zagadkowej posesji. Widocznie kładący ją w 1907 roku robotnicy nie zastali nikogo, kto otworzyłby im furtkę, i zdecydowali się zmarnować dodatkowych kilkadziesiąt metrów materiału. Podobnie kilkanaście lat później postąpili energetycy, z tym, że ominęli zamkniętą parcelę od drugiej strony. Gazu nigdy tu nie było. A zagadkowi lokatorzy najwyraźniej nigdy nie odczuli potrzeby posiadania telefonu. Zresztą jak niby mieliby sobie załatwić podłączenie do sieci, skoro ich dom z urzędniczego punktu widzenia praktycznie nie istnieje?

Kto mieszka w środku? Spokojnie, pogadamy sobie i o tym...

* * *

Monika Stiepankovic, gdy czuje się bezpieczna, śpi bardzo mocno i głęboko. Ulokowała się w saloniku Stanisławy pod komputerem. Na podłogę rzuciła skórę z renifera. Nakryła się cienkim pledem. Nie zmarznie. Katarzyna Kruszewska siedzi przed monitorem. Bose stopy oparła o księżniczkę. Centralne ogrzewanie w starej kamienicy psuje się z nużącą regularnością. Administracji to nie przeszkadza... Stukanie w klawisze nie jest dźwiękiem na tyle głośnym, by wyrwać wampirzycę ze snu.

Wstaje świt. Za oknem cicho pada jesienny deszcz. W sąsiednim pokoju Stanisława budzi się w swoim łóżku pod grubą, pikowaną kołdrą. Czuje niepokój. Wydaje jej się, że coś przeoczyły. Coś ważnego. Poza tym znowu dręczą ją złe przeczucia. Wsuwa rękę pomiędzy łóżko a ścianę. Hebanowa, okuta metalem i obciążona skórą rękojeść szabli jest chłodna, dłoń zaciska się na niej zupełnie odruchowo. Stanisława cicho wzdycha. Broń to tylko narzędzie. W starciu może przechylić szalę zwycięstwa na jedną ze stron. Jednak w życiu przeważnie się wygrywa, unikając zagrożenia. Oczywiście, jeśli człowiek w porę przewidzi, skąd może spaść nieoczekiwany cios. Dotąd zazwyczaj jej się udawało.

* * *

Pociąg wtoczył się na bocznice i zamarł. Deszcz cicho bębni o pokryte rdzawym nalotem blaszane dachy. Ładunek jednego z wagonów stanowią paczki z pięknie wydаныmi albumami o Krakowie. Za siatką na drewnianej burcie – kawałek papieru. List przewozowy. Tysiąc kilometrów stąd, gdy wsuwano go do schowka, był biały. Teraz spod szarego nalotu prześwitują już tylko pojedyncze litery. Pociąg przyjechał z Chorwacji, po drodze przeciął Węgry, Słowację i Czechy. Dokumentacja szczegółowo wyjaśnia, kto jest nadawcą ładunku, kto odbiorcą. Opisuje też całą zawartość wagonu. No, prawie całą. Obok dwudziestu pięciu tysięcy książek znajduje się w nim towar nadprogramowy: Węgier przybyły z gór Siedmiogrodu, uzbrojony i niebezpieczny – sztuk jeden.

Bocznice na dworcu cargo Kraków-Prokocim są dobrze pilnowane. Czwarta rano, deszcz, ciemności. Drzwi wagonu z książkami przesuwają się powoli po metalowej prowadnicy. Upiorny zgrzyt tonie w szumie ulewy. Psy drzemią w budach, strażnicy apatycznie gapią się na monitory w stróżówce. Równie dobrze mogliby je wyłączyć i pograć w karty. Szary przedświt, szaruga, szary płaszcz z kapturem... Bagnet od kałasznikowa ma przy końcu ostrza nieduży prostokątny otwór. Pochwa posiada specjalny zaczep. Należy go przełożyć przez dziurkę i uzyskuje się całkiem niezłe nożyce do cięcia drutu. O świcie strażnicy zauważą, oczywiście, dziurę w siatce, ale do tego czasu deszcz zatrze wszystkie ślady. Zresztą, będą raczej podejrzewali, że ktoś usiłował dostać się na teren dworca.

Szary, nieco zniszczony, brezentowy płaszcz sięga do połowy uda. Kaptur osłania twarz przed deszczem. Wygodne, schodzone buty desantowe stykają się z podłożem prawie bezszelestnie. Natarto je turecką pastą na glicerynie.

Węgierski góral Laszlo idzie równym krokiem. Trzeba oddalić się od bocznic i otwartego wagonu. Zgubić w obcym mieście, wtopić między ludzi, przyciąć się i odczekać trochę. Trzeba zdobyć dach nad głową i odespać podróż. Musi też wysuszyć ubranie, nawet brezentowa peleryna przesiąkła wodą. Piąta rano. Dociera do przystanku. Miasto jeszcze śpi. Choć oczywiście niezupełnie. Żółty płomień zapalniczki oświetla na chwilę rozkład jazdy. Nazwy ulic nic mu nie mówią. Za to czas odjazdu – owszem. Sprawdza godzinę na swoim precyzyjnym tajwańskim chronometrze. Autobus będzie za cztery minuty. I rzeczywiście, po chwili długie światła przecinają mokry tuman. Laszlo nie ma biletu, ale o tej porze kanary śpią jeszcze głębokim snem...

Autobus jedzie szybko, szarpiąc nieco i kołyszając się na zakrętach. Ciągłe pada. Przybysz udaje, że drzemie, ale spod na wólpłzymkniętych powiek zimno lustruje okolicę. Blokowiska, zabudowa zwarta, wreszcie kamienice. Centrum miasta wzniesiono chyba w XIX wieku i od bardzo dawna nie remontowano. Mężczyzna wysiada na przystanku. Otaczają go zaniedbane, stare czynszówki. Idealne miejsce, by znaleźć dla siebie jakiś kąt. W nielicznych oknach pali się światło. W szarych kamienicach przy ulicy budzą się ze snu ludzie. Deszcz przestał już padać.

Jeszcze jeden zaułek i wychodzi na jakiś park. Dziwny park, wąski i długi, zza drzew prześwitują dachy. Przemyka oczy, wywołując z głębin pamięci plan miasta. Aha. To coś nazywa się Planty, pierścień drzew opasujący Stare Miasto. Tam nie ma chyba czego szukać. No to nurkuje w kolejny zaułek.

Dom smagany deszczem stoi odrobinę cofnięty od ulicy. Od razu widać, że nikt tu nie mieszka. W oknach okolicznych kamienic świecą się światła, a tu wszystkie szyby są doskonale ciemne. Z bliska widać, że niektóre rozbito. Budynek otacza miniaturowy ogródek, a raczej jego pozostałości między podmurówką parkanu a ścianą domostwa. Na murze obłożonym z tynku zawieszono tabliczkę. Przybysz nie zna miejscowego języka, ale rozumie szóstym zmysłem znaczenie słów:

Zagrożenie budowlane.

Wstęp grozi śmiercią.

Człowiek w płaszczu uśmiecha się do swoich myśli. Zadomowił się w niedużym pokoiku na piętrze. Podłoga, niegdyś pokryta piękną mozaiką z kilkunastu gatunków drewna, nosi ślady użytkowania przez hołotę, która przez całe lata suwała po niej meblami i rzucała niedopałki, gdzie popadnie. Framugi spróchniały, z sufitu zwieszają się girlandy pajęczyn, na

tapetach wykwity grzyba. Szyby w oknie są przerażająco brudne, ale to bez znaczenia, i tak zasłoni je dyktą.

Sprawdził, czy jest prąd. Żarówka pod sufitem zabłysła. Wprawdzie wałący się budynek dawno odcięto już od sieci energetycznej, ale złodziejskie przyłącza wysiedlonych lumpów nadal działają. Jest i woda w kranie. Rzucił na podłogę kilka gazet i zzuł buty. Pomieszczenie wypełnił z miejsca intensywny odór brudnych skarpetek. Przez ostatni tydzień nie zdejmował trepów. Jeśli będzie śmierdział na kilometr, nic nie zdziała. Już i tak śniada cera wyróżnia go z tłumu. A przecież powinien być kompletnie niewidoczny...

A zatem trzeba umyć się, uprać ubranie i rozwiesić do suszenia. W kuchni na szafce znalazł resztki płynu do mycia naczyń. Zbadał go na węch, to chyba dobry detergent...

* * *

Alchemik, mistrz Michał Sędziwój z Sanoka, budzi się o czwartej rano. Rozgląda się po mieszkaniu. Wszystkie sprzęty są zupełnie zwyczajne: regał z książkami, stół do pracy. Płaszcz, na wzór siedemnastowiecznej niemieckiej peleryny, to niestety rekonstrukcja wykonana niedawno przez krawca. Ale ile czasu przetrwa kawałek płótna? Zresztą, pomijając szczegóły kroju, niczym nie różni się od tych, które wiszą w co drugim magazynie rekwizytów filmowych... Nawet wygasły atamor, stojący w kącie, jest zupełnie zwyczajny. Setki hermetystów przed Sędziwojem budowało takie piecyki. Dziś wprawdzie nikt ich nie robi, ale wcześniej czy później alchemia odzyska należne jej miejsce. Kto wie, może atanory będą nawet wytwarzane maszynowo? Mistrz przymyka oczy.

Potrzeba zaznaczania swojej obecności na piaskach czasu jest dla niego naturalna. Budzi się w nim szalona chęć kreacji. Stworzy coś niezwykłego, doskonałego. Przedmiot, który przetrwa tysiąclecia i będzie wzbudzał pełne szacunku zdumienie.

W notesie zaczyna kreślić szkic. Głównie zaznaczył tylko kilkoma pociągnięciami ołówka, koncentruje się na jelcu i rękojeści. Wyszła mu nieco podobna do batorówki, ale jednocześnie inna. Naznaczył ją silnym, indywidualnym piętnem. Zakłnie w nią trochę swojego szaleństwa i geniuszu. Szkoda tylko, że na ziemi nie znajdzie wroga dość szlachetnego, by stawić mu czoła z czymś takim w ręce...

Deszcz bębni o szyby okien wprawionych w połać dachu.

* * *

Nocny strażnik przeciąga się w swojej służbówce. Muzeum archeologiczne jest chyba ostatnim miejscem, gdzie można by się włamać: grube, poklasztorne mury, małe okienka, solidne kraty, pamiętające czasy, gdy w budynku mieściło się więzienie. Do tego wszystkiego nowoczesny system alarmowy.

Jednak miejscowe zbiory to nie tylko stosy starych skorup oraz kamienne siekierki. W magazynach i salach wystawowych zgromadzono piękną kolekcję zabytków pochodzących z Egiptu, Mezopotamii, Palestyny, Grecji, Chin... To może przyciągnąć złodziei. Na świecie są masy pozbawionych sumienia kolekcjonerów, gotowych dać niezły grosz za tego typu zabytki. A zatem trzeba czuwać. Ile może być warta egipska stela nagrobna?

Ochroniarz wzdycha. No właśnie, ten zakichany Egipt. Przez ostatnią godzinę oglądał amerykańskie filmidło o ożywionej mumii egipskiego kapłana. Trzeba przyznać, że dranie nakręcili je bardzo dobrze. Sugestywnie. Kapłan zrobił niezłą demolkę, zanim udało się go zneutralizować.

Dzwoni budzik. Pora na conocny obchód sal. Latarka, pistolet, krótkofalówka... Niepotrzebnie oglądał te głupoty. Na początek skontroluje pomieszczenia na piętrze. Nic ciekawego. Z ciemności promień światła wyławia posąg słowiańskiego bóstwa wydobyty w 1848 roku z rzeki Zbrucz. Przed kamienną statuą leży bukiet świeżych kwiatów.

Mężczyzna mógłby przysiąc, że jeszcze kilka godzin temu, gdy przejmował dyżur na obiekcie, niczego podobnego tu nie było. Ale przecież żaden neopoganin nie wlaźł w nocy do chronionego budynku. Ostatnia sala jest pusta. Strażnik wraca amfiladą, czując na karku mrowienie, jakby pogański bałwan patrzył w ślad za nim.

Skorupy, kamienne siekierki, ciężarki tkackie, fibule z brązu... Plon dziesiątek wypraw archeologicznych. Każdy z tych eksponatów to wiele godzin machania łopatą. Aż tyle i tylko tyle.

No i, niestety, nadeszło to, co najgorsze. Sala egipska. Pracownik muzeum wyłącza alarm i wchodzi do środka. Posążki bogów, amulety... Nic ciekawego. Korytarzyk i kolejne pomieszczenie. Nie lubi tu przychodzić. Na ścianach fragmenty stel grobowych, papirusy i wreszcie to, co najpaskudniejsze – siedem egipskich mumii. Strażnik obchodzi salę pod ścianami, byle dalej od zabalsamowanych kołosiów śpiących w trumnach.

Brrr – niedawno oglądany film co chwila staje mu przed oczyma. Powinni to draństwo odesłać z powrotem do Egiptu. Po cholerę ryzykować... Lekki blask po lewej. Odwraca się, celując z pistoletu. Na szczęście to tylko światło latarki odbiło się w szkłe gabloty. Kop adrenaliny, i strach zanika. Po pierwsze, nie ma żadnego ryzyka. W realnym świecie mumie nie wstają z grobów. Po drugie, nawet jakby ożyły, to są zaplątane w bandaż. Po trzecie, nawet gdyby się wyplątały, to z pancernych gablot nie wyleżą. Po czwarte, jakby wylazły... Trzymając w zębach latarkę, przeładował z trzaskiem spluwę. Kaliber dziewięć milimetrów, piętnaście nabojęw.

Nie ma na świecie mumii na tyle odważnej, by zaryzykować postrzał z takiej broni.

* * *

Padał deszcz, nad Krakowem wstawał grudniowy poranek. Nadkomisarz Przyborski zlustrował wnętrze pokoju. Plazmowy telewizor, na oko sądząc dwudziestośmioletni, kosztowny dywan na podłodze, obraz na ścianie to „prawdziwy Kossak”. Sprzęt grający najwyższej klasy. Spory salonik, duże, niemal panoramiczne okno wychodzi na mikroskopijny ogródek. Mieszkają sobie ludziska.

Butelka pięćdziesięcioletniego wina na stole, trochę zostało na dnie. Flesz zapala mikroskopijne ogniki w kryształach kieliszka. Ile lat może mieć ten kawałek szkła? Sto, może sto pięćdziesiąt. Wygodne, obite skórą fotele, antyczna komódka. Sam stół też ma swoje lata, intarsjowany blat z inicjałami Ludwika Napoleona zdradza wiek. Wnętrze urządzone ze smakiem i nawet pewną dozą wyrafinowania.

Policjant westchnął. Złapał się na myśli, że przyjemnie byłoby tak mieszkać albo chociaż usiąść na kilka minut, popatrzeć w płomienie buzujące w kominku. Przyjemny pokój. Tylko zwłoki właściciela, przygwożdżone rapierem do podłogi, i ciężki odór śmierci psują efekt. A zatem koniec kontemplacji, czas na obowiązki.

Odszukał wzrokiem praktykanta. Student, nieco zielony na twarzy, trzymał w dłoni notatnik oprawiony w płótno i tandetny długopis z bazaru.

– Powiedz no mi – zaczął Przyborski nieco protekcyjnym tonem – jaką tu widzisz przyczynę zgonu?

Praktykant, powstrzymując mdłości, pochylił się nad ciałem.

– Hmmm – mruknął. – Opuchnięty język, posiniąte wargi i odbarwienie podniebienia wskazują na to, że został otruty, potem strzelono mu w głowę, a gdy był już martwy, dla pewności przyszpilono rapierem.

– Dlaczego sądzisz, że już nie żył w chwili przybicia?

– Ten, kto go przygwoździł, pomylił strony lewą i prawą; rapier nie jest wbity tam, gdzie znajduje się serce, ale po drugiej stronie. Gdyby koleś żył, prawdopodobnie zacisnąłby dłoń na ostrzu. W dodatku krwawienie, jak na taką ranę, było minimalne.

– W porządku. Jedna zasada. O nieboszczykach należy wyrażać się z większym szacunkiem – pouczył go surowo. – Co możesz powiedzieć o postrzale w głowę?

– Trafiono go w twarz z obrzyna, gdy leżał. Sądzę, że to prawdopodobnie kula dubeltówkowa na dziki. Strzał wywołał natychmiastową śmierć, zresztą trudno żeby było inaczej. – Z trudem przełknął ślinę.

Widok nie był przyjemny. Twarz jako tako wygląda. Pocisk przeszedł przez czoło i, zgruchotawszy tył czaszki, utkwiał w podłodze. Wydłubano go już i posłano do laboratorium. Wokoło ciała zaschły rozbryzgi krwi oraz mózgu, poniewierały się strzępki skóry, włosów i

kości. Sprawca, oczywiście, wdepnął w posokę. Lekko zbrązowiałe ślady butów ciągnęły się aż do drzwi wejściowych. Traseolodzy będą zachwyceni.

– Średnica rany wlotowej?

Praktykant wyjął suwmiarkę. Dwa punkty za pomysłowość – zabrał ją ze sobą z własnej inicjatywy. Minus trzy za nieuctwo. Na trzecim roku powinien już wiedzieć, jakich narzędzi używa się do pomiarów anatomicznych.

– Siedemnaście milimetrów. To prawie tyle, co irackie działko przeciwlotnicze. Dziwne... Do obrzyna nie pasuje, jakiś samopał?

– Może balistyka coś wydedukuje. Jeszcze jakieś spostrzeżenia?

– To była egzekucja. – Młody wskazał rękawice leżące na zwłokach. – Czytałem o tym. Kat rzuca na ciało rękawiczki po wykonaniu wyroku. A że u nas kara śmierci jest zniesiona, sądzę, że to mogło być zabójstwo zlecone z zagranicy. Na przykład denat naraził się jakiemuś szejkowi, ten wysłał za nim siepaczy, dopadli go i zlikwidowali.

Trzy punkty za wiedzę historyczną. Minus pięć za nadmierną fantazję. Plus jeden za szukanie rozwiązań niekonwencjonalnych. Młody myśli intensywnie, trawiąc własną wypowiedź.

– Nie, zaraz. Nie szejk, bo to z rękawicami to nasz europejski obyczaj. Przygwożdżenie rapierem do ziemi... Hmm. Może złamał zasady obowiązujące w jakimś tajnym bractwie? To morderstwo posiada pewne znamiona rytualne. Jeśli kolejność działań sprawcy odczytaliśmy prawidłowo, to wbijanie rapiera nie miało już sensu. Chyba że było podyktowane jakimś obyczajem... Masoni za zdradę rozcinają brzuch, więc może to różokrzyżowcy albo templariusze?

Nadkomisarz popatrzył na praktykanta z powściągliwym zainteresowaniem.

– Kontynuuj – polecił i dopisał mu jeszcze dwa punkty.

Za interdyscyplinarność zainteresowań.

Laboratorium kryminalistyczne pracuje pełną parą. Kurier na motocyklu przywiózł komplet raportów. Jeszcze jedna kawa, policjant jest na nogach od przeszło dwudziestu czterech godzin. Czytał i nie rozumiał. Nie mógł skupić wzroku.

– Coś nie tak? – Praktykant zauważył jego zaskoczenie.

– To jakaś paranoja, zresztą, zobacz sam. – Podał mu plik kartek. – Balistyka zbadała pocisk. To w ogóle nie był nabój, ale ołowiana kula wielkości przepiórczego jaja. Próbki pyłu pobrane z blatu i ubrania denata to niedopalony węgiel drzewny oraz siarka. Jest jeszcze domieszka czegoś, prawdopodobnie saletry.

– Czarny proch – ocenił praktykant. – Ktoś rąbnął tego człowieka z zabytkowej broni. Może warto przejść się z tą kulą i pokazać ją fachowcom?

– Dobry pomysł. W Krakowie jest mnóstwo specjalistów. Zajmij się tym jeszcze dzisiaj.

– A zawartość kieliszków?

– No właśnie. – Potrząsnął kolejnym plikiem kartek. – Tu się dopiero zaczynają fikołki. W pierwszym znaleziono śladowe ilości tetraheksanolu.

– Co to jest, u licha? – zdumiał się młody.

– Chemicy twierdzą, że alkohol. Ma jakieś tam w środku wiązanie chemiczne na krzyż. Diabli wiedzą, co to. Ale napisali mi, że działa kilkanaście razy mocniej niż etylowy. Dawka śmiertelna to jakieś pięćdziesiąt gramów. Ale pity z umiarem jest w zasadzie nieszkodliwy.

– O, w mordę. Można to gdzieś kupić?

Minus trzydzieści punktów za alkoholizm.

– Sprawdzimy. W drugim kieliszku osad z chlorku złota. Był rozpuszczony w czymś bardzo lotnym, niewykluczone, że w czystym spirytusie lub eterze.

– Chlorek złota to też trucizna.

Plus pięć za wiedzę chemiczną.

– Owszem. I jest obecny w wymazie z gardła denata. Pewnie sekcja wykaże go także w żołądku.

– Innymi słowy, spotkali się dwaj przyjaciele, każdy wlał sobie innej trucizki i stuknęli się kieliszkami nad stołem. A potem ten mniej otruty dobił kumpla strzałem z muszkietu lub czegoś podobnego.

– Myślę, że możemy założyć taką ewentualność. Może ten od tetraheksanolu zorientował się, że kumpel go truje, i wałnął go z broni palnej?

– A sam to niby święty? Przecież i tamten dostał truciznę. A może był jeszcze ktoś trzeci? Przecież zamek w drzwiach nie wyłamał się sam.

– Nie da się wykluczyć. Na kilku meblach są zatarte odciski palców, jakby ktoś czegoś szukał, ciągnąc za gałki i otwierając szuflady przez szmatkę, startł poprzednie... Najpierw sprawdzimy kulę.

* * *

Długonoga Murzynka siedząca po przeciwnej stronie biurka nazywa się Anysza Safez. Starannie uczesana, w nienagannie skrojonej garsonce, mówi świetnie po angielsku. Dziekan wydziału orientalistyki popatrzył na leżący przed nim kontrakt i podrapał się w zadumie po głowie.

Nowa lektorka języka fusha dopisała do umowy jeden punkt. Uczelnia ma zagwarantować jej całkowite bezpieczeństwo. A zwłaszcza chronić przed wampirami.

– Chyba jesteśmy w stanie zaaprobować ten warunek – powiedział i złożył swój podpis w odpowiednim miejscu.

* * *

Ósma rano. Dzieci już w szkołach, a miasto budzi się do życia... Mnich z zakonu dominikanów wszedł do kantoru wymiany walut. Przed wyjazdem wycieczki do Rzymu przeor nakazał mu zakupić nieco tej nowej szatańskiej waluty euro. Kantor prowadził także skup i sprzedaż złomu złota. W gablotce wystawiono garść drobnej biżuterii. Pomiędzy grubymi dresiarskimi bransoletami i cienkimi pierścionkami bystre oko zakonnika wypatrzyło coś naprawdę interesującego. Bryłę kwarcu, upstrzoną maleńkimi samorodkami. Piękny okaz geologiczny.

– Widzę, że podoba się panu nasz nabytek. – Uśmiechnął się kasjer.

– Można obejrzeć to dokładniej?

– Jasne. – Pracownik kantoru otworzył pancerną gablotę i wręczył mu kamień.

Dominikanin długo i w milczeniu oglądał kawałek skały. Tu jest góra, a tu dół... Ziarna złota układają się nieprawidłowo. Wyglądają, jak gdyby ktoś obsypał płynny kwarc grudkami, które pod wpływem wysokiej temperatury stopiły się w krople i zatonęły w skalnym cieście. Widać nawet kierunek, w jakim rozsypywał samorodki. Następnie masę wylano z tygla i opryskano wodą, by kamień głęboko popękał, przybierając naturalny wygląd. Po co ktoś tak się męczył?

– Czy to jest do kupienia? – zapytał po chwili namysłu.

– W zasadzie myśleliśmy, żeby zostawić sobie na wyposażeniu. Przyciąga wzrok klientów... Z drugiej strony, jest tu ze dwieście gramów kruszcu. Nie bardzo nas stać na zamrożenie takiej ilości gotówki...

– Dwieście gramów, czyli cena wyniesie około siedmiu tysięcy złotych?

Kasjer poważnie kiwnął głową.

– Mam propozycję. Przetnijmy to na pół, ja kupię połowę, druga zostanie tutaj, jako dekoracja.

– To brzmi niegłupio... Tylko jak to ciachnąć?

– Naprzeciwko jest sklep z minerałami i pracownia jubilerska. Z pewnością zechcą nam pomóc.

Rozdział II

Deszcz przestał padać. Ochłodziło się. Prawie wpół do dziewiątej. Stanisława uderzyła piętami boki jasnobrazowej klaczy. Koń przeszedł w trucht. Czy może być coś przyjemniejszego niż przejażdżka o świcie krakowskimi Plantami? Drzewa stoją nagie i mokre, wilgotna ziemia pachnie upajająco. Trawy kilka dni temu zwarzył przymrozek. Żwir przyjemnie chrzęści pod końskimi kopytami.

Wylot Szewskiej, już niedaleko. Spojrzała na zegarek. Nie spóźni się.

Jednak nie miała tego dnia szczęścia. Minęła patrol policji w odległości minimum półtora metra, a oni, nie wiedząc czemu, przestraszyli się, zaczęli gwizdać i machać rękami. Z trudem uspokoiła konia. Zawróciła, osadziła klacz i popatrzyła na nich z góry.

– Czy panowie zwariowali? – Jej słowa padały ciężko, jak odlane z ołowiu. – Koń się przestraszył, mógł ponieść! A jakby tak kogoś stratował?

Funkcjonariusze gapili się na nią z rozdziawionymi ustami.

– Proszę pani. – Najwyższy z nich odzyskał głos. – Proszę zejść z konia.

Rzuciła mu wyniosłe spojrzenie, jakby zastanawiała się, czy w ogóle ma wypełniać jego polecenie. Wreszcie zeskoczyła jednym zgrabnym ruchem. Tego dnia ubrana była w elegancką garsonkę, toczek oraz buty do konnej jazdy, miękkie, o wysokiej cholewce, robione na zamówienie. Pod pachą dzierżyła skórzaną teczkę, w dłoni trzymała szpicrutę. Strój i wyraz twarzy znamionujący całkowite przekonanie o słuszności jej racji powinny wgnieść ich w ziemię... Błąd. Straciła przewagę. Okazało się, że jest o głowę niższa od najdrobniejszego z policjantów. Trudno narzucać innym swoją wolę, gdy trzeba patrzeć do góry.

– Czy pani postradała zmysły, pchać się tu z koniem? – Gliniarz był surowy i zasadniczy.

No to spóźni się do pracy. Drugi raz w życiu. Co za hańba. Aha. I jeszcze trzeba ustawić tych trzech.

– Nie rozumiem. – Zmierzyła ich pełnym zaskoczenia spojrzeniem. – Co to znaczy, nie wolno tu jeździć konno?

– No, nie wolno – tłumaczył cierpliwie dowódca patrolu. – Będzie mandat. I punkty karne... Hmmm... – Spostrzegł, że ciut się zagalopował.

Może pokazać im etiopski paszport dyplomatyczny i odesłać nadgorliwców w diabły? Nie taki głupi pomysł.

– Ma pani prawo jazdy? – zapytał konkretnie drugi.

Tylko tego brakowało. Jej twarz stężała ze złości.

– Wybaczą panowie, spieszę się do pracy i nie mam czasu wysłuchiwać podobnych głupot. Jeśli rzucą panowie okiem w regulamin tego parku... – Z torby wyciągnęła nieco pożółkłą książeczkę. – O, proszę, paragraf dwudziesty siódmy.

– *Na terenie Plant krakowskich dozwolone jest odbywanie przejazdów konnych w godzinach porannych i popołudniowych, pod warunkiem wszakże poruszania się ścieżkami oznaczonymi na załączonym planie* – przeczytał zbaraniały dowódca.

– O kurde? – zdziwił się jego towarzysz.

Świetnie. Konsternacja. Teraz trzeba umiejętnie narzucić swój punkt widzenia.

– Wypraszam sobie takie słowa w mojej obecności. – Stanisława, kiedy chce, umie przybrać postawę prawdziwej damy.

– Najmocniej przepraszam – bąknął gliniarz.

– Zaraz, zaraz. – Szef patrolu uważnie obejrzał kartę tytułową. – To jest regulamin parku z 1837 roku.

– I co z tego? – Spojrzenie błękitnych oczu przewiercało go na wylot.

– Od dawna obowiązuje nowy regulamin. Jest tam, na tablicy. – Wskazał kierunek.

– Chodźmy i poczytajmy sobie. – A jednak się spóźni! Diabli nadali tych służbistów.

Zatrzymali się przed tablicą, na której widniał wyciąg z regulaminu. Wielu rzeczy zakazano i w większości przypadków słusznie...

– Nie ma tu przepisu zabraniającego jazdy konnej. – Stanisława jako pierwsza przeleciała wzrokiem planszę. – Skoro pierwotny regulamin nie został uchylony, to obawiam się, że nadal obowiązuje. – Wyjęła dowódcy swoją książkę z dłoni i włożyła do torby. – Przepraszam, spóźnię się do pracy...

– Eeee... – powiedział uczenie najwyższy.

– Pożegnam panów.

Wskoczyła na siodło i oddaliła się z godnością. Policjanci popatrzyli po sobie.

– To co, można tu jeździć czy nie? – zafrasował się ten najdrobniejszy.

– A cholera wie. Widziałeś tu kiedyś kogoś na szkapie?

– No. Parę lat temu. Ale nie na koniu, tylko na skuterze.

– I co, złapali ich?

– Nie, to była Straż Miejska. Patrolowali teren. Ale cywili nie widziałem. Chociaż jakby nie było wolno, to i strażnicy by przecież nie wjechali – błysnął pomysłem.

Odprowadzili wzrokiem oddalającą się amazonkę. I naraz poczuli, że wolno tu jeździć. Dlaczego nie? Ładna dziewczyna, siedząca z gracją na ślicznej brązowej klaczy, znikająca w perspektywie parkowej alejki. Wkomponowana idealnie w rzeczywistość, stała się jej elementem. Przecież to jasne, że tak estetyczny widok nie może być nielegalny...

* * *

Uczennice zebrały się na sali gimnastycznej. Dzwonek właśnie przebrzmiał, ale nauczycielka jakoś się nie pojawiała, choć do tej pory zawsze była trochę przed czasem.

– Zachorowała – ucieszyła się Magda. – Twarda babka, ale grypa okazała się silniejsza...

– A może uciekła. – Na twarzy Gosi odmalowało się rozmarzenie.

Usłyszały czyjeś kroki na schodach. Ale to tylko Monika. Dziewczętom wyrwało się westchnienie ulgi.

– Panna Stanisława prosi na boisko. – Uśmiechnęła się księżniczka.

Chóralny jęk wystarczył za odpowiedź.

– W grudniu? – szepnęła ze zgrozą Magda.

Ale ich koleżanka już wyszła. Chcąc nie chcąc poszły w jej ślady. Po nocnym deszczu zrobiło się bardzo chłodno. Ziemia jest mokra, na drzewach nie ma już liści. Nauczycielka siedziała na grzbiecie niedużej, brązowej klaczy. Popatrzyła z góry na swoje uczennice.

– Dziś w programie zajęć mamy podstawy jazdy konnej. – W jej oczach zapłonęły figlarne iskierki. – Koń, jaki jest, każdy widzi – zacytowała Joachima Benedykta Chmielowskiego. Lekko zeskoczyła na ziemię. – Która pierwsza chce się przejechać?

Zaczepiła karabińczykiem linkę asekuracyjną do uzdy. Spojrzała pytająco na uczennice. Wszystkie niepewnie cofnęły się o krok.

– No, co wy? To tylko koń...

Patrzyły w ziemię. Żadna się nie ruszyła. Tego nie przewidziała. Sądziła, że przynajmniej połowa dziewcząt z grupy siedziała choć raz w siodle. To przecież panienki z dobrych domów, powinny chodzić na lekcje tenisa, jazdy konnej, gry na pianinie...

– Monika?

Księżniczka spokojnie wyszła przed szereg. Klacz ostrzegawczo położyła po sobie uszy. Wyczuła wampira szóstym zmysłem. Stanisława przygryzła wargi. Zapomniała...

– Nie – mruknęła. – Wracaj na miejsce, ty przecież umiesz... A szkoła to miejsce, gdzie uczymy się rzeczy nowych. Gosia.

Brunetka z warkoczem szła jak na ścięcie. Wyraźnie zbladła.

– Hej, może tak trochę odwagi? – parsknęła nauczycielka. – Konie, owszem, gryzą i kopią – chyba niepotrzebnie o tym powiedziała – ale tylko w określonych przypadkach.

Uczennica zbladła jeszcze bardziej, jakby miała zaraz zemdleć.

– Jazda konna jest łatwa i przyjemna... Zaczep stopę o strzemień i hop, na górę.

Dziewczyna jakoś się wdrapała, opadła w siodło z gracją worka kartofli. Klacz obejrzała się, zdziwiona, i cicho parsknęła.

– Siądź prosto, łokcie przy bokach, rany, złap cugle. Gdzie się przechylasz, chcesz spaść?! I nawet nie próbuj zsiadać. Wio. No i czemu beczysz? Historyczka. Szesnastoletnia

panna, a ryczy, jakby z przedszkola wypuścili. Ja w waszym wieku nie wyobrażałam sobie dnia bez godziny włóczenia się konno po stepie! Złaż, pokażę wam, jak to fajnie...

Wskoczyła na siodło i zrobiła małe kółko.

– Dobra – westchnęła, zsiadając z konia. – Która następna? Beksy!

Wszystkie, nie wiadomo dlaczego, cofnęły się o krok. Z tą konną jazdą chyba trochę jej nie wyszło. Musi wymyślić coś ciekawego na kolejną lekcję. Może poprowadzi zajęcia z fechtunku?

Dyrektor spojrzał przez okno gabinetu. Widok nauczycielki na koniu nieco go rozculił. Ta to ma pomysły, cały czas kombinuje, jak tu uczniom dostarczyć trochę radości...

* * *

Polonista siedział w pokoju nauczycielskim i przeglądał prace. Właśnie zrobił dwugodzinny sprawdzian z przerobionego działu. Prace były dziwnie podobne do siebie. Uczennice opanowały materiał, wyciągnęły wnioski, niebawem zapomną... Czytał z rosnącym zniechęceniem. Dziewczeta zreferowały poglądy autora podręcznika, część uzupełniła je o to, czego nauczyły się na lekcji, tylko nieliczne dokonały twórczej syntezy.

Na tym tle wybijała się praca Moniki. Nauczyciel czytał równe rzędkę pisma. Kaligrafia jest ciekawa, niektóre litery Serbka pisze inaczej, niż jest to przyjęte w Polsce, ale każda z nich jest pięknie dopracowana. Praca wyglądała nieomal jak wydruk. Dziewczyna używała wiecznego pióra i nie oddzielała krawędzi arkusza kreską, ale mimo to marginesy są równiutkie. Błędów ortograficznych nasiała całą masę, gramatycznych też trochę, za to treść stawiała poloniście włosy na głowie. Autorka pracy wypowiadała się na niektóre tematy szczerze i bezlitośnie. Tezy z podręcznika obalała kilkoma celnymi przykładami, jego własne tezy... hmm, też odparła i to cholernie inteligentnie. Rozbiła jego tok rozumowania na kawałki i wdeptała profesora w ziemię. Nauczyciel brnął przez tekst coraz bardziej zdumiony. Było w nim mnóstwo cytatów z dzieł klasycznych zapisanych po grecku i w tłumaczeniu. Niektóre utwory zna, o innych tylko słyszał... Wahał się tylko przez chwilę. Ocena celująca.

* * *

Alchemik odnalazł odpowiedni pokój w kuratorium. W dawno nieodnawianej klitce niewiele się mieściło. Stało tu biurko z komputerem oraz szafa z aktami. Wszędzie wałało się pełno papierów. Mistrz Michał skrzywił się w duchu. Biurokracja w Polsce poczyniła ogromne postępy, od kiedy był tu ostatnio. Tysiące ludzi siedzi i przekłada formularze zamiast robić coś pożytecznego, na przykład kopać rowy melioracyjne...

– Uprawnienia nauczycielskie? – Urzędniczka otaksowała go nieprzychylnym wzrokiem.

On też ją otaksował. Rudawa, w garsonce, palce pokryte pierścionkami, złośliwość wypisana na twarzy.

– No właśnie. – Spokojnie skinął głową. – Takie, które dają prawo uczenia w szkole.

– Mamy dwa ośrodki doskonalenia zawodowego dla nauczycieli. Oba organizują kursy, wprawdzie zajęcia już się zaczęły, ale bez problemu znajdzie się wolne miejsce. Będzie pan tylko musiał nadrobić zaległości. Zapiszę panu adresy. Zajęcia są płatne.

Skrzywił się w duchu. A więc o to chodzi. Najpierw za pomocą kuratorium tworzy się niepotrzebną barierę administracyjną, a potem furtkę do jej ominięcia. A w rzeczywistości chodzi tylko o jedno – złupić każdego, kto się nawinie. Wydusić mu choćby z gardła ostatni grosz...

Wyszedł z biura z uczuciem ulgi. Spojrzał na kartkę. Jeden ośrodek państwowy, jeden prywatny. I oba nawet niedaleko. A zatem w drogę. Zaczął od państwowego, bo było bliżej.

* * *

– Owszem, organizujemy kursy – powiedziała baba za biurkiem. Wyglądała jak klon tej z kuratorium. – Obecny rozpoczął się w ubiegły poniedziałek, więc bez problemu nadrobi pan zaległości. Cały cykl obejmuje sześćdziesiąt godzin zajęć, zakończonych zaliczeniem. Zdaje sobie pan sprawę, że całość kosztuje dwa tysiące osiemset złotych?

Alchemik drgnął. Spora kwota jak za prawo wykonywania niskopłatnego zawodu. Nauczyciel dostaje siedemset złotych miesięcznie, czyli cztery miesiące musi pracować, by pokryć wydatki za kurs. Chory, złodziejski kraj...

– Dysponuję odpowiednią kwotą – uspokoił ją.

– Jakże ma pan wykształcenie?

W jej głosie wyczuł dziwną niechęć. Co jest grane, przecież nie przyszedł o nic prosić. Chce tylko kupić usługę, nawiasem mówiąc nieprzyzwoicie drogą. Dlaczego to babsko traktuje go z góry? Zapewne z przyzwyczajenia.

– Jestem doktorem nauk biologicznych, drugi fakultet historia, także stopień doktora. Ponadto uzyskałem nominację na członka Boliwijskiej Akademii Nauk za odkrycia z dziedziny chemii fizycznej.

– I pan chce pracować w szkole? – Kobieta wydała lekceważące prychnięcie.

– Owszem.

Dlaczego ten wypindrzony babsztyl okazuje mu tyle pogardy? Co złego w tym, że ktoś chce poświęcić swój czas, by za marne pieniądze dzielić się wiedzą z młodymi ludźmi?

– W której szkole pan pracuje?

– W żadnej. Przecież, żeby podjąć pracę w szkole, trzeba mieć uprawnienia pedagogiczne – tłumaczył cierpliwie.

– Nie mogę zapisać pana na kurs, jeśli nie pracuje pan w szkole.

A tu go zaskoczyła. Przez chwilę trawił informację. Nie zrozumiał? Zapomniał ojczystego języka? Nie, to niemożliwe.

– To dla kogo są te kursy? – zdumiał się.

– Dla nauczycieli, którzy pracują w szkołach, ale nie mają uprawnień – wyjaśniła ochotczo.

– To jakim cudem zostali zatrudnieni?!

– No, pracują, ale nie mają uprawnień – powtórzyła, jakby zacięła się jej płyta.

No cóż, państwowy ośrodek doskonalenia nauczycieli to najwyraźniej skansen poprzedniego ustroju. Ale przecież są i prywatne centra szkoleniowe. A zatem vivat kapitalizm. Kto inny zarobi...

Alchemik wszedł do ładnej willi, położonej w niewielkim ogródku. Podłoga była wyłożona panelami, meble dobrane ze smakiem. Urzędniczka siedząca przy biurku, w przeciwieństwie do tamtej złośliwej baby, uśmiechała się sympatycznie. Mistrz usiadł na wygodnym krześle.

– Chciałbym zrobić uprawnienia nauczycielskie.

– Kurs zaczął się dwa tygodnie temu, zajęcia odbywają się w soboty i w niedziele. Musi pan nadrobić sześć godzin zajęć – wyszczebiotała, gdy wyjaśnił jej powód swojej wizyty. – Całość trwa czterdzieści godzin i kosztuje trzy tysiące złotych.

Skinął głową, akceptując warunki.

– Która szkoła pana skierowała?

– Nie pracuję w szkole – wyjaśnił. – Chcę zrobić uprawnienia i dopiero będę szukał pracy. Taki zresztą, zdaje się, jest wymóg.

– No co pan? Nie możemy przyjmować na kursy tak z ulicy. Musi być skierowanie ze szkoły, w której pan pracuje.

– Żeby pracować, trzeba mieć uprawnienia. – Poczul zawrót głowy.

– Owszem, ale nie możemy przyjąć pana na kurs bez skierowania.

W ciągu ostatnich czterystu lat Alchemik dwa razy rozważał popełnienie samobójstwa. Ale jeszcze nie pora na trzeci raz...

– Kto wymyślił ten idiotyzm? – zagadnął.

– To nie żaden idiotyzm. Takie jest polecenie Ministerstwa Oświaty – z godnością oświadczyła panienka.

Opuszczając prywatny ośrodek szkolenia, Alchemik pomyślał, że z tym kapitalizmem w Polsce to jakoś nie do końca tak...

– Witamy w krainie racjonalnej świadomości – mruknął pod nosem.

Usłyszał kiedyś to zdanie przypadkiem. Od tamtej pory powtarza je, ilekroć natrafia na naprawdę wstrząsające przejawy ludzkiej głupoty. Co ma zrobić z niewygodnym, bezsensownym przepisem? Na przykład ominąć.

– Powiada pan, że pańskim marzeniem jest nauczanie biologii? – zagadnął dyrektor, taksując przybysza długim spojrzeniem.

Ten uśmiechnął się tylko w odpowiedzi. Siedział na krześle jakby kij połknął. Niewysoki, ale barczysty. Wiele zawodów, obciążających różne partie mięśni i kości, wyrzeźbiło jego sylwetkę. Błękitne oczy płoną pod krzaczastymi brwiami, spojrzenie jest jednocześnie twarde i marzycielskie. Tak patrzą odkrywcy, wynalazcy, podróżnicy. Broda prawie jak u Szamila Basajewa, ale ciemnozłocista, ma barwę dojrzałego miodu. W każdym ruchu, w każdym geście widać potężną energię życiową. Dłonie twarde, naznaczone pracą fizyczną, ale jednocześnie kształtne.

Zdumiewający okaz prawdziwego mężczyzny.

– Dla naszego liceum byłoby zaszczytem zatrudnić kogoś, kto posiada tytuł doktora – dyrektor czuje, jak osobowość petenta dosłownie go przygniata. – Jednak jeśli nie posiada pan uprawnień pedagogicznych...

Spojrzał na leżący przed nim papier. Dyplom wystawiony trzy lata temu przez uniwersytet w North York. Nie doczytał nazwy miejscowości. Wydaje mu się, że chodzi o Nowy Jork, a nie o małą uczelnię w południowej Kanadzie. Doktor biologii. Cholera, nie ma ani jednego doktora w gronie pedagogicznym, a konkurencja przygruchała sobie aż trzech. Jak rozwiązać ten problem? Zatrudnić na lewo? Można za to stracić dotację...

– Myślę, że to da się ominąć. Posiadam prawo do nauczania na terenie Kanady i Boliwii. Na początek powinno wystarczyć, a jeśli kuratorium się przyczepi, skieruje mnie pan na kurs doskonalenia zawodowego. Ponadto mogę poprowadzić cykl wykładów jako zaproszony zagraniczny specjalista.

Dyrektor odetchnął z ulgą. I jednocześnie poczuł pewien podziw. Jego rozmówca znalazł rozwiązanie problemu w ciągu może pięciu sekund.

– Powiedzmy, że zatrudnię pana na okres próbny. Na przykład trzy miesiące – zaproponował dyrektor. – A potem spróbujemy zalegalizować.

– Postaram się nie zawieść pańskiego zaufania.

Dyrektor czuje, że słowo tego człowieka ma swoją wagę. Z nim nie trzeba podpisywać umowy, nie ucieknie, nie oszuka, nie będzie na zapleczu produkował broni biologicznej jak jego poprzednik...

– Michael Sedigovius – odcyfrował nazwisko z blankietu.

– W Polsce używam nazwiska Michał Sędziwój.

– Tak jak ten słynny alchemik?

– Mój ojciec miał poczucie humoru. – W zasadzie nie jest to kłamstwo. – Chyba będę musiał nostryfikować ten dyplom.

– Jaką dziedziną biologii się pan zajmuje?

– W zasadzie genetyką, ale w kontekście paleontologii i teorii ewolucji. Ukończyłem też historię... – Dokłada kolejne dyplomy z uniwersytetu w La Paz.

– W porządku. Zajęcia zaczyna pan... – Dyrektor spojrzał na rozpiskę. – Jutro o ósmej pięćdziesiąt pięć.

Gość spokojnie skłonił głowę.

* * *

Stary rzeczoznawca z muzeum Czartoryskich oglądał kulę w skupieniu i zadumie.

– Zakładam, że była przyczyną śmierci lub została znaleziona na miejscu zbrodni – zauważył wreszcie.

Praktykantowi przemknęły przez myśli stosowne punkty regulaminu służby.

– Nie mogę odpowiedzieć – odparł.

– Spłaszczenie wskazuje na to, że uderzyła w coś, na przykład w kość, tą stroną, następnie grzybkowała i uderzyła ponownie w tym miejscu. Dlatego jest taka zniekształcona. Kaliber pierwotny mniej więcej siedemnaście milimetrów...

– To by się zgadzało. – Policjant kiwnął głową.

– Została odlana z formy dwuczęściowej, i to zapewne bardzo dawno temu.

– Dlaczego tak pan sądzi?

– Po kolorze. Proszę zobaczyć, przejście przez lufę a potem ciało oczyściło ją, ta powierzchnia pokryła się już świeżym tlenkiem, ale jego warstwa jest cieniutka. W tym wgłębieniu z wybitą puncą producenta zachowała się pierwotna patyna, jest gruba prawie na milimetr. Ta kula musiała przez dobre dwieście, trzysta lat leżeć i utleniać się... Mamy tu też nieco tlenków siarki i sadzę.

– Czy była zakopana?

– Nie sądzę. Spoista gleba, na przykład pobagienna, zakonserwowałaby ją lepiej. Ta kula spoczywała na strychu, może w skrzynce. Gdzieś, gdzie był dostęp powietrza...

– Rozumiem.

– Zastanówmy się, od czego mogła być... Na muszkietową trochę za mała. Ale powinna pasować do tego.

Wyjął z szafki piękną siedemnastowieczną króciwą. Naciągnął zamek i oddał suchy strzał.

– To groźna broń?

Uśmiechnął się.

– Proszę obejrzeć denata i ocenić... Ten egzemplarz – naciągnął znowu – dostaliśmy po śmierci pewnego staruszka. Był wojskowym, więc mógł bez problemu załatwić sobie nowoczesną spluwę. Ale wolał chodzić po mieście z tą zabytkową...

– Kto go zabił?

Stary rzeczoznawca uśmiechnął się pod nosem. Ech, te gliniarskie nawyki.

– Umarł ze starości...

* * *

Księżniczka siedziała w klasie. Fizyka. Nigdy nie lubiła i nie rozumiała tego przedmiotu. W dodatku program nauczania został ułożony wyjątkowo niefortunnie. Liczyła, że dowie się czegoś na temat odkrytej niedawno ciemnej materii, tymczasem tu w kółko robi się zadania o, na przykład, bryle sztywnej, zsuwającej się po płaszczyźnie... Po co to komu potrzebne?

Przekształcała skomplikowany wzór. Nagle dostrzegła przyczynę i skutek. A jednak podręczników nie układali krety. To była banda przebiegłych cwaniaczków. Gdyby program obejmował to, co naprawdę ciekawe w fizyce, nauczyciele musieliby mieć przygotowanie humanistyczne. Umiejętność klarownego wyłożenia, na przykład, zasad funkcjonowania akceleratorów jest w zasadzie niedostępna dla absolwentów uczelni technicznych.

Wynik zadania zawsze jest ten sam. Fizyk nie musi nawet patrzeć, jak przekształcono wzory. Wystarczy, że sprawdzi, czy ostateczny efekt obliczeń klasy pasuje do klucza. A zatem system nauczania wytworzył w ten sposób niszę ekologiczną dla magistrów nie dość bystrych, by załapali się do pracy naukowej...

Szkoda tylko, że uczniowie niczego sensownego przez te lata się nie dowiedzą. Ale już wcześniej zauważyła, że szkoła nie szanuje ich czasu. Większość tego, co muszą wykuć, to informacje doskonale zbędne.

* * *

Laszlo obudził się koło południa. Ubranie prawie wyschło. Przeciągnął się, zrobił kilka pompek. W żołądku miał pusto, nie jadł od dwu dni, ale to nie problem. Przywykł. Dopiero po czterech – pięciu dobach głodówki czuje osłabienie. Naciągnął dzinsy i koszulę. Przydałoby się żelazko, ale tu raczej go nie znajdzie. Przeszedł się po budynku. Na parterze dwa sympatyczne mieszkanka, na piętrze trzy. Wszystko, niestety, w stanie totalnej ruiny. Nie może wyjść ze zdumienia. Budynek leży o rzut kamieniem od Starego Miasta. To chyba najdroższa część Krakowa. Tymczasem kamienice są zapuszczone że aż strach, a ten dom zachował tylko ślady dawnej świetności. Przez ostatnie pół wieku żyła w nim jakaś hołota. Zapewne niedbałych lokatorów zakwaterowano tu po wojnie w ramach wprowadzania ludu do centrum... Ale, u diabła, czemu po wysiedleniu nikt nie przeprowadził remontu? Marnują się miliony...

Laszlo westchnął. Jego rodzina od trzech pokoleń zajmowała się wyszukiwaniem i likwidacją wampirów. Dziadek skasował dwa, ojciec cztery (ponadto ma na koncie dwie fatalne pomyłki). A on, jak do tej pory, żadnego... Przybył do stygnącego po wojnie Kosowa o osiem dni za późno. Ale albańscy górale wskazali mu ciepły jeszcze trop.

Odszukanie wampira jest nieziemsko wręcz trudne i kosztowne. W młodości w górach Siedmiogrodu Laszlo płukał z dziadkiem złoto. Aby zdobyć kilka okrucichów metalu, przerzucali łopatami setki metrów sześciennych ziemi i mułu. Szukanie nieśmiertelnych jest podobnie pracochłonne. Sprawdzić trzeba setki legend i pogłosek. Odrzucić i wyeliminować prawie wszystko, aż wreszcie na dnie płuczki coś zostanie. Albo i nie.

Czy młoda wampirzyca jest w Krakowie? Trzeba będzie sprawdzić. Jeśli tu żyje, wcześniej czy później łowca trafi na jej ślad. Niewiele o niej wie, ale zebrane informacje od biedy powinny wystarczyć.

Płaszcz jest wilgotny, buty też jeszcze nie wyschły. Na razie Węgier nie będzie wychodził na dłuższe spacer. Musi jeszcze odpocząć. Ale oknem należy zająć się od razu. Dom powinien wyglądać na opuszczony. Światło lampy będzie widoczne z ulicy, a to, niestety, wróży natychmiastowe kłopoty.

Trzeba zamaskować szyby czymś nieprzejrzyistym. Jest tu stół, ale blat ma za duży, poza tym będzie mu jeszcze potrzebny. Resztki zasłon odpadają – za cienkie. Widział niedawno coś odpowiedniego. Gdzieś niedaleko.

Na dole, na latarni, wiszą dwa piękne, wielkie kawały dykty. Przymocowano je drutem, ale nie jest to duży problem... Na obu płytach nalepiono krzywo plakaty z podobizną jakiegoś gościa. Laszlo ogląda je uważnie. Koleś ma gębę zawodowego złodzieja, spojrzenie psychopaty, a na wargach lizusowski, knajacki uśmieszek. Jednak, sądząc po fryzurze, uciekł od czubków, a nie z pudła. Jednak nigdzie nie podano ceny, a zatem nie jest to list gończy. Co zatem, u diabła?

Dokładne oględziny łupu pozwalają odkryć mały, dwukolorowy emblemat. Najwyraźniej jest to plakat pozostały z wyborów. Ciekawe, czy ktokolwiek głosował na tego drania? Laszlo starannie przybija znalezionymi pineskami dyktę do ramy okna. Portretem do środka, nie wolno straszyć przechodniów.

* * *

Pociąg InterCity z Wiednia zatrzymał się pod wiatą dworca Kraków Główny. Burty pięknych, nowoczesnych wagonów lśnią lakierem, szyby zachowały ciągle krystaliczną przejrzystość. Zamiast przedziałów umieszczono wewnątrz dwa rzędy lotniczych siedzeń. Szumi klimatyzacja. Drzwi odsuwają się z delikatnym sykiem pneumatycznych siłowników. Tłum przyjezdnych wylewa się burzliwą rzeką. Na samym końcu z jednego z wagonów wysiada jeszcze jeden podróżny.

Miękkie, skórzane buty bezszelestnie stykają się z granitowymi płytami peronu. Koniec laski, okuty stałą, przeciwnie – stuka mocno. Przybysz ma starannie przyciętą, białą jak mleko bródkę i rozwichrzoną, siwą czuprynę. Okulary w drucianej oprawce pamiętają czasy cesarza Franza Josefa. Spod krzaczastych brwi spoglądają zuchwale nieco wyblakłe oczy. Staruszek

wygląda, wypisz, wymaluj, jak szalony dziewiętnastowieczny naukowiec. I nie tylko wygląda...

Wciąga nosem powietrze, długo nie wypuszcza go z płuc, smakuje. Wie, że to dobry czas i dobre miejsce.

Rozdział III

Księżniczka usiadła w ławce i rozłożyła laptopa. Przybyła do szkoły grubo przed dzwonkiem. Dwadzieścia minut to szmat czasu... Ksiądz wszedł i postawiwszy torbę na podłodze, zajął miejsce za biurkiem. Widać i on szuka odrobiny spokoju... Monice duchowny spodobał się od pierwszego wejrzenia. Młody, wysoki i chudy jak szczapa. Typ prawdziwego ascety. Twardy jak kawałek dębowego polana, idący przez życie z wysoko podniesionym czołem, by głosić prawdy wiary nie tylko słowem, ale i przykładem. A przy tym niewątpliwy erudyta. Umie mówić o tym, co wie, umie słuchać, gdy czegoś nie wie. Niewielu takich się spotyka.

Z kieszeni wyciągnął kanapkę zawiniętą w kawałek aluminiowej folii. Widocznie nie zdążył zjeść śniadania. Też poczuła się głodna. Sięgnęła po swoje jabłko. Ksiądz położył kanapkę na blacie i odpakował. Brwi księżniczki uniosły się w zdumieniu. Dwie kromki chleba, każda gruba na kilka milimetrów. Pomiędzy nimi cień wędliny. Spostrzegł jej zdziwienie i uśmiechnął się.

– Lepiej niech grzeszne ciało pęknie, niżby się miały zmarnować dary Boże – szepnął konfidencko.

* * *

Druga lekcja. 8.55 rano... Dla Moniki, która wstaje zazwyczaj o wpół do szóstej, jest już skandalicznie późno. Jej koleżanki, oparte brodami o ławki, jeszcze drzemią. Kiedyś słyszała o czymś, co nazywano syndromem chronicznego zmęczenia. Ale u całej klasy? Ano nie, zaraz się obudzą. Zagraniczny prelegent to dość nieoczekiwany przerywnik szarej monotonii szkolnego życia...

Alchemik uśmiechnął się pod nosem. Gdy ostatnio pracował w Krakowie jako nauczyciel, trwała wojna ze Szwedami o ujście Wisły... Uczennice spoglądały na niego z ciekawością.

– Przejrzałem wasze zeszyty – powiedział spokojnie. – Jak widzę, wasz poprzedni nauczyciel był kryptolamarckistą, a zatem pora przywrócić wam pion intelektualny. Na

początek zajmiemy się Darwinem. Czy któraś z was może wykazać najsłabszy punkt jego teorii?

Uczennice popatrzyły po sobie. Tego nie było w podręczniku. Monika podniosła rękę do góry. Na szczęście pamięta jeszcze polemiki prasowe, które wybuchły, gdy Anglik ogłosił swoją koncepcję.

– Proszę.

– Darwin uważał, że jedne gatunki drogą ewolucyjną mogą przekształcać się w inne i decyduje tu dobór naturalny. Tymczasem brakuje form pośrednich. Są antylopy i żyrafy, ale nie ma łącznika między nimi.

– Zapominasz o okapi – odparował natychmiast i bez namysłu.

Nie dała się zbić z tropu.

– Owszem, jest spokrewnione z żyrafami i bardzo podobne do antylopy, ale ma krótką... – zabrakło jej słowa.

– Szyję – odpowiedział.

– Może te ogniwa pośrednie po prostu wymarły? – zasugerowała Gosia, przygryzając koniec warkocza.

– Nie da się wykluczyć, ale w materiale kopalnym brakuje ogniów pośrednich. Nie ma antylop z długimi szyjami, które mogłyby być przodkami żyraf.

Zamilkły.

– Może nie było ich dużo? – odezwała się któraś z dziewcząt. – Może doszło do mutacji, pojawiło się, ja wiem, kilkanaście takich, potem kolejna mutacja i tak powstały pierwsze żyrafy. Potem się rozmnożyły.

– Czy wiecie, jaki jest główny problem z populacją polskich żubrów?

Niespodziewane pytanie zupełnie je zaskoczyło. Wreszcie uniosła się niepewnie jedna ręka.

– Proszę.

– Chorują na płuca i są bardzo podatne na pasożyty. Poza tym spada ich płodność.

– Właśnie. Stada nasze i białoruskie odtworzono dzięki intensywnej hodowli z zaledwie kilkudziesięciu osobników. Pula genetyczna jest zbyt uboga, ujawniają się cechy recesywne i wady genetyczne spowodowane chowem wsobnym. Te zwierzęta są zbyt blisko spokrewnione. Degenerują się – wyjaśnił.

– Czyli mutacja zamieniająca okapi w żyrafy musiałaby objąć sporą populację? – zauważyła Gosia.

– Oczywiście. Co najmniej kilka tysięcy osobników. Tylko że mutacja nie atakuje tych samych genów w dużej liczbie zwierząt. Zobaczcie, co się stało w Czarnobylu. Pojawiają się setki defektów u zwierząt i ludzi. Spora część zmian wywołuje skutki letalne. Praktycznie żadna mutacja nie powtarza się u dwu osobników. I jeszcze jedno: tylko jedna na milion jest pozytywna.

– Jest jeszcze czerwony darwinizm Trofima Łysenki – wtrąciła Monika. – On, zdaje się, uważał, że zmiany gatunków powoduje środowisko, w którym się rozwijają...

– Owszem. Tylko że ten typek sądził, iż jaja kukulek znajdowane w gniazdach innych ptaszków robią się z normalnych jajek pod wpływem czynników zewnętrznych.

Myślała przez chwilę.

– Wykluczamy Lamarcka, Darwina i Łysenkę. Czyli zostaje nam kreacjonizm.

– Niekoniecznie. Czy któraś z was słyszała o tak zwanym kluczu Gagarina?

Odpowiedziały mu zaskoczone spojrzenia.

– Nie mam tu, oczywiście, na myśli radzieckiego kosmonauty, ale norweskiego genetyka Henry’ego Gagarina. W 1984 roku opracował bardzo ciekawą teorię, wyjaśniającą luki w twierdzeniach darwinistów. Wiecie, jak działają wirusy?

– Wnikają do komórki i replikują swoją informację genetyczną, wykorzystując DNA ofiary – zasugerowała Magda.

– Znakomicie. W efekcie powstaje dużo nowych wirusów... W niektórych przypadkach jednak dochodzi do innego rodzaju ataku. Wirus wnika do komórki i przykleja się do jej DNA, pozostaje jednak nieaktywny. Sam staje się częścią pamięci genetycznej organizmu.

– Czy to znaczy, że... – wykrztusiła Monika.

Alchemik uśmiechnął się. Naprawdę szybko myśli to wampirzątko.

– Tak. Gagarin twierdził, że ewolucja zachodzi skokowo. Że pojawia się wirus, który atakuje sporą populację. I nagle kilka tysięcy okapi rodzi małe żyrafki. W pierwszym przypadku nowy gatunek powstaje, ale stary nadal ma szansę reprodukcyjną... W drugim okapi częściowo wymrą, bo potomstwo będzie już innym gatunkiem.

– Dlaczego nie wszystkie? – padło pytanie.

– Nie do końca. Wirus atakuje tylko jedną z populacji lokalnych, więc przynajmniej przez jakiś czas oba gatunki żyją nadal obok siebie, w wolnej przyrodzie epizootie nie dotyczą gatunku na całym jego obszarze rozszedlenia, a tym bardziej nie prowadzą do jego unicestwienia. Dlatego neandertalczyki i homo sapiens fosilis mogli występować jednocześnie.

Wytrzeszczyły oczy.

– Czy to pewna informacja? – szepnęła Gosia.

– Gagarin usiłował znaleźć dowody, gdy został zamordowany przez KGB. Nie wiemy, na czym oparł swoje przypuszczenia. Nie znamy wirusów przenoszących tyle informacji genetycznej, by powodować tak szokujące zmiany. Ale to najlepsza z obecnie istniejących teorii. A w każdym razie moja ulubiona.

– Ale przecież nowe gatunki pojawiałyby się co i rusz. – Magda przekrzywiła głowę.

– A skąd wiesz, czy się nie pojawiają? Od czasów Linneusza i Darwina poznaliśmy ich tysiące. – Księżniczka zgasiła jej wątpliwości jednym celnym strzałem.

* * *

Stanisława wzięła jeden dzień urlopu. Grypa wisi w powietrzu, trzeba się przed nią zabezpieczyć. A do tego potrzebuje pewnego specyficznego składnika, którego nie sposób zdobyć w mieście. Wysiadła z pekaesu. Z bagażnika autobusu wyciągnęła rower. Okolica się zmieniła. Jakby zdziczała. Kiedyś były tu rozległe dąbrowy, a pomiędzy nimi pola wydarte lasom. Dziś puszczy nie ma, a stoki wzgórz zarastają chwastami. Droga straszy popękanym asfaltem. Alchemiczka mocniej naciska pedały i po chwili jest na przełęczy pomiędzy dwoma pagórkami. Zatrzymuje rower, zapatrzona na rozległą dolinę u swoich stóp.

Miała dwanaście lat, gdy stała tu z ojcem. Opuścili ukraińskie stopy, zmęczeni ciągłą walką o przetrwanie. Wykorzystali spadek po dalekich krewnych, by osiąść tu, w bezpiecznym miejscu, z dala od kozackich buntów i tatarskich najazdów. Nie zostawili na Kresach nic. Zebrali z pól wszystko, co się dało. Karczmy i młyn sprzedali sąsiadom. Wycięli rosnące przy domu dęby, zrobili z nich solidne wozy. Zgromadzili zapas siana oraz owsa. Kazali chłopom załadować dobytek na fury.

Spalili dwór. Czasem trzeba zniszczyć własny dom, by nie zamieszkał w nim wróg.

Przebyli niemal tysiąc kilometrów. Przywiedli ze sobą osiemdziesiąt krów, dwadzieścia wołów do orki, setkę kóz, siedem koni. W koszach na wozie przyjechały kury i gęsi. Barci nie zabierali, byłyby trochę nieporęczne w transporcie. Ściągnęli ze sobą trzydziestu chłopów z rodzinami oraz trzech rękodajnych. Stanęli tu, na przełęczy, i patrzyli na dolinę, w którą mieli tchnąć nowe życie.

Kruszewice to dziś cztery walące się chałupy. Wtedy też były tu cztery domy. Historia zatoczyła koło. Tylko że dawniej pośrodku przysiółka stał drewniany krzyż. I była nadzieja, że miejsce to stanie się nową kolebką rodziny... Dziś z całego rodu Kruszewskich pozostały dwie kobiety.

Powoli zjechała w dół. Krzywe płoty z dziurawej, pewnie kradzionej ze składowiska złomu siatki, zardzewiałe i poprzekrzywiane. Domy z pustaków, walące się obejścia. Tylko porzucone tu i ówdzie flaszki po tanim winie świadczą o tym, że ktoś tu jeszcze mieszka. W którejś chałupie gra telewizor. Stanisławę świerzbi ręka. Wygonić hołotę na środek wsi, oćwiczyć nahajami i zagonić do pożytecznej pracy. Wyburzyć te slumsy, a na ich miejsce postawić porządne czworaki...

Dwór stał na stoku wzgórza. Do dziś widać resztki fundamentów z solidnych granitowych głazów. Kobieta przymyka oczy, koncentruje się. Nie była tu od dobrych stu lat. Wtedy wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Pamięta pradiadka swojej kuzynki. Twardy gość z sumiastym wąsem, po obejściu chodził w kontuszu i z szablą przy boku.

W lewo. Prowadząc rower, wchodzi na ledwo widoczną ścieżkę. Gdzieś tutaj stał lamus i spichrze. Jeszcze kilka kroków i jest w miejscu dawnego ogrodu. Krzaki derenia tworzą zbity

gąszcz. Spóźniła się. Nie ma już na nich owoców. Za to na krzewach pigwy wiszą cierpkie, żółte jabłuszka. Zrywa je spokojnie, wybierając największe i najładniejsze. Nie liczyła na to, że je znajdzie, ale widocznie żyjących w dolinie chłopów pigwy już nie interesują. Może boją się pracy związanej z ich przetwarzaniem, a może nawet nie wiedzą, co to jest?

Napełniła już plecak. Masa owoców została na gałązkach. Trudno, zmarnują się. Spogląda na zegarek i leciutko przygryza wargi. Trzeba się pospieszyć. Musi złapać autobus, jeśli nie chce przebyć czterdziestu kilometrów do Krakowa na rowerze.

Gdy jedzie pomiędzy chałupami, jakiś plugawy staruch w zaplamionych spodniach i powycieranej kufajce na jej widok odruchowo ściąga beret z głowy. W jego zapijaczonym umyśle zapaliło się jakieś ostrzegawcze światełko. Może sprawiła to jej mina, a może pozostały po przodkach instynkt podpowiada mu, że to dziedziczka? Trzeba zdjąć czapkę, bo pani każe oćwiczyć...

* * *

W każdym mieście można nielegalnie kupić broń. Oczywiście, nigdzie nie jest to łatwe. Należy wykazać się zmysłem obserwacji, sprytem, odwagą i, naturalnie, znajomością miejscowego języka. Warto przy tym wiedzieć, że w mniej więcej połowie przypadków sprzedawca będzie usiłował obrabować lub zabić pechowego klienta. Cóż, czarny rynek to prawdziwa dżungla, obowiązują tu prawa buszu.

Laszlo obudził się późnym popołudniem. Deszcz przestał padać. Węgier leży w pokoju, zapalił sobie światło i patrząc na sypiący się sufit, rozmyśla. W zasadzie nie ma problemów nierozwiązywalnych. Jeśli nie można kupić broni, należy ją zrobić. Żaden problem. Kilku sąsiadów-bandytów powystrzelał z samopału. Potrzebna jest dobra stal narzędziowa. Lepsza byłaby rusznikarska, ale, niestety, nie występuje w handlu. Do tego stacjonarna wiertarka, wiertło. Siłą rzeczy lufa nie będzie zbyt długa i nie da się jej nagwintować, więc i z celnością będzie krucho. Ale na dystans kilkunastu metrów powinno się udać. Co jeszcze? Oczywiście precyzyjna tokarka. Trzeba się przejść po sklepach, wybrać odpowiedni model i ukraść którejś nocy.

Broń będzie jednostrzałowa. Ale jeśli spudłuje, i tak nie będzie miał okazji wypalić ponownie. Amunicja to w sumie najmniejszy kłopot. Wystarczy paczuszka nabojęw do straszaka: każdy zawiera odrobinę prochu. Łuskę od sztucera kupić można od smarkaczy, z pewnością jest tu jakiś bazar ze starociami. Jeden nabój do straszaka będzie robił za spłonkę, zawartość pozostałych posłuży do napełnienia pocisku. Trzeba jeszcze zdobyć palnik acetylenowy, odlać ze srebra kule, naciąć delikatnie piłką do metalu, nawiercić i do każdej kapnąć odrobinę rtęci z rozbitego termometru lekarskiego. Energia wywołana uderzeniem w cel sprawi, iż płynny metal rozerwie płaszcz i pocisk eksploduje wewnątrz ciała. Fajna, zabójcza broń. Szkoda, że zakazana międzynarodowymi konwencjami. Srebrne odłamki,

wyjątkowo toksyczne dla wampira, rozprysną się na boki, tnąc i rozrywając narządy wewnętrzne. Gdyby przypadkiem nie uszkodziły niczego ważnego, dochodzi jeszcze zatrucie rtęcią – potrójna śmiertelna dawka. Taka kula powaliłaby słonia, a co dopiero drobną, jasnowłosą wampirzycę...

Zapada wieczór, a zatem pora udać się na miasto. Lista sprawunków jest długa, a on musi jeszcze zdobyć pieniądze.

* * *

Przed wyjazdem z domu Laszlo zebrał trochę informacji. W Krakowie najgorszą opinią cieszą się Kurdwanów i Nowa Huta. Do tej ostatniej miał najbliżej. Teraz kroczy przez blokowisko. Niepewny krok, nerwowe rozglądanie się na boki. Nie jest trudno pokazać po sobie strach. Ściągnął kaptur, śniada skóra rzuca się w oczy. Stara się wyglądać na obcego frajera.

Łazi i łązi, i nic. Zazwyczaj wystarczy się rozejrzeć, by zobaczyć całą bandę podejrzaną wyglądających kolesiów w dresach. A gdy czasem któryś jest potrzebny, to jak na złość znikają, jakby ich ziemia pochłonęła. Ale i na to jest metoda. Trzeba wywabić ich z kryjówek.

Na murach tu i ówdzie widać napisy, zapewne na cześć jakiegoś zespołu piłkarskiego. Laszlo wyciąga z kieszeni coś w rodzaju rozmówek. Znajomy student spisał mu garść polskich wulgaryzmów. Jeszcze puszka farby w rozpylaczu. I do dzieła. Pod dumnymi napisami sławiącymi kluby sportowe pojawiają się dopiski o zgoła mało chwalebnej treści, emblematom dorysowuje gwiazdy Dawida, szubienice, sierpy i młoty.

Mija godzina, zapach farby kręci go w nosie, a w puszcze niewiele już zostało. I nic. Szybciej go chyba dorwie policja niż miejscowe zule... Wreszcie dociera w miejsce, które wygląda naprawdę paskudnie. Potrząsa zasobnikiem – to już resztką farby. Napis na ścianie sławi kolejny klub piłkarski. Węgier sięga do notatek. Wybiera najgorszy możliwy wyraz i z mazołem zaczyna smarować go na ścianie.

Z daleka słychać dudnienie odtwarzacza samochodowego i to niezłej mocy. Łowca czuje, że jest obserwowany. Znakomicie. Czerwone audi przyspiesza i zatrzymuje się tuż za nim. Radio gra; zgodnie z dresiarским przysłowiem dźwięk muzyki musi być na zewnątrz głośniejszy niż praca silnika. Samochód oznacza maksymalnie czterech przeciwników. Wprawdzie wlezie do środka i więcej, ale byłoby im za ciasno. Tacy kolesie lubią wygodę.

– Co, ciulu, zawędrowałeś za daleko od domu?

Odwraca się lekko i płynnie. Tylko trzech. Wygolone łby, dresiki Adidasa, tępe mordy. Mutanty z siłowni. I bardzo dobrze. Gdy rabował zwykłych ludzi, miał potem moralnego kaca.

Bagnet od kałasznikowa został zaopatrzony w piłkę. Równe cięcie jest mniej groźne, brzegi rany można zacisnąć, powstrzymując krwotok. Przy odrobinie szczęścia zdołaliby

przeżyć. Rana zadana piłką jest inna, paskudna, szarpana. Trudna do zszycia, często śmiertelna. Można uderzyć bardzo nisko, a mimo to skutecznie. Gdyby nie spali na lekcjach biologii, może poznaliby dwa słowa: „tętnica udowa”.

Tylko po co na takich frajerów używać noża? A zatem udaje strach, a gdy pierwszy zadaje cios, z gracją się uchyla. Bejsbolowa pała tnie powietrze. Wymarzona chwila. Wystarczy złapać klienta za nadgarstek i uderzyć odpowiednio mocno drugą ręką. I już łapa wroga złamana w łokciu... A w dodatku zdobył niezły kawałek bukowej lagi. Dwaj pozostali ruszają do ataku. Celny, niski kop łamiący kolano zatrzymał pierwszego w miejscu. Drugi dresiarz nie czeka, ucieka, aż się za nim kurzy. Węgier nawet nie musiał użyć zdobycznego kija. Dresy tego fasonu nie mają kieszeni, ci dwaj już go nie interesują. Wsiada do samochodu, zatrzaskuje drzwiczki i rusza gazem wąskimi uliczkami. Penetruje skrytkę. Dwa telefony komórkowe, portfel, w nim trochę pieniędzy, breloczek przy kluczykach to odlane w złocie logo Adidasa. Też coś tam warte. Jest tu także karta kredytowa, ale zapomniał zapytać o numer PIN. Trudno, nie będzie przecież wracał. W sumie szmaciarze, ale samochód może się przydać. Udany wieczór.

Teraz trzeba odpowiednio zamaskować łup. Oczywiście najprościej byłoby wygrzebać na złomowisku stare tablice rejestracyjne i przyczepić je na miejsce aktualnych. Niestety, w razie zatrzymania przez policję mogą zacząć się poważne kłopoty. Samochód zdobył, ale w dokumentach pojazdu figuruje inny właściciel. W każdym mieście są ludzie, którzy od ręki wyprodukują lewe papiery i przebiją numery wozu, ale gdzie ich szukać? Poza tym nie jest to usługa darmowa, a pieniędzy ma niewiele. Pozostaje więc wariant dyplomatyczny.

Otwiera zardzewiałą bramę, wjeżdża na podwórze koło swojej kwatery. Parkuje tak, by z ulicy pojazd był prawie niewidoczny. Nowiutkie audi stojące koło takiej rudery błyskawicznie sprowadziłoby na miejsce ekipę policji... Zatem niezbędne jest maskowanie. Na wystający zza węgła tył narzucił burą szmatę, na to położył kilka cegieł. Jeszcze kawał starego materaca obok i pojazd przekształcił się w szarą kupę nie wiadomo czego.

Z parapetu zdjął tubę kleju do glazury, pędzelek i dwie małe puszkki farby. Odczepił obie tablice rejestracyjne.

W swoim pokoju, siedząc na skrzypiącym stuletnim krześle, pokrył obie blachy warstwą kleju. Nałożył go szpachelką, co chwila maczaną w wodzie. Powierzchnia musi być idealnie równa. Teraz krok drugi. Rzucił pacynę kleju na kawałek szyby i starannie rozwałkował butelką na placek. Bagnetem wyciął równiutkie literki i cyferki. Nakleił na tablice. Klej tężeje przez dwadzieścia cztery godziny, osiągając twardość niemal granitu. Wtedy wystarczy pomalować. Rejestracja wyszła wybitnie dziwna. Ale to dopiero pierwszy krok. Trochę folii samoprzylepnej i nożyk introligatorski. Każdy pojazd powinien mieć na tylnej szybie nalepkę informującą, w jakim kraju został zarejestrowany. TV oznacza archipelag wysp Tuvalu.

Trudno ocenić, czy na koralowych atolach, z których największy ma niespełna dziesięć kilometrów średnicy, istnieją jakiekolwiek samochody, ale w sumie, jakie to ma znaczenie?

Jeszcze proporczyk, brytyjska flaga w kantonie, obok błękitna powierzchnia i osiem złotych gwiazdek, symbolizujących poszczególne wyspy. Proporzeczek umieszczony będzie na masce. W ten sposób skonfiskowany bandzirom samochód stanie się Ważnym Samochodem Służbowym Zagranicznego Dyplomaty. I żaden logicznie myślący policjant nie odważy się go kontrolować.

* * *

Alchemik siedział na swoim strychu i w zadumie przyglądał się księżniczce Monice.

– Nie sędzę, żeby wampiryzm był przenoszony drogą wirusową – powiedział wreszcie. – To raczej wrodzone. Ja spotkałem w życiu jednego wampira, a ty?

– Jedna z moich kuzynek była taka jak ja.

– Znałyście się blisko?

– Faj!

– Przepraszam. – Nawet o tym nie pomyślał, ale i tak poczuł się winny.

– Może niektórzy są odporni, a może przenosi się poprzez krew? – zasugerowała. – A jeśli wirus jest w stanie zdemolować DNA każdej komórki organizmu? Jeśli zmiana genotypu powoduje jednocześnie zmianę fenotypu? Czy możemy to wykluczyć?

Nie znalazł argumentu. Milcząc, patrzył w kominek. W tej chwili rozległy się trzy puknięcia do drzwi.

– A kogóż niesie o tej porze? – zdziwił się.

Podszedł do drzwi. Nie musiał ich otwierać, tajemniczy posłaniec wsunął list przez szparę nad podłogą. Sędziwój podniósł kartkę. Przebiegł wzrokiem równy rząd liter i lekko przygryzł wargi.

Wreszcie Alchemik został sam. Monika uciekła na kolację do mieszkania, które dzieli z kuzynkami Kruszewskimi. Mistrz długo i w zadumie studiował kartkę, którą wsunęto mu pod drzwi. Na jego twarzy maluje się troska. Wreszcie podejmuje decyzję. Ubiera się w długi, ciemny płaszcz. Sztylet u boku, po drugiej stronie dla równowagi króćca. Idzie szybkim, miarowym krokiem. Zimny, grudniowy wiatr szarpie poły jego okrycia, w powietrzu wisi wilgoć, zaraz może lunąć deszcz. Oto i ulica Stolarska. Kościół i klasztor Dominikanów. Mistrz Michał mija wejście do świątyni. Już po wieczornej mszy, tedy nie dostanie się do środka. Brama prowadząca do klasztoru także jest już zamknięta, ale obok okutych żelazem drzwi umieszczono dzwonek domofonu. Naciska go trzykrotnie, patrząc jednocześnie na zegarek. Minęła pora kolacji i wieczornej modlitwy, ale ktoś powinien jeszcze czuwać.

– Kto tam? – Głos, zniekształcony przez mikrofon, brzmi głucho.

– Oto koniec wszystkiego, co powiedziane być musi o działaniu słońca. – Cytat ze średniowiecznego dzieła alchemicznego stanowi nie tylko hasło, ale i pozwala furtianowi zidentyfikować nocnego gościa.

Rozlega się brzęczyk. Alchemik popycha furtkę i zatrzaskuje ją za sobą. Wewnątrz jest ciemno, ale on zna rozkład pomieszczeń na pamięć. Rusza po omacku, pokonuje kilka schodków. W krużganku jest już jaśniej. Jeden z braci wychodzi mu naprzeciw.

– Przeor oczekuje...

Wnętrze celi nie zmieniło się od jego ostatniej wizyty. Tyle tylko, że jest noc. Na ciężkim, dębowym biurku dwa świeczniki. W każdym płonie pięć świec.

– Czy to prawda? – Gość kładzie na biurku kartkę. – Czy może tylko przypuszczenie?

W blasku świec twarz zakonnika wygląda dużo młodziej niż w rzeczywistości. Położył na blacie kawałek szklistej skały z zatopionymi wewnątrz żółtymi okruchami.

– Niestety... Nie mamy najmniejszych wątpliwości. I potrzebujemy twojej pomocy. Ty już kiedyś...

– Raz. I to było dawno.

– Czuliśmy, że to wcześniej czy później musi nastąpić. A teraz nie wiemy, co robić.

– Zadzwońcie do Watykanu. Sami możemy sobie nie dać rady. I postarajcie się o dyspensy na zabójstwa. Co najmniej pięć sztuk.

– Tego nam nie wolno...

Alchemik myśli intensywnie.

– Mam więc nadzieję, że nie wyznaczycie mi surowej pokuty, gdy będzie już po wszystkim... Macie pomysł, jak ich znaleźć?

Zakonnik kręci głową, na jego twarzy maluje się poczucie winy.

– Jak wynika z naszych ksiąg, do tej pory to raczej oni szukali i zabijali alchemików.

– Kto zajmuje się laboratorium?

– Brat Marcin.

– Niech nie wychodzi na zewnątrz. Korytarz zasypcie piaskiem i zaminujcie. Klasztor posiada jeszcze inne drogi ewakuacyjne, o których nie wiem... I nie muszę wiedzieć. Zabezpieczcie je równie starannie.

– Przyjacielu, jeśli potrzebujesz kryjówki, nasze drzwi stoją otworem. Pokój gościnny też się znajdzie. Mamy też kilka mieszkań w mieście... i poza nim.

– Dziękuję, nie chcę was narażać. Zresztą, może nie wiedzą jeszcze, że jestem w Krakowie?

– Miejmy nadzieję.

* * *

Zapadał wczesny, zimowy zmierzch, gdy zadowolony łowca wrócił do swojej kwatery. Spodziewał się, że przeskoczenie tego etapu przygotowań będzie dużo trudniejsze, a tymczasem wszystko poszło jak z płatka. Wyjął sprawunki i zatarł z zadowolenia ręce. Rzucił płaszcz na wieszak. W domu zawsze, gdy przystępował do czegoś naprawdę twórczego,

puszczał sobie z magnetofonu serenadę Schuberta. Niezły zestaw do odtwarzania muzyki zdobył razem z samochodem, ale nie miał kasety. A, pal diabli, ostatecznie pamiętał melodię... Pogwizdując pod nosem, zabrał się do dzieła.

Umieścił papier ścierny na blacie starego biurka i, wydobywszy z kieszeni kawałek grubego, aluminiowego kabla, zaczął przerabiać go na proszek. Westchnął lekko. Przydałaby się waga laboratoryjna, ale nie ma żadnej pod ręką. Trzeba będzie składniki odmierzać na oko. To znaczy, znalezioną w śmieciach na parterze łyżeczką do herbaty. Proporcje nie zostaną precyzyjnie zachowane, lecz mimo to powinno zadziałać. Przy produkcji tego środka istnieje pewien margines błędu. Po pięciu godzinach upartego tarcia spojrzał na stosik szarosrebrzystego pyłu i uznał, że wystarczy. Wsypał go do szklanki, dodał rdzy z torowiska i bardzo starannie wymieszał jedno z drugim. Uzyskał jakieś ćwierć kilograma potrzebnej substancji.

Temperatura spalania termitu to 3800 stopni Celsjusza. Wystarczy, aby stopić odrobinę srebra w tygielku. O czym zapomniał? Ach tak, forma... Do pudełka po margarynie wlał gips i poczekał, aż zastygnie. Następnie, używając wiertła, wyborował cztery otwory. Normalnie poczekałby teraz z dzień, dwa, aby zaprawa dobrze wyschła, ale nie ma czasu. Dosuszy ją na piecu. Teraz najtrudniejszy etap zabawy.

W dawnej kuchni zachował się solidny piec z grubą, żeliwną płytą. Drzwiczki, choć zardzewiałe, dały się bez trudu otworzyć. Musiał tylko wygarnąć zawartość popielnika.

* * *

Gdy jedni mogą odpocząć po męczącym dniu, inni ciągle jeszcze pracują. Urzędnicy dopijają kawę i spławiają ostatnich petentów, a młodzi stażyści zdzierają zelówki, wypełniając ich polecenia.

Bum, bum, bum – uderzenia w metalową furtkę zabrzmiały głucho.

Nikt nie odpowiedział, ale człowiek z teczką się nie poddawał. Załomotał ponownie. Czy wiedział, do czego się dobija? Ależ skąd. Zagadkowa parcela, otoczona murem, nie posiada żadnej historii ani pisanej, ani przekazywanej przez mieszkańców z pokolenia na pokolenie.

Obszedł cały kwartał zabudowy w poszukiwaniu wejścia. I oczywiście znalazł. No więc wali. Tak to już bywa. Istnieje grupa ludzi o słabym charakterze, którzy na widok zamkniętych drzwi wpadają w dziki, histeryczny szal. Nieoczekiwanie furtka ustąpiła ze zgrzytem. Urzędnik odważnie przestąpił próg i znalazł się, zamiast w ogrodzie, w wysoko sklepionym przedsionku. Na podłodze leżała gruba warstwa kurzu, widomy znak, że od bardzo dawna nie stanęła tu ludzka stopa. Pomieszczenie przegradzała gruba, kuta krata. Brama zatrzasnęła się za jego plecami. Zapadła ciemność, ale po chwili gdzieś z trzewi budynku nadszedł, szurając, człowiek w nieokreślonym wieku. W ręce trzymał palącą się,

grubą świecę. Ubrany był w coś w rodzaju habitu. Kaptur osłaniał mu twarz, jednak blask świecy częściowo oświecał jej rysy. Płomień odbijał się w źrenicach.

– Któż to przybył, by zakłócać nasze rozważania? – Głos był zachrypnięty, jakby nie używany od dłuższego czasu.

– Jestem z Urzędu Gminy. Dokonujemy rutynowego przeglądu wszystkich budynków, poprzedzającego wycenę – odparł młodzian niepewnie.

Osobniki nadpobudliwe można w wielu przypadkach kompletnie skołować, odcinając im bodźce docierające do narządów zmysłu. A tu zmysłom pozostawiono niewiele... W przedsionku panuje głęboka cisza, jedynym zapachem jest słabo wyczuwalna woń stęchlizny, panuje półmrok, ale nawet gdyby paliło się światło, nic to nie zmieni. Tu nie ma żywych barw. Ściany są białe, podłoga szara, habit nieznajomego także szary. Najbardziej kolorową rzeczą w tym wnętrzu jest lekko żółtawa świeca...

– A w jakim celu chcecie wycenić nasz dom? – Pytanie było zabarwione odrobiną ironii.

– Przed wprowadzeniem podatku katastralnego musimy znać wartość nieruchomości...

– I jak nas znaleźliście? Ten adres... – człowiek zawahał się na ułamek sekundy – jest zastrzeżony.

– Normalnie. Sprawdzam po kolei wszystkie domy przy tej ulicy.

Zapadła cisza. Tajemniczy gospodarz coś sobie widać układał w myślach.

– Mogę wejść i się rozejrzeć? – zagadnął urzędnik.

– Zakon nasz ma charakter zamknięty. Nie wpuszczamy tu nikogo. – Mnich nieoczekiwanie uniósł głowę i popatrzył gościowi prosto w oczy.

Młody urzędnik odczuwał dziwny zamęt w myślach. Na szczęście każde następne słowo zakonnika pomagało ten zamęt opanować.

– Jesteśmy wieczyście zwolnieni z wszelkich podatków, tak więc inspekcja nie ma najmniejszego sensu. Po prostu strata czasu. Idź już, synu, pora naszej wieczornej modlitwy nadchodzi – szepnął zakapturzony.

– Oczywiście, najmocniej przepraszam.

Wyszedł na ulicę. Zakręciło mu się w głowie.

– Co to ja chciałem? – Poskrobał się po ciemieniu. – A, jasne, tu wszystko gra, a więc następna nieruchomość. – I ruszył wypełniać swoje obowiązki.

* * *

Za oknami pada ciężki, zimowy deszcz. Krople uderzają o szyby, wybijają werble na parapecie. Zmierzch przyszedł wcześniej. W taką pogodę nawet wampira nie wyrzuca się z domu. Zresztą właściwie po co?

Księżniczka Monika odrobiła już lekcje, a teraz krząta się po kuchni. Ukręciła jakąś zagadkową przyprawę z dużej ilości papryki, teraz moczy mięso w marynacie. Na kolację

będą szaszłyki. Katarzyna rozmontowała swój czeczeński rewolwer i teraz starannie czyści broń. Dręczy ją przecucie, że niebawem się przyda. Stanisława schowała się w sypialni. Wbita w kąt przy oknie haftuje serwetkę. Tyle lat wędrowała bez towarzystwa... Od czasu do czasu lubi posiedzieć sama, ale zaraz wychynie ze swej kryjówki.

W dawnych, dobrych czasach w każdym niemal dworze była suto zaopatrzona apteczka – specjalne pomieszczenie lub piwniczka, w której w beczkach i flaszach latami dojrzewały nalewki, nastawy, sycone miody i inne trunki. W wielu znajdowały się alembiki służące do pędzenia aromatycznej gorzałki. Przepisy przekazywano z pokolenia na pokolenie. Dziewczęta pod okiem matek i babek nabierały biegłości w łączeniu smaków i aromatów. Młode żony wносиły w wianie sekrety swoich rodowych kuchni. Były i takie receptury, których rodzina nigdy nie wypuszczała z rąk.

Dom Kruszewskich herbu Habdank posiadał w piwniczce specjały, których sława rychło ogarnęła całą okolicę. Prawie biała nalewka na pędach czosnku, oczyszczająca umysł, ratująca żołądek i wzmacniająca serce. Bładozielonkawa ajerówka, robiona na korzeniach tataraku. Ciemna ratafia, umiejętnie łącząca w sobie aromat kilkunastu różnych owoców. Czerwona jak krew dereniówka. I wreszcie żółta pigwówka. Dla ich skosztowania znajomi i krewni przybywali z bliska i z daleka, pewnego dnia przybył nawet pewien alchemik z Krakowa.

Stanisława pamięta te receptury i jeszcze ze czterdzieści innych. Przejrzała kilka książek w poszukiwaniu informacji i wzięła do ręki kalkulator. Trzeba przeliczyć łuty na dekagramy, a kwarty na litry. Katarzyna ciężkim, rzeźnickim nożem tnie twarde jak kasztany pigwy na ćwiartki i wydłubuje z nich pestki. Księżniczka siedzi obok, małym nożykiem rozdrabniając ćwiartki na plasterki. Co jakiś czas kolejną porcję wrzuca do dużego słoja.

– Grunt to dobra wódka, czas i odpowiednia temperatura dojrzewania – poucza je Stanisława.

– Wódka – podchwytuje Katarzyna. – Nie mamy w domu ani grama.

Na twarzy alchemiczki pojawia się zagadkowy uśmiech. Oczy Moniki rozświetlają figlarne iskierki.

– Przynieś...

Księżniczka dźwiga z balkonu spory gąsior z jakąś breją. Stanisława wyciąga z szafki pudło, a z niego pożyczony od Alchemika alembik. Urządzenie ma swoje lata, ale odpolerowana brązowa blacha lśni jak wczoraj wyklepana. Stanisława wrzuca do zbiornika garściami kostki lodu, przygotowane w zamrażalniku.

– Zamierzasz pędzić bimber? – Kasia mruga zdumionymi oczami.

– Nie żaden bimber tylko najlepszą palonkę z suszonych śliwek – obraża się jej kuzynka.

– To nielegalne – Katarzyna drapie się po nosie.

– Jak to: nielegalne? – wścieka się alchemiczka.

– Prawo propinacji odebrał nam car po powstaniu styczniowym.

– To wolny kraj, a prawo to nadał moim przodkom jeszcze Kazimierz Wielki. Zresztą, carska Rosja nie istnieje i jakieś przeżytki jej ustawodawstwa należy czym prędzej zlikwidować do końca. A co do powstania, to brałam w nim udział... I mam gdzieś pomysły ministrów Aleksandra Drugiego!

Kuzynka uśmiecha się leciutko. Wcale nie miała zamiaru niczego zakazywać...

Godzinę później pięciolitrowy słój pełen jest poszatkowanej pigwy. Sypały na przemian warstwy owoców i warstwy cukru, aż powstał swoisty przekładaniec. Teraz trzeba odstawić go na kilka dni. Z chłodnicy do podstawionej szklanki kapią powolutku oszałamiająco pachnące kropelki aromatycznej gorzalki.

– A więc na tym polega sekret – mruczy Katarzyna.

– Po ściągnięciu soku cukrem zalewasz pigwy śliwowicą?

– Tak. Smak jest nie do podrobienia i bardzo trudno go zidentyfikować.

Robota w kuchni dobiega końca. Teraz wystarczy siedzieć przy bulgoczącej kojąco aparaturze i obserwować, jak szklanka wypełnia się powolutku śliwkowym bimbrem. Można i pogadać.

– Nieznany czynnik wirusowy wywołujący wampiryzm? – zdumiała się Katarzyna. – Ciekawe.

– Chyba niemożliwe. Przecież to by było zaraźliwe – mruknęła księżniczka Monika. – A tymczasem...

– Może jest, ale żeby się zarazić, potrzebne są jakieś predyspozycje, na przykład brak określonych przeciwciał lub defekt systemu immunologicznego. – Informatyczka poskrobała się po nosie.

Stanisława pokręciła w zdumieniu głową. Biologia nie jest jej mocną stroną. Wprawdzie czytała trochę, ale jakoś nigdy nie zapalała chęci głębszego wgryzienia się w te problemy. Wszelkie bakcyle mają dla niej wymiar konkretny i przyziemny. Pamięta cztery epidemie dżumy i kilka innych zaraz. Teraz wystarczy, że przymknie oczy, by poczuć woń gorącego octu, używanego niegdyś do odkażania powietrza...

– Co będzie, jeśli się zarazimy?

– Alchemik twierdzi, że nic. Wirus doklei się do waszych komórek, a efekty będą widoczne dla następnego pokolenia...

– W następnym pokoleniu – odruchowo poprawiła Katarzyna. – Czyli nawet jeśli, to my będziemy normalne, tylko w stosownym czasie urodzimy śliczne, małe wampirzątka.

– Jakie to pocieszające – mruknęła alchemiczka. – Ano nic, nie ma się co martwić na zapas.

Długą zapałką kominkową podpaliła szczapki pod samowarem. Dym po chwili zniknął, a woń płonącego węgla drzewnego zmieszała się z zapachem krojonej szynki.

Katarzyna spojrzała na kuzynkę spod oka. Stanisława posiada jedną zdumiewającą cechę. Jeśli problem okazuje się nie do rozwiązania, przestaje się nim przejmować. Nie trapi się

rzeczami, na które nie ma wpływu. W sumie ma rację, jeśli się zaraziły, nic nie da się zrobić. Ona jednak chciałaby wiedzieć.

– Pobiorę próbki krwi i obejrzymy je pod mikroskopem – zaproponowała. – Zwykły nic nam nie da, ale może elektronowy? I trzeba poprosić Michała o pomoc. Studiował biologię, a ja, szczerze powiedziawszy, nie odróżnię wirusów od makrofagów.

Brwi Stasi uniosły się lekko do góry. Nawet nie wiedziała, że ma w środku jakieś makrofagi.

– Jutro mamy wycieczkę do Muzeum Narodowego w Warszawie – przypomniała. – Obejrzymy sobie freski i inne takie. Oprowadziłabyś nas po części poświęconej starożytnej Grecji?

Księżniczka spojrzała na nią spokojnie.

– W sumie, czemu nie? – powiedziała.

To ciekawe, że jej przyjaciółka ciągle jeszcze myśli w sposób nieco achronologiczny. Nie rozdziela przeszłości na poszczególne epoki. Dla niej starożytność i średniowiecze zlewają się w jedno. Sądzi, że skoro Monika żyła w Bizancjum, to i antyczna Grecja okresu klasycznego będzie dla niej czymś zupełnie swojskim... Tysiąc lat wte czy wewte... Nauczycielka, oczywiście, musiała kiedyś usystematyzować swoją wiedzę. Posiadła umiejętność chronologicznego porządkowania faktów. Potrafi poprowadzić lekcję o dowolnej epoce. Ale w sferze podświadomości nadal wszystko zlewa się jej w jeden mętlik. Dla niej czas zaczął się w chwili, gdy uzyskała świadomość jego upływu w wieku czterech, pięciu lat. Wszystko, co było wcześniej, to tonąca w szarej magmie bliżej nieokreślonej przeszłości mozaika zdarzeń: budowa piramid, rzymskie legiony, wikingowie... Księżniczka uśmiecha się. Ona też czasem jeszcze myśli w ten sposób. Pamięta krzyżowców, przybywających do Konstantynopola na krucjaty. Ci najbardziej inteligentni twierdzili uparcie, że chcą pomścić śmierć Chrystusa na poganach, którzy go ukrzyżowali. Nie zastanawiali się nad problemem, czy dane zdarzenie nastąpiło dwadzieścia, czy tysiąc lat wcześniej. Dla nich było realne, gdyż ich pojęcie teraźniejszości było potwornie rozmyte...

Oczywiście potrafi opowiedzieć i o starożytnej Grecji. Pewne tradycje były jeszcze żywe w czasie, gdy, będąc dzieckiem, pobierała nauki w Myrze... Inne poznała, zdobywając wykształcenie.

Słupek rtęci w termometrze poszedł w górę. Koniec „palenia” śliwowicy. Stanisława zbadała alkoholomierzem moc trunku.

– Pięćdziesiąt trzy procent – sapnęła z zadowoleniem.

Już wcześniej porąbała tasaczką dębowe polano, a szczapki wrzuciła do butelek. Teraz zalała je gorzałką.

– Po co to? – zaciekawiała się księżniczka.

– Śliwowica powinna dojrzewać w beczce – wyjaśniła Stanisława – ale nie mamy odpowiedniej. A w sumie liczy się właśnie kontakt z drewnem. W ciągu tygodnia deszczułki puszczą trochę garbnika...

– Dobra śliwowica powinna leżakować w dębinie co najmniej siedem lat! – Monika popisała się wiedzą zdobytą w bałkańskich górach.

– Nie mamy aż tyle czasu. Ale kiedyś pomyślimy i o tym – obiecała. – A teraz pora zjeść kolację i spać.

* * *

Noc. W budynku muzeum archeologicznego w Krakowie panuje niczym niezmacona cisza. Grube mury i nowoczesne okna całkowicie odcinają sale ekspozycyjne od dźwięków z zewnątrz. Myszy nigdy tu nie było. W ceglanych posadzkach nie są w stanie wygryźć sobie nor. Poza tym nie ma tu dla nich nic do jedzenia. Korniki zostały wytrute, trzeba dbać o zbiory. Podobny los spotkał mole.

Nocny strażnik przemieszcza się po budynku prawie bezszelestnie. Tylko czasem skórzana podeszwa skrzypnie na kamiennej posadzce. Cisza wręcz rozsadza mu uszy. Założył gogle noktowizyjne, w ręce dzierży pistolet. Oto i sala egipska. Jedyne potencjalne źródło niebezpieczeństwa. Kopniakiem otwiera drzwi. Snop niewidzialnych promieni omiata pomieszczenie. Pistolet w wyciągniętej dłoni przesuwają się w ślad za wzrokiem. W sali panuje cisza i bezruch. Mężczyzna łapie broń w zęby i niczym agent z Matrixa wykonuje przewrót w przód. Mija o włos dwie gablotki, ale staje pewnie na nogi, dokładnie pośrodku sali. Znowu się obraca, celując w ciemność. Pusto. Cicho. Martwo. Za filarami nikt się nie schował.

Jeszcze jedna czynność na koniec obchodu. Oświetla latarką po kolei wszystkie kartonáže w szklanych gablotach. Od wczoraj nic się nie zmieniło. Żaden nie został otwarty. Egipskie mumie śpią snem wiecznym.

– Wasze szczęście nieboszczyki – szepcze z mściwą satysfakcją.

Najpiękniejszy sarkofag kryje w sobie doczesne szczątki Meref-Neczer-Tota. Strażnik sprawdza go szczególnie starannie. Świeci pod uniesioną lekko, opartą na drewnianych klockach, pokrywę. Bandaże po tysiącach lat zbrązowiły nieco. Skóra popękała i odpadła częściowo. Żółta czaszka połyskuje. Trup.

Egipski kapłan jest zdecydowanie najbardziej podejrzany z całego tego towarzystwa... Ale i on tej nocy leży spokojnie. Ochroniarz wycofuje się, trzymając zwłoki przez cały czas na muszce. Wreszcie z satysfakcją zatrząskuje stalowe drzwi. Jeszcze solidny rygiel. I alarm. Nawet gdyby umarlaki coś kombinowały, z sali nie wyleżą. A jakby wylazły... Kolba przyjemnie chłodzi palce.

– Śmierć trupom... – syczy.

Zdanie to jest nieco bez sensu, ale fajnie brzmi. Sam je wymyślił i często powtarza...

* * *

Grypa szaleje. Nauczycielka historii nie oparła się zarazie. Dziewczęta usiadły w klasie i zajęły się swoimi sprawami. Gadają jak najęte, przeważnie o głupotach. Tylko kilka przez moment gawędziło o dzisiejszej wycieczce. Księżniczka wyjęła laptopa i plik kartek ksero. Czas... Żyjąc przeszło tysiąc lat, nauczyła się cenić każdą chwilę. Niech sobie gawędzą, ona w tym czasie zarobi czterdzieści, a może i sześćdziesiąt złotych.

Założyła słuchawki na uszy i puściła sobie poemat symfoniczny Ciurlionisa. Odpłynęła. Grecki traktat z trzeciego wieku naszej ery, dotyczący tłoczenia wina. Monika zapadła w trans. Palce uderzały w klawiaturę niemal bez udziału jej woli. Wczoraj przeczytała książkę o robieniu przetworów domowych, poznała właściwe słownictwo.

– Popatrz na nią. – Gosia trąciła łokciem Magdę. – Zupełnie odjechała.

– Ona jest jakaś dziwna – mruknęła jej koleżanka. – W naszym wieku, ale jakby starsza. Poważniejsza, aż do granic ponuractwa...

– Może to przez tę wojnę? Cholera wie. Zobacz, jak gładko wkręciła się na pupilkę tej całej Stanisławy – wydeła wargi.

Monika faktycznie odpłynęła, ale nie na tyle, by nie zdawać sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół. Oceniają, obgadują. To tylko kwestia czasu zanim wymyślą, że z nauczycielką wiążą ją związki o charakterze daleko wykraczającym poza przyjaźń. Nie chciała, by wyrósł między nimi mur niechęci, ale chyba nie ustrzeże się przed tym. Jednostki wybitne najczęściej skazane są na samotność... A jednak nie.

– Niemożliwe. Stanisława nikogo nie wyróżnia. Jeśli się dogadały, to nie w szkole, musi je łączyć coś innego.

– Ale co? Może dyrektor kazał się nią opiekować?

– Akurat by go posłuchała. Myślę raczej, że to coś, czego nie rozumiemy. Telepatia, jakieś pokrewieństwo dusz.

– Fakt, obie pasują tu, jakby spadły z księżycy...

Minęło pierwsze dziesięć minut lekcji. W klasie panowało odprężenie. I nagle trzaśnięcie drzwi. Alchemik wszedł do sali.

– Mam z wami zastępstwo – powiedział. – Ponieważ nie bardzo orientuję się, co aktualnie przerabiacie, proponuję, żebyśmy podyskutowali sobie na tematy ogólnohistoryczne...

Monika uśmiechnęła się leciutko, zdejmując słuchawki. Sprytny wybieg. Wystarczyłoby wziąć pierwszy z brzegu zeszyt i już wiedziałaby, co omawiają. Tyle epok, tyle wydarzeń historycznych rozegrało się na jego oczach. Mógłby opowiedzieć im szczegóły zdarzeń, których nie odnotowały kroniki... Ale nie chce. Nie dzisiaj. Dlaczego? Wygląda na mocno przygaszonego. Co stało się tej nocy?

– Możesz pracować dalej – zwrócił się do niej po łacinie.

Westchnęła w duchu. Teraz dopiero ma przerabiane... Pokręciła głową, schowała ksero i wyłączyła komputer. Spostrzegła spojrzenia koleżanek. Cholera. Znowu skucha. Pomyślała sobie, że jest patologiczną lizuską.

– Co za idiotyczna sytuacja – mruknęła pod nosem po grecku.

– Nie przesadzaj – odparł Alchemik w tym samym języku. – Twoje przyjaciółki nie są takie najgorsze. – To ostatnie zdanie powiedział nieco ostrzej.

Może koleżanki uznają, że ją ochrzanił? Trzasnął dziennikiem o blat biurka i szybko sprawdził obecność.

– Na dzisiejszej lekcji zastanowimy się, po co uczymy się historii. Czy ktoś ma jakieś pomysły?

Popatrzyły po sobie cielęcym wzrokiem.

– Pani? – Alchemik wskazał gestem Gosię.

– Historii uczymy się dlatego, że jest w programie nauczania – wydukała. – Wprawdzie mówi się, że historia vitaete...

– Historia magistra vitae – poprawił. – Historia jest nauczycielką życia.

– No właśnie, ale nie można powiedzieć, żeby to była prawda. W każdym razie znajomość historii nikogo jeszcze niczego nie nauczyła. Nasze władze bez przerwy popełniają te same błędy, co dziesięć lat temu i co sto lat temu.

Księżniczka przechyliła głowę i uśmiechnęła się do koleżanki. Przywykła dotąd uważać ją za kompletne cielę, ale, jak się okazało, nie jest taka głupia.

– Kontynuuj – poprosił Mistrz.

– Wydaje mi się, że istnieją dwa sposoby myślenia – dziewczyna podjęła wątek. – Historyczny i ahistoryczny. My i Żydzi skupiamy się zanadto na rozpamiętywaniu wszystkich krzywd oraz zdrad doznanych przez wieki. Żyjemy, patrząc w przeszłość, choć nie odnosimy jej do teraźniejszości, podczas gdy na przykład Amerykanie olali to i patrzą tylko w przyszłość...

– Który sposób wydaje ci się lepszy? – Alchemik autentycznie się zaciekał.

– Oba są błędne – powiedziała z wahaniem. – Myślę, że pewne cechy narodowe się nie zmieniają. Dlatego należy budować przyszłość, ale patrzeć sąsiadom na ręce...

– Jest jeszcze coś – powiedział cicho. – Historia... Jak powstaje?

– Ludzie zapisują, co się dzieje – zasugerowała Iza.

– Owszem. A w przyszłości ktoś może zechcieć poszukać sobie wzorców postępowania. I przypadkiem rzuci okiem na naszą epokę. Od nas, od naszego przykładu w ogromnej mierze zależy to, jacy będą nasi potomkowie. To my, tworząc teraźniejszość, tworzymy zarazem i historię, i przyszłość. Pamiętajcie, by coś po sobie zostawić następnym pokoleniom.

– Co? – zainteresowała się Gosia.

– Cokolwiek. Można sadzić drzewa, można tworzyć dzieła sztuki. Można wreszcie dokonać czynów, które staną się natchnieniem dla naszych wnuków... Czynów, o których ludzie nie zapomną...

Pogrążył się we wspomnieniach. Sadził lasy i zakuty w kajdany karczował lasy. Był alchemikiem, lekarzem, architektem, żołnierzem. Ratował i zabijał. Tworzył i niszczył. Zobaczył w życiu więcej niż ktokolwiek z żyjących. A jednak...

Pojawili się członkowie Bractwa Drugiej Drogi. Wcześniej czy później ich szlaki się przetną. Prawdopodobnie umrze. To kwestia statystyki, zbyt wiele razy wychodził cało. Zbyt wiele razy ratował życie z opresji zupełnie niewiarygodnych. Wreszcie noga może mu się powinąć. Żył ponad cztery stulecia. Miał kilkadziesiąt wcieleń, kilkadziesiąt tożsamości. Co pozostanie po nim, gdy wreszcie zakończy swoją ziemską pielgrzymkę?

Kilka budowli, które będą się opierać upływowi czasu jeszcze przez milenium. Garść pożółkłych stronic traktatów, które stały się podwalinami nowożytnej chemii. Kilka drobnych odkryć z dziedziny biologii i fizyki. A może nadszedł czas, by stworzyć dzieło swego życia? By wykorzystać całą wiedzę i doświadczenie? Kamienice, które zaprojektował, są porażająco zwyczajne... Odkrycia stanowią naturalną konsekwencję rozwoju danych gałęzi wiedzy. Wcześniej czy później ktoś by na to wpadł... Namalował kilka obrazów, może nawet niektóre przetrwały, ale nie są to dzieła szczególnie wybitne. Powiedzmy wprost – były przeciętne... W sumie sporo zdziałał. W sumie nic...

A może... Patrzy na księżniczkę Monikę. Dziewczyna ma sztylet z bułatu. Od jak dawna nie produkuje się takich rzeczy? Chyba z tysiąc trzysta lat... Alchemik uśmiecha się pod wąsem. Projekt jelca i rękojeści ma, zastanawiał się, jak wykuć głownię. I jakiego metalu użyć. Już wie.

* * *

Stanisława już wcześniej wiedziała, że szkoła bywa niekiedy kopalnią idiotycznych pomysłów. Na przykład dzisiejsza wycieczka do muzeum. Pociąg do Warszawy mają o dziesiątej, więc dyrektor uznał, że klasa ma przyjść do szkoły na dwie pierwsze lekcje, a potem podreptać na dworzec. Kretynizm. Lepiej byłoby, żeby dziewczyny pospały sobie godzinę dłużej, a zbiórkę można by urządzić na peronie... No cóż, nie wypada otwarcie zlekceważyć polecenia zwierzchnika. Ale widać, że nauczycielka jest wściekła.

Chodzi po szkole z taką miną, że uczennice przemykają chyłkiem pod ścianami. Alchemik dla odmiany jest dziwnie przygaszony. Na drugą lekcję przyszedł idealnie punktualnie, ale nie ma siły poprowadzić normalnych zajęć. Zarwał noc, wykonując dziesiątki doświadczeń chemicznych i fizycznych. Długą chwilę wodzi wzrokiem po klasie, jakby nie do końca zdawał sobie sprawę, gdzie jest. Wygląda mu na to, że to te same cielaczki, z

którymi miał poprzednią godzinę. No tak, Monika siedzi sobie grzecznie w kąciu. Wreszcie zdołał się opanować.

– Na dzisiejszych zajęciach obejrzymy sobie trochę preparatów pod mikroskopem – powiedział.

Z torby wydobył niewielki, mosiężny tubus, oparty na stelażu. Po sali przebiegł szmer. Uniósł głowę i szeptu umilkły.

– Kupiłem tę zabawkę w antykwariacie. To mikroskop szpitalny z końca XIX wieku. Mimo że ma ponad sto lat, nadal działa.

– A nie lepiej byłoby użyć nowego? – Gosia wskazała szafkę, w której stały rzędem całkiem porządne urządzenia.

– Owszem, są całkiem niezłe, ale chciałbym się dziś cofnąć do roku 1882, kiedy doktor Robert Koch odkrył prątki gruźlicy... A zatem bierzemy wycinek zarażonego płuca bydłęcego... – Otworzył słoik z cieczą i peseta wydobył z niego kawałek szaroróżowej tkanki.

Kilka uczennic odruchowo szarpnęło się w tył. Popatrzył na nie i po raz pierwszy tego dnia na jego wargach pojawił się lekki uśmiech.

– Spokojnie, to formalina. Bakterie są martwe. Nie zarazicie się.

Formalina. Ostry zapach środka konserwującego przypomniawszy mu opowieść dozorcę pilnującego wydziału biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Czerwonoarmistów było trzech. Sterroryzowali starego pepeszami i dobrali się do szafki z preparatami. Myśleli widocznie, że martwe zwierzęta zakonserwowane są spirytusem. No i się przeliczyli. Popelnili śmiertelną pomyłkę...

Z ogromną wprawą odciął kawałek i wrzucił resztę do słoika. Szkiełko podstawowe, drugie cieńsze do nakrycia... Przez dłuższą chwilę regulował obraz. Jak pokazać wyniki dziewczętom? Zapraszać po kolei, żeby sobie popatrzyły? Będą gadać, przepychając się, narobią chaosu w całej pracowni.

Wyjął z teczki kamerę cyfrową. Pierścień podtrzymujący dorobił już wcześniej. Zainstalował urządzenie przy starym mikroskopie, a potem połączył kablem z telewizorem. Pstryknął pilotem i na ekranie pojawił się obraz.

Dwa urządzenia, jedno z XIX wieku, drugie z XXI, są w stanie działać razem. Tak jak urodzona w IX wieku Monika dogaduje się z koleżankami, które przyszły na świat ponad tysiąc lat później...

– Prątki gruźlicy to te pałeczkowate struktury. – Pokazał wskaźnikiem laserowym. – Co możecie o nich powiedzieć?

– Są bardzo słabo widoczne. – Monika w lot odkryła, dokąd zmierza nauczyciel.

Uśmiechnął się do niej.

– Oczywiście. Czy któraś z was ma pomysł, co zrobić, by to poprawić?

Milczenie i bezmyślne spojrzenie dwudziestu par oczu. Tylko Monika wie, siedzi skromnie, patrząc w blat. Ale nie może jej zapytać. Już i tak uważają ją za kujonicę i lizuskę...

Wzdycha w duchu. Jak to się dzieje, że nawet w najlepszej szkole motłoch zawsze stara się sprowadzać elitę do parteru?

– Armauer Hansen, lekarz z norweskiego miasta Bergen, rozwiązał ten problem w 1869 roku... – Obraz zniknął z ekranu, Alchemik po prostu usunął preparat. – Czy któraś z was wie, kim był doktor Hansen?

Monika uśmiechnęła się leciutko.

– Księżniczko...

Omal nie palnął się w głowę. A to się wygadał.

– Doktor Hansen był dyrektorem bergeńskiego leprozorium. – Monika przeszła do odpowiedzi błyskawicznie. Miała nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na nieopatrzne słowa Mistrza Michała. – Prowadził badania nad trądem. Zawdzięczamy mu najlepsze opisy kliniczne tej choroby.

Alchemik umieścił preparat w krystalizatorce, zalał wodą i wpuścił do niej kilka kropli atramentu z własnego wiecznego pióra.

– Kontynuuj proszę – polecił.

– Poprzedni dyrektor, doktor Danielsen, uważał trąd za chorobę dziedziczną. Doszedł do tego wniosku po osiemnastej nieudanej próbie zaszczepienia jej na samym sobie... Hansen obalił tę teorię dzięki badaniom mikroskopowym. Jego metoda...

– Jego metoda była bardzo prosta – wszedł jej w słowo. – Po prostu zabarwił preparat atramentem.

Strzeliła wzrokiem po klasie. Spodziewała się wrogości, a tymczasem... Tymczasem koleżanki patrzą na nią z zainteresowaniem i życzliwością. I czuje coś jeszcze. Solidarność. One są zadowolone, że przynajmniej jedna wiedziała, dokąd zmierza tok rozumowania nauczyciela.

Na ekranie znowu pojawiła się próbka. Tym razem była barwy sinobłękitnej.

– Jak widzicie, tkanka zaabsorbowała barwnik dość równomiernie, natomiast bakterie gruźlicy wchłonęły go dużo więcej i są obecnie doskonale widoczne. Metoda Hansena została szeroko zastosowana przez Amerykanów, na przykład w leprozorium Molokai, zaś w Europie przez następne dwadzieścia lat uważano ją za nienaukową i oficjalnie zwalczano...

Przez salę przetoczył się chichot. Mistrz westchnął. Jakoś nie idzie mu ta robota, pomijając, że uczennice kręcą się na wszystkie strony, to jeszcze śmieją się w nieodpowiednich miejscach...

Druga połowa lekcji to rysowanie preparatów. Każda z dziewcząt dostała jeden nowy mikroskop i płytkę z kolekcji dydaktycznej. Szeptają między sobą, niepewne jak wykonać zadanie. Alchemik milczał. W jego kieszeni spoczywał kawałek skały z ziarnami złota, który dostał od przeora. Bryłka niepozorna, ale ważka. To nie jest naturalne złoto. Podobnie jak to, które robił przy użyciu tynktury, jest w minimalnym stopniu skażone radioaktywnym polonem, ale szczegółowe testy wykazały domieszkę rtęci i radioaktywnego jodu. Jod posiada

dziesięć w miarę trwałych izotopów. Mają czas rozpadu połowicznego od kilku godzin do sześćdziesięciu dni. Nie udało mu się określenie ich proporcji, a tym samym poznanie wieku próbki, choć miał do dyspozycji świetnie wyposażone laboratorium klasztorne. Czuje jednak przez skórę, że bryłka jest bardzo świeża.

W ciągu ostatnich dwu tygodni ktoś tu, w Krakowie, wyprodukował i wprowadził w obieg sztuczne złoto, co więcej, uzyskane bez użycia tynktury, „sposobem numer dwa”... Ile go zrobił? Co najmniej dwieście gramów. Metoda prania kruszcu i wprowadzania go na rynek jest banalnie prosta i w pewien sposób doskonalsza niż jego pomysły z odlewaniem sztabek.

Raz już spotkał członków Bractwa Drugiej Drogi. Wtedy zdołał ująć z życiem. Czy i tym razem wystarczy mu szczęścia? Jeszcze nic się nie wydarzyło. Nikt nie zginął, a jedynym śladem obecności wroga jest kawałek kamienia, spoczywający w kieszeni. Dlaczego w takim razie nie może pozbyć się strasznego przeczucia nadchodzącej zagłady?

Zadźwięczał dzwonek.

– Dopilnuj – powiedział do Moniki po grecku i natychmiast wyszedł z klasy.

– Dajcie preparaty – poleciła, biorąc z biurka pudełko.

– O rany, fajna lekcja była. – Gosia przygryzła wargi. – Skąd wiedziałaś o tym trądzie?

– Kiedyś trochę czytałam na ten temat – wyjaśniła.

Pozbierała szklane płytki, mikroskopy powkładała do pudełek i umieściła w szafie. Zamknęła ją na kłódkę, klucz zaniesie do pokoju nauczycielskiego. Obrzuciła pomieszczenie uważnym spojrzeniem. No, ładnie, Alchemik zostawił swój mikroskop. Zawinęła go w foliową torbę i włożyła do teczki.

– Zmiatajcie, muszę zamknąć salę. – Uśmiechnęła się do koleżanek.

Niechętnie podporządkowały się poleceniu. Magda została najdłużej.

– Dlaczego zwrócił się do ciebie „księżniczko”? – zapytała.

Co słysząc w jej głosie? Zainteresowanie, odrobinę podlane jadem? Chce, żeby ich koleżanka okazała się prawdziwą księżniczką? To otworzyłoby szerokie pole do popisywania się drobnymi złośliwościami. Nie. To zwykła ciekawość. Szczera i prostolinijna. Naturalna.

– Zażartował sobie z mojego nazwiska – westchnęła z udawanym bólem. – Byli kiedyś w Bośni książęta, którzy tak się nazywali.

– Aha...

Monika zamknęła salę. Musi złapać Mistrza i zapytać, co go tak gryzie. Może potrzebuje jej pomocy?

* * *

Alchemik znalazł Stasię w pokoju nauczycielskim. Jeden rzut oka na jego twarz wystarczył. Zrozumiała, że dzieje się coś niedobrego.

– Mamy kłopoty – powiedział poważnie.

– Czułam to – mruknęła. – Co się stało?

Bez słowa pokazał jej kawałek kwarcu.

– Bractwo Drugiej Drogi – rzekł cicho. – Zrobili to może tydzień, najdalej dwa tygodnie temu.

Twarz jego uczennicy w jednej chwili pokryła się trupią bledością.

– To niemożliwe... Musieli już wyrzucić. Bez tynktury nie da się oszukać czasu...

– A jednak. Wrócili. Nie wiem jak, ale są znowu *zmyślni*.

W zdenerwowaniu użył staropolskiego zwrotu. Zapadło milczenie. Wreszcie ona jako pierwsza zadała pytanie, które nurtowało ich umysły.

– Wiedzą o nas?

– Miejmy nadzieję, że nie... Ale uważaj na siebie. Masz broń, czy coś ci załatwić?

– Mam nagana.

– Nie będzie kłopotów z amunicją?

– Zostało jeszcze prawie pół pudełka. Muszę ostrzec Kasię. Cholera. A może po prostu wyjedziemy?

Przez twarz Alchemika przemknął cień.

– Nie będę uciekał przed tymi wszarzami – powiedział cicho, ale dobitnie. – Jestem mężczyzną.

– Wybacz, Mistrzu...

Kuzynka stała już przed szkołą w towarzystwie dziewcząt. Stasia wyszła z budynku z uśmiechem na twarzy.

– Gotowe? No to marsz na dworzec – zarządziła.

Katarzyny nie zdołała oszukać.

– Coś się stało?

Alchemiczka kiwnęła głową.

– Mówisz po niemiecku?

– Naturlich.

Przeszły automatycznie na ten język.

– Mamy poważne kłopoty, ja i Sędziwój. Ciebie to chyba nie dotyczy... Ale boję się, że możesz oberwać przy okazji.

– A ja? – Usłyszały znajomy głos.

Mówiły dość cicho. Nie spodziewały się, że Monika, idąca na czele kolumny uczennic, też zna ten język.

– Jedziemy chyba na jednym wózku. – Stasia wzruszyła ramionami.

– Ktoś nam zagraża?

– Tak. Mistrz podejrzewa, właściwie zdobył dowód, że w Krakowie działa Bractwo Drugiej Drogi.

– Co to za jedni? – zdziwiła się Katarzyna.

– W pewnym sensie opozycja... Alchemia to sztuka królewska, ścieżka wśród gwiazd, droga poznania. Samo zrobienie kamienia filozoficznego, jak widziałyście, nie jest trudne, ale by poznać sekret jego wytwarzania, trzeba podołać nie lada próbom... Trzeba dowieść siły swojego charakteru, a wiedzę zdobywa się latami, składając skrzętnie okrucieństwa i prowadząc setki doświadczeń...

– Jak rozumiem, tynkturę można uzyskać też innym sposobem? – zapytała informatyczka.

– Nie tynkturę. Jest tylko jedna droga, której kresem, ukoronowaniem wysiłków adepta jest kamień filozofów...

– Czym więc jest druga droga? – zdumiała się Katarzyna.

Stasia zmarszczyła nos.

– Można uzyskać złoto bez kamienia filozoficznego – powiedziała wreszcie niechętnie. – To właśnie druga droga.

– Interesujące – zauważyła jej kuzynka.

– To niegodne, niehonorowe i obrzydliwe – zgasiła ją alchemiczka. – Jak sadzisz, o co chodzi w naszych badaniach?

– Zdobycie złota?

– A po co zdobywać w takim trudzie coś, co przy odrobinie szczęścia można wykopać z ziemi?

– Długowieczność?

– To tylko miły dodatek. Tak naprawdę liczy się doskonalenie ducha i umysłu. Kamień filozoficzny nie jest celem samym w sobie. Jest efektem ubocznym, wynikającym z poznania praw rządzących materią... Tymczasem istnieją ludzie, dla których wiedza nie ma wartości, którzy nie zamierzają poświęcić lat, by trenować swą wolę. Pożądają tylko złota i znaleźli sposób, by je uzyskać. A przy tym nie posiadli tajemnicy, jak żyć setki lat, ani nie oczyścili swych dusz przez post, modlitwę i naukę... Mają złoto. Uzyskują je w nieograniczonych ilościach, ale nie osiągnęli stanu doskonałości...

– Czyli?

– Dlatego nienawidzą nas, alchemików, i zabijają, gdy tylko zdołają dopaść. Do każdego celu wiedzie wiele dróg. Nasza jest trudna i wyboista, a krocząc nią, uczymy się, że od osiągnięcia celu ważniejszy jest sposób jego zdobycia. Ich droga jest łatwa, ale jednocześnie wymaga poświęcenia swego człowieczeństwa.

– Krew młodych dziewcząt, zmieszana z oliwą, i rtęć – mruknęła Monika.

– Skąd wiesz?

– Słyszałam o tym jeszcze w Konstantynopolu...

Zatrzymały się na peronie. Uczennice, zamiast maszerować zwartą kolumną, nadciągnęły grupkami. Stasia westchnęła. Drażnią ją. Mają chaos w głowach i to, niestety, widać wyraźnie w ich codziennym zachowaniu.

– Wszystkie jesteście? No to pakujcie się do wagonu. – Jej oczy rzucały chłodne błyski.

Dziewczęta wyczuły, że jest zła, i potulnie wykonały polecenie.

* * *

Sklepek z artykułami i narzędziami jubilerskimi zaopatrzony jest znakomicie. Znajdują się w nim korale, perły, bez których w XII wieku nie mogła się obejść żadna apteka... Na ladzie leży stos tubek radzieckiej pasty diamentowej. Zatrzymał się i podniósł jedną z nich.

– Dziesięć złotych. – Sprzedawca beznamiętnie wyznaczył cenę.

Alchemik poznał w życiu wiele języków. Mowa Puszkina też nie jest mu obca. Przez chwilę studiował obłążącą etykietkę.

– Data przydatności minęła w 1987 roku – zauważył.

Właściciel sklepu uśmiechnął się lekko.

– Dlatego sprzedaje tak tanio. Faktycznie, olej lniany, na którym jest zrobiona, zjełczał i brzydko pachnie. Ale właściwości polerskich nie straciła.

– Istotnie – odparł Alchemik. – Diamenty są wieczne... Poproszę dziesięć tubek.

Zatrzymał się przed pancerną gablotką. Meteoryty. Powoli zaczyna się ich używać do robienia biżuterii. I bardzo dobrze. Szczerze powiedziawszy, nie spodziewał się takiego furtu.

– Pan to tylko sprzedaje, czy także skupuje?

Mężczyzna zlustrował klienta spokojnym spojrzeniem szarych oczu. Obcowanie z nieziemską materią uspokaja, pozwala zachować chłodny dystans do rzeczywistości. Od początku miesiąca nawiedziło go trzydziestu świrów, z których każdy twierdził, że znalazł meteoryt. Połowa z nich zadzwoniła wcześniej umówić się na spotkanie. Sprzedawca obejrzał osiemdziesiąt mniej lub bardziej interesujących okazów, jednak w tej powodzi kamienia nie było ani jednego okrucza meteorytu. Trzydziesty pierwszy klient był jednak inny niż jego poprzednicy. Miał w sobie coś, co przytłaczało.

– Proszę pokazać.

Mistrz wydobyl z kieszeni zawiniątko, a z niego cztery czarne kamienie. Złożył je krawędziami cięcia, by znowu tworzyły jedną całość.

Właściciel sklepu uniósł ćwiartkę i obejrzał uważnie. Czarna, szklista skorupa obtopieniowa, którą pierwotnie pokryty był meteoryt, częściowo odpadła, odsłaniając jasnoszarą skałę. W niej, jak robaczki świętojańskie, połyskują maleńkie ziarenka żelazoniklu. Koło gablotki stoi elektroniczna waga, ale ciężar czuje się w ręce. Pół kilograma, może więcej...

– Jak sądzę, Pułtusk? – upewnił się sprzedawca.

– Znalazłem go na wysoczyźnie na północ od Narwi – wyjaśnił Alchemik.

– Nie stać mnie na zakup... – zaczął.

– Chciałbym zamienić na kawałek meteorytu żelaznego – odezwał się Mistrz.

Sprzedawca zniknął na chwilę na zapleczu. Wrócił, niosąc aluminiową walizczkę.

– Oczywiście. – Z neseserka wyjął kilka sporych okazów.

Powierzchnię podtrawiono kwasem, by uwidocznić strukturę metalu. A jest ona niezwykła. Żelazonikiel w meteorytach występuje najczęściej w dwu odmianach: jako kamacyt i taenit. Krystalizując przez miliony lat w warunkach nieważkości, mieszają się, tworząc unikalną, niemożliwą do podrobienia siatkę.

– Proszę: białoruski pallasyt Brahin, afrykański oktaedryt drobnoziarnisty Gibeon, oktaedryty gruboziarniste Sikhote-Alin z rosyjskiego Dalekiego Wschodu, argentyński Campo del Cielo, a to nasz polski, Morasko – położył płytkę.

Alchemik oglądał kawałki w skupieniu. Meteoryt z Białorusi jest niewątpliwie najładniejszy. Szary metal przerośnięty zielonymi kryształami oliwinu i okruchami skały. Tylko co z tego, że ładny, jeśli do jego celów nieprzydatny? Polskie i rosyjskie też nie przypadły mu szczególnie do gustu. Metal, niekiedy upstrzony inkluzjami cohenitu, jednak mocno popękany, może się rozsypać w trakcie obróbki. Alchemik długo oglądał, aż wreszcie wybrał ładną, sporą płytkę Gibeona.

– Ta będzie odpowiednia – mruknął. – Biorę.

– Pan mnie źle zrozumiał. – Przez twarz sprzedawcy przemknął cień. – To wszystko dla pana za ten jeden. – Podrzucił w dłoni ćwiartkę, jedną z czterech przyniesionych przez Sędziwoja.

Mistrz spojrzał na niego zaskoczony.

– Mój jest drogi czy żelazne są tanie? – zapytał.

– Jeszcze na tym będę do przodu...

– Nie jestem kolekcjonerem. – Na twarzy Alchemika pojawił się lekki uśmiech. – Biorę tego, zostawiam mój. Reszty nie trzeba.

Sprzedawca wytrzeszczył oczy. Wariat? Nie, nie wyglądał...

– Oto moja wizytówka. – Wręczył klientowi kartonik. – Gdybym mógł kiedyś coś dla pana zrobić... Odwdzięczę się.

Michał zamyślił się na chwilę.

– Może kiedyś... – Wziął papierek i schował do portfela. – Umówmy się tak, że gdy będę potrzebował pańskiej pomocy, przyślę kogoś lub przyjdę sam. Znakiem, że chodzi o mnie, będzie sygnet z herbem Leliwa.

– Zapamiętam. – Uśmiechnął się człowiek za ladą.

Przed sklepem Mistrz obejrzał swój nabytek. Kawałek kosmicznego żelaza ważył niecały kilogram. To nawet więcej niż mu potrzeba...

* * *

Jak zdobyć pył diamentowy? Alchemik długo się nad tym zastanawiał. W dziesięciu tubkach pasty polerskiej jest go sporo, ale wymieszany ze zjełczałym olejem nie nadaje się do jego celów. A zatem...

Wycisnął zawartość tubelek do miski i zalał płynem do mycia naczyń. Założywszy gumowe rękawiczki, z zapalonym zaczął babrać się w tej brei. Wreszcie dolał wody do pełna. Dobra, a teraz odrobina techniki. Uruchomił wiertarkę z zamontowanym mieszadłem do farb. Rozpuszczenie prawie litra pasty zajęło mu parę godzin, ale cel wreszcie został osiągnięty. Olej wraz z pianą trafił do kanału. Na dnie miski osadziła się gruba na trzy milimetry warstewka jakby bardzo miążskiego piasku. Trzeba zlać wodę z resztkami detergentu, dodać nowej, zawartość miednicy wielokrotnie przepłukać, przemyć wodą destylowaną i osuszyć spirytusem.

Jednak efekt końcowy jest wart zachodu. Diamentowa mąka, proszek, pył właściwie... Idealny do jego celów. Co można zrobić z mielonymi diamentami? Cokolwiek. Można skleić je żywicą i uzyskać tarczę polerską, można szlifować tym brylanty, można czyścić precyzyjne wyroby z różnych szlachetnych metali. Ormiańskie kroniki Arakela z Tebryzu podają, że mielony diament może być użyty jako trucizna. Sędziwojowi nie chce się w to wierzyć. Co z tego, że krawędzie są ostre, jeśli w żołądku nie ma odpowiedniego tarcia... W każdym razie szkoda mu proszku na głupie eksperymenty.

* * *

Archaiczna waga szalkowa, zakurzona żarówka pod sufitem. Sklep ze stalą jest niewielki. Jego właściciel, stary ślusarz, wierzy tylko w metal. Żadnej elektroniki. Kasy fiskalnej też nie ma zamiaru sobie sprawić. Laszko jest w kłopotach. Nie zna języka. Na półkach zalegają stopy teowników, kątowników i innych elementów, jednak to go nie interesuje. Za to sztaby i pręty – owszem. Przeszedł się wzdłuż stelaży. Na pytanie sprzedawcy odpowiedział po węgiersku. Władca również angielskim, ale jeden rzut oka na starego mówi mu, że nie ma sensu nawet próbować dogadać się w tym narzeczu... Jak zatem rozpoznać odpowiedni metal? Po kolorze i po dźwięku, jaki wydaje.

Kawałkiem płaskownika puknął po kolei w siedem grubych, stalowych walców. Dźwięk przedostatniego zadowolił go.

– Poproszę to – powiedział w swoim ojczystym języku, kładąc sztukę stali na wadze.

Właściciel sklepu tylko się uśmiechnął. Jeden ślusarz zawsze pozna drugiego, nawet, jeśli nie potrafią się porozumieć... Nieznajomy cudzoziemiec musi być wysokiej klasy ekspertem,

skoro po dźwięku zdołał zidentyfikować najlepszą stal narzędziową. Właściwie to można udzielić mu i rabatu...

Reszty zakupów można dokonać w supermarkecie budowlanym. Laszlo wszedł do świątyni handlu. Obojętnie minął promocyjne zestawy wiertel na każdą okazję. To narzędzia jednorazowego użytku, totalny szmelc. Tymczasem on potrzebuje sprzętu wysokiej jakości, gdyż metal, który będzie obrabiał, nie na darmo posiada wszystkie międzynarodowe certyfikaty... W głębi między półkami znajduje wreszcie to, czego szukał – solidne wiertła do stali, produkcji niemieckiej firmy Krupp. Używał ich już kiedyś. Są upiornie drogie, ale na jakości nie należy oszczędzać. Zwłaszcza, gdy gra toczy się o tak wysoką stawkę...

W koszyku szybko zaczęło przybywać zakupów. Wiertarka z promocji nikomu nieznaną firmy za niecałe sto złotych. Kilka drobniejszych narzędzi. Długo przeglądał pojemniki z farbami, zanim znalazł to, czego szukał. Mała puszcza kleju kauczukowego różni się od innych. Po pierwsze, wykonano ją nie z aluminium, ale z żelaza, po drugie, jest wytłoczona z jednego kawałka blachy – nie ma żadnych lutowań, poza, oczywiście, kołnierzem. Po wyrzuceniu kleju i usunięciu niepotrzebnych elementów w sam raz nada się na tygielek. Wypatrzył tubę silikonu do uszczelniania przewodów kominowych. Ten materiał wytrzymuje temperaturę do 1500 stopni Celsjusza. Idealnie nadaje się na wymodelowanie formy, tylko ta cena... Machnął ręką. Ze sprzedaży złotego breloczka do kluczy, zdobytego wraz z samochodem, dostał niezłą sumkę, ale nie należy szaleć.

Co jeszcze jest potrzebne do szczęścia zabójcy wampirów? Są rzeczy, których nie kupi się w supermarkecie. Na przykład wióry magnezu. Odwiedził sklep z artykułami chemicznymi. Przy okazji zaopatrzył się też w dziesięć arkuszy znakomitego papieru ściernego o granulacji 1000. No i jeszcze jeden składnik.

Powędrował na dworzec kolejowy, a ściślej rzecz biorąc, nie dochodząc do dworca, dał nura przez dziurę w płocie. Na powierzchni kilku hektarów ciągną się wertepy, rowy, wądoły. Od szeregu lat trwa tu budowa Nowego Miasta – kompleksu usługowo-rozrywkowego, który ma otoczyć stację. Po prawdzie, od bardzo dawna nic się tu nie zmieniło, ale plany nakreślono z ogromnym rozmachem...

Węgier minął obojętnie stosy wszelakiego szmelcu i dotarł do torów kolejowych. Niebawem znalazł lekki łuk. W tym miejscu codziennie od wielu lat pociągi hamują, wchodząc w zakręt. Szyny są wyszlizgane i lśnią jak srebro, ale w rowkach i naokoło zalega gruba warstwa rdzawego pyłu – niemal czysty tlenek żelaza, w dodatku w postaci gotowej do natychmiastowego użycia. Pół kilograma wystarczy aż nadto.

Fajerki wały się po pomieszczeniu, ale gdy je pozbierał, okazało się, że żadnej nie brakuje. Kafle, białe, gliniane, z lat międzywojennych, nie zainteresowały szabrowników...

W palenisku umieścił cztery kawałki cegły. Pomiędzy nie nasypał garść termitu. Oczywiście podpalenie go zapalką nie wchodziło w grę. Temperatura zapłonu tego środka wynosi około tysiąca stopni. A zatem... Obsypał termit warstwą wiórów magnezu, a na

wierzchu umieścił kilkanaście polan. I podłożył ogień. Po kilku minutach przez drzwiczki błysnęło jaskrawym blaskiem jak od spawarki, a przez szpary buchnął biały dym, wypełniając całe pomieszczenie. A zatem magnez się zapalił...

Laszlo uśmiechnął się od nosem. Jak do tej pory, wszystko szło idealnie zgodnie z planem. Podniósł fajerkę pogrzebaczem. Powietrze nad płytą zadrgało. Posługując się długimi szczypcami, opuścił do środka puszkę po kleju z monetą w środku. A potem zadowolony usiadł na zydelku. Nie wiedział, ile czasu potrwa, zanim srebro przybierze postać płynną, ale przypuszczał, że ma przed sobą jakieś pół godziny. Okazało się jednak, że już po pięciu minutach żeliwna płyta pieca przybrała barwę najpierw brązową, potem ciemnowiśniową...

Dobra nasza, pomyślał. Teraz na pewno się stopi.

Po dalszych pięciu minutach rozżarzone do czerwoności fajerki zaczęły się lekko odkształcać. W kuchni zrobiło się potwornie gorąco. Łowca ujął w dłoń pogrzebacz i ostrożnie spróbował otworzyć drzwiczki pieca. Niestety, rozżarzony do białości skobel zmiękł i nie dawało się go podnieść.

Węgier zrozumiał, że poważnie przesadził z temperaturą. Upał panujący w pomieszczeniu wskazywał na to, że jeszcze kilka minut i cały dom zapłonie jak pochodnia.

– Trzeba natychmiast gasić – szepnął, rozglądając się w panice dookoła.

Ba, tylko czym? Wiadrem wody? Napełnił pospiesznie stary, blaszany kubel i chlusnął. Był to zdecydowanie głupi pomysł. W ostatniej chwili zasłonił oczy. Kafle zaczęły pękać z hukiem, a rozżarzone kawałki gwizdały wokoło jak pociski. Na szczęście ani jedna kropla cieczy nie dostała się do wnętrza pieca. W tej temperaturze woda rozkłada się na tlen i wodór. Zaś mieszanina tych dwu gazów...

Resztki pary wodnej rozwiały się. Żeliwna płyta pieca gięła się jak ciasto, zapadając do środka. Ujął pogrzebacz w dłoń i walcząc z potwornym żarem, zatrzaskał drzwiczki dymnika, a potem jeszcze szyber. Odskoczył, w obawie, że zaraz zapali się na nim ubranie. Brak tlenu powinien przyhamować proces spalania... Z wiadrem w dłoni pobiegł przed dom i szybko nagarnął do środka kilka szufelek piachu. Wrócił biegiem po schodach i osłaniając się przed morderczą temperaturą, sypnął z kubła na piec.

Metoda, którą zastosował, była przetestowana w 1986 roku do gaszenia płonącego reaktora elektrowni w Czarnobylu i, podobnie jak w tamtym przypadku, efekty były w zasadzie pozytywne. Czwarte wiadro praktycznie rozwiązało problem. Laszlo stał przy otwartym oknie, ciężko dysząc. Patrzył na swoje dzieło. Kopiec piachu przykrywał płytę. Zapadał się pomalutku, w miarę jak jego dolne warstwy ulegały stopieniu, ale proces ten przebiegał coraz wolniej i wolniej.

Jęzory stopionego na szkło piachu wypłynęły przez uszkodzone drzwiczki i kilka szerokich szpar, po czym zastygły na podłodze. „Wulkan” stygł powoli, co jakiś czas wydając niepokojące trzaski. To pękały cegły szamotowe i nieliczne ocalałe kafle. Z brzękiem

rozprysła się jedna z szyb w oknie. Na parapecie wylądował ciekawski krakowski gołąb. Zajrzał do wnętrza, przekrzywiając zabawnie łepkę, a potem zagruchał jakby z uznaniem.

* * *

Pociąg rytmicznie stukał po szynach. Stanisława wyjęła z koszyka ciasto, dwie butelki kwasu chlebowego własnej roboty oraz kubki. Poczęstowała kuzynkę i podopieczne.

– Hmmm. – Iza posmakowała nieznanego napoju.

– Nie upijemy się?

– Kwas chlebowy jest produktem fermentacji masłowej – wyjaśniła Katarzyna – więc nie zawiera alkoholu. Jeśli jednak wypijecie za dużo, jutro będziecie miały kaca.

Uczennica wytrzeszczyła oczy.

– To niesprawiedliwe!

Alchemiczka niebawem zapadła w drzemkę. Podróż jakoś ją rozleniwiła. Zresztą, co to za podróż? Dwie i pół godziny po szynach. Pamięta, jak z Warszawy do Krakowa tłukła się osiem dni na końskim grzbiecie... A dziś? Dziś można tam i z powrotem obrócić w pięć godzin...

* * *

Muzeum Narodowe w Warszawie jest przyjemnie rozległe. Zbiory należą do najbogatszych w Polsce. Na parterze po lewej, w rozległej galerii, obejrzyć można unikalne freski z katedry w Faras. Po prawej – ekspozycję prezentującą inne dokonania ludów starożytnych. Stanisława zebrała uczennice przed gablotą, w której czerwienią i czernią błyszczą greckie wazy.

– Monika, prosimy...

Księżniczka odchrząknęła lekko. Dawno nie miała okazji występować przed publicznością, ale nie ma tremy.

– Dla nas naturalne jest picie wina z kieliszka lub prosto z butelki – zaczęła wykład. – Jednak starożytni Grecy wysmialiby nasze prostactwo bez litości. W krajach basenu Morza Egejskiego, dalej na wschód aż do podnóża Kaukazu i w Lewancie, przyjęte było picie wina rozcieńczonego wodą w stosunku dwa do jednego. Dzięki temu można go było wypić naprawdę dużo, a nie zapominajmy, że ich biesiady trwać mogły nawet kilka godzin... Widzimy tu dwa podstawowe naczynia: amforę i hydrię. Amfora służyła do przechowywania wina i innych płynów. W hydrii przynoszono do stołu wodę.

– Ale one są identyczne – zauważyła Gosia.

– Wcale nie – odparowała Stanisława. – Amfora ma uszy dolepiione pionowo, a hydria poziomo.

– Wodę i wino wlewano do krateru. – Dziewczyna wskazała kolejne naczynie, wyglądające jak kilkilitrowy kielich. – I w nim mieszano.

– Niezły pucharek – mruknęła Magda. – Z pięć litrów jak obszył...

– Krater nie służył do picia, tylko do mieszania. – Uśmiechnęła się prelegentka. – Wino z niego czerpano najczęściej za pomocą oinochoai. – Wskazała gestem mały dzbanuszek. – I wlewano do psykteru. – Kilka egzemplarzy zdobiło kolejną gablotę. – Psykter wstawiano do napelnionego wodą kyliksu. – Wskazała misę na wysokiej nóżce. – Tam wino chłodziło się do temperatury konsumpcyjnej. Potem z psykteru przelewano je do kantarusu, to ten duży puchar, lub do takiego kubka zwanego skyfos.

– A kto to wszystko potem zmywał? – zdumiała się Sylwia.

– Kobiety lub niewolnicy. – Księżniczka uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Toż to kompletna głupota i strata czasu – obriszyła się Gosia. – Strugali wyrafinowanych, zamiast sobie zwyczajnie wypić... Kretynizm...

– To część naszej kultury – zauważyła z naganą w głosie Stanisława. – Cywilizacji białego człowieka nie zbudowano od razu, najpierw trzeba było wyeliminować przeżytki barbarzyństwa, wymyślić coś, co odróżnia człowieka kulturalnego od dzikusa. Rytuały picia wina czy japońskie zaparzania herbaty, dziś wydawać nam się mogą anachronizmem, ale kiedyś były pewnym wyznacznikiem pozwalającym identyfikować przedstawicieli cywilizacji.

– Moim zdaniem mogli to wszystko zostawić i skupić się na rozwiązywaniu problemów technicznych. – Brunetka zmarszczyła nos. – Poezja, garnki do wina i oliwa do namaszczenia ciała nie są niezbędne do szczęścia. – Spojrzała wyzywająco.

– Nigdy nie ufajcie technice – powiedziała nauczycielka, poważniejąc. – To, co nas otacza, kolorowe pisemka i seriale w telewizji, istnieją tylko tak długo, dopóki nie zabraknie prądu w gniazdkach. A może go zabraknąć w każdej chwili. Nagłe zachwianie cywilizacji technicznej, nagły rozkład instytucji państwa będzie próbą naszej kultury. I od naszego ucywilizowania zależało będzie, czy przetrwamy...

– Cywilizacja jest niezniszczalna – protestuje nieśmiało uczennica.

Stanisława milczy. Tyle razy na jej oczach walił się w gruzy odwieczny porządek... Rozbiory, powstania, wojny, grabieże... Widziała to dziesiątki, jeśli nie setki razy. Dwie ostatnie wojny uzmysłowiły, jak cienka jest otoczka, kryjąca miliony lat zezwierzęcenia i barbarzyństwa. Gosia... Niby ma szesnaście lat, ale to dziecko. Jeszcze nigdy w życiu nie sparzyła się poważnie.

– Rosjanie mogą być tu za sześć godzin. Tyle czasu zajmie ich czołgom dojechanie do Warszawy spod Smoleńska i Kaliningradu. Głowice atomowe mogą dolecieć szybciej...

– Jesteśmy w NATO.

Stanisława znowu milczy. Pamięta, jak w 1939 roku w Etiopii dowiedziała się o wybuchu wojny... Wtedy też byli sojusznicy. Zawsze są jacyś sojusznicy. I zawsze jakoś za daleko.

Uczennica uśmiecha się niepewnie. Sądzi, że wygrała to starcie. Demonstracyjnie przechodzi dalej, by obejrzeć zawartość kolejnej gablotki.

Księżniczka taksuje koleżankę uważnym spojrzeniem. Tak. Gosia nadawałaby się na niewolnicę. Należałoby tylko wysmagać jej krągły zadek jedwabną plecionką, by wbić do głowy trochę dobrych manier. Wzdycha. Kiedyś wszystko było o wiele prostsze.

Przeszły do sali po drugiej stronie holu. Tu kryje się plon wykopalisk profesora Michałowskiego – średniowieczne nubijskie freski z katedry w Faras. Twarze świętych, biskupów i królów starożytnej Nobadii, wydarte piaskom pustyni, ocalone przed zalaniem przez wody jeziora Nasera...

– Nawet nie wiedziałam, że w tamtych czasach na terenie Sudanu żyli chrześcijanie... – zdumiała się Magda.

– Jeśli chcesz sobie doczytać, to mogę ci pożyczyć książkę na ten temat. – Stanisława popatrzyła na zegarek.

Czas ucieka, a przecież trzeba jeszcze choć rzucić okiem na obrazy wiszące na piętrze. Wdrapały się po schodach na górę. Kilka sal, piękna kolekcja malarstwa niderlandzkiego, zbiory polskie... Zaprowadziła dziewczęta do Bitwy pod Grunwaldem. Jest tu jedno niebezpieczne miejsce, Alchemiczka odruchowo przyspieszyła kroku.

Księżniczka Monika została z tyłu. Zatrzymała się przed portretem wiszącym na ścianie. Oczy Stanisławy, cztery wieki temu namalowane na płótnie, patrzą tak samo spokojnie i przenikliwie jak dziś. To dobry obraz, podobieństwo uchwycono z fotograficzną wręcz dokładnością...

* * *

Alchemik wszedł do sklepu ze stalą. Przebiegł wzrokiem długi rząd próbek.

– Znajdą się pręty z tej listy? – Podał sprzedawcy długi wykaz.

– Oj, to bardzo rzadkie rzeczy – mruknął zafrasowany staruszek. – Ale zaraz zobaczymy na zapleczu.

Pręty nie różnią się praktycznie niczym, może minimalnie kolorem, ale aby zidentyfikować je po barwie, potrzebny jest naprawdę świetny wzrok. Na szczęście na końcach wybito oznaczenia. Trzy gatunki... Nie brak też stali węglowej, prawie czarnej, po zahartowaniu twardej i rozpaczliwie kruchej.

Alchemik podniósł paczkę i aż jęknął w duchu. Ciężkie draństwo. Dokąd teraz? Na Bieżanów. Dwadzieścia minut później zatrzymał samochód przed sporym budynkiem, mieszczącym narzędziownię zakładów remontowych taboru kolejowego. Naprawa wagonów podupadła, podobnie jak cała kolej. Przykre. Ale dzięki temu będzie mógł przeprowadzić to, co sobie zamierzył.

Budynek zamknięty był na głucho. Mistrz nie zraził się tym specjalnie. Załomotał w metalową bramę. Po kilku minutach, w chwili, gdy prawie już zdecydował użyć jednego z prętów jako łomu, wrota się otwały. Stał w nich stary cieć, ubrany w spłowiały drelich.

– Czego? – warknął.

– Potrzebuję dostępu do prasy, zwijarki i palnika acetylenowego – wyjaśnił Michał.

– Coś pan...

Alchemik wyjął z kieszeni stułotowy banknot i powachlował się nim.

– E, dla pana inżyniera wszyściutko zaraz uruchomię. – Cieć nagle przestał być ponury. – Zapraszam gościnnie.

Wkroczyli do starych, zakurzonych hal remontowych. Na końcu drzemała potężna prasa.

– Dość archaiczny model – zauważył gość. – Ale moc ma odpowiednią... Jak to działa?

– Zaraz, tylko załączę zasilanie...

Przekręcił ebonitowy przełącznik. Zapaliły się kontrolki, a ogromna masa stali wolno pojechała do góry.

– Detal kładzie się tu, zamyka klapę, wciska jedną ręką guzik zielony, drugą czerwony i łup – wyjaśnił cieć. – Ja, jak robiłem na akord, to sobie usprawniłem. W zielony wcisnąłem zapalnik, jedną ręką czerwony wduszałem, a drugą zmieniałem blachy. I na rękę mi zleciało.

Teraz dopiero Alchemik spostrzegł, że starcowi brakuje prawej dłoni. No cóż, do roboty... Przy uderzeniu rzędu kilku ton na centymetr kwadratowy pręty uległy spłaszczeniu na blaszki o grubości trzech milimetrów. Rzucił na próbę kawałek płaskownika, zgniótł, obejrzał. Do niczego, kucia tak nie zastąpi. Zrezygnował z prasy nie bez żalu.

Kawałek żelaza meteorytowego trzeba przepuścić przez wyciągarkę, zamienić w drut odpowiedniej średnicy...

– Macie tu kotlinkę kowalską?

– Jasne. Tylko sprawdzę, czy wentylator działa. Koks leży pod ścianą.

Bułat robiono na dwa sposoby. Mistrz oglądał sztylet księżniczki Moniki. W tamtym przypadku złożono klingę w harmonijkę i przekuto. Robota na dziesiątki godzin. Metoda, którą on chce zastosować, jest prostsza i szybsza, a uzyskana jakość zupełnie porównywalna. Wśród rozmaitych maszyn jest tu także urządzenie służące do skręcania. Końce stalowych prętów umocował w uchwycie imadła i dociągnął, posługując się dla zwiększenia siły stalową rurą. Drugie obejmą szczęki maszyny. Ustawił szybkość zwijania na jeden obrót co cztery minuty. Teraz wystarczy złożyć je razem, rozgrzać i skręcić. Potem skuć... Przenośne palenisko pozwala rozżarzyć detale do koloru jasnoczerwonego. Mistrz parzył się kiedyś trochę płatnerstwem. Ocenia barwę na oko.

Nie można dać za niskiej temperatury, bo stal nie uzyska odpowiedniej plastyczności. Nie można zbyt wysokiej, bo zmieni się struktura metalu... Puścił silnik w ruch. Przyszła klinga musi być równomiernie rozgrzana na całej długości. Wystarczy, że w którymś miejscu

temperatura zanadto wzrosnie i całą operację będzie można zaczynać od początku... Od wizyty w sklepie.

Pręty zwijały się pomalutku, przybierając stopniowo wygląd sprężyny, potem gęsto nagwintowanej śruby. Trzeba wiedzieć, kiedy skończyć całą zabawę, nim dalsze skręcanie przynosić zacznie więcej szkód niż pożytku...

Z torby wyjął młotek. Przyciągnął sobie bliżej potężne, stukilogramowe kowadło. Siedem godzin. Stróż skończył pracę i zostawił go pod opieką zmiennika. Temu też trzeba będzie dać banknocik. Ostatnie nagrzewanie. I ostatnie już uderzenie młotkiem. Teraz szlifierka, ale ostatnie polerowanie i tak trzeba wykonać ręcznie, aby wydobyć całą urodę struktury metalu.

Alchemik cierpliwie pracował nad ostrzem. Musi być jak brzytwa. Trzeba jeszcze wytrawić napis, pociągnąć literki amalgamatem, wyprażyć. Nikt już nie stosuje dawnej techniki złocenia w ogniu. Piętnasta godzina pracy. Ostatni etap – hartowanie. Kiedyś rozgrzaną klingę zanurzano we krwi pokonanych wrogów. Ale jemu bardziej przypadła do gustu metoda współczesna. Piec, olej hartowniczy...

Wreszcie posypał ostrożnie głównię diamentowym proszkiem. Warstewka musi być cieniutka i równa. Teraz przydałby się silny laser. Najbliższy jest jednak na Politechnice Śląskiej... Trochę daleko. W sumie laser nie jest nawet niezbędny. Można go zastąpić wyładowaniem elektrycznym. Musi tylko być odpowiednio silne. Tak z pół miliona wolt. To też przewidział. Kawałek grubego, stalowego pręta, kabel siłowy dający trzysta sześćdziesiąt wolt. Kondensator i powielacz napięcia.

Pstryknął przełącznikiem. Oślepiający błysk, piekielny huk. W całej remontowni wywaliło korki. Włosy Alchemika stanęły dęba. Cięż w dyżurce zakrztusił się kanapką. Nie spodziewał się aż takich atrakcji...

– Włącz zasilanie. – Mistrz stanął w drzwiach kanciapy.

– Ale... – wykrztusił strażnik.

Na widok banknotu umilkł i wykonał polecenie. Alchemik obrócił klingę na drugą stronę. Kolejny powielacz napięcia, z pierwszego niewiele zostało. Ostatnie uderzenie. Znowu trzeba włączyć zasilanie.

– Dużo jeszcze? – sarknął stróż. – Zaraz nam spadnie na kark policja i straż pożarna.

– Już skończyłem...

Wyładowanie związało diament ze stalą w monolit. Dobrze, że naostrzył broń wcześniej, teraz nie byłoby to już możliwe. Klinga nabrała twardości 10 w skali Mohsa.

Przymocował jelec i rękojeść. Strażnik obserwował go, żując w zadumie kanapkę. Sędziwój skończył pracę. Szabla jest gotowa. Wykonał ją z materiału, który bardzo przypomina bułat. Naostrzył. Zahartował. Jego broń to kwintesencja dwóch tysięcy siedmiuset lat epoki żelaza. W kawałku metalu zaklęła wiedzę dziesiątków pokoleń płatnerzy. Trzeba jeszcze przeprowadzić próbę.

Rzucił w powietrze kawałek szmatki i jednym ruchem przeciął ją w powietrzu na pół. Dobra brzytwa jest w stanie uciąć luźno zwisający włos. Sprawdził. Tak jak przypuszczał, jego szabla też jest w stanie tego dokonać. Ostatnia próba. Z betonowego filaru sterczał odgięty kawałek zbrojenia. Alchemik zadał cios i ucięta końcówka upadła na ziemię. Na głowni nie pozostał żaden ślad. Uśmiechnął się szeroko, jego oczy zaślniły drapieżnie. Przydałoby się wypróbować broń w walce. Tylko gdzie szukać odpowiedniego przeciwnika?

Cięć, widząc taki popis umiejętności szermierczych, zastygł z kęsem chleba w ustach. Chciałby zakląć z uznaniem, ale złote litery na głowni ostrzegają:

Pilnuj gęby, bo – wytnę zęby.

Nad Krakowem powoli wstawał świt.

Rozdział IV

Siódma wieczorem. Męczący dzień, trzy godziny jazdy do Warszawy, dwie godziny na miejscu, trzy na powrót... Stanisława położyła się na łóżku i, podłożywszy sobie pod plecy poduszkę, czytała książkę. Katarzyna haftowała krzyżykami jakiś obrazek. Księżniczka zdjęła z półki w kuchni kamionkowy garnek. Wyrzuciła jego zawartość na łóżko. Miesięczny zarobek, kolorowe banknoty wręczane jej przez leniwych studentów filologii klasycznej i tych jeszcze bardziej leniwych, ze słowiańskiej. Mimo że podśrubowała ostatnio ceny, popyt na jej usługi nie zmalał. Odkryła za to, że sama jest leniwa. Nie ma siły ani ochoty pracować zbyt intensywnie. Dwadzieścia stron tłumaczenia dziennie to norma, której stara się nie przekraczać. No, chyba że trafi się coś naprawdę ciekawego... Przeliczyła. Prawie osiem tysięcy złotych.

– Dwa tysiące dolarów – powiedziała z zadowoleniem.

Stanisława oderwała wzrok od książki.

– Nieźle sobie radzisz – stwierdziła.

– Ile dołożyć do wspólnego gospodarstwa?

Alchemiczka potarła nos.

– Eeee... – Machnęła ręką. – Kto władca, musi żywić swój lud. Zarobiłaś, schowaj sobie.

Monika prychnęła. Jednym szarpnięciem rozerwała koszulę na piersiach, pokazując herb.

– Jestem księżniczką z rodu Stiepankoviców!

Popatrzyły na siebie jak rozwścieczone kotki, a potem parsknęły serdecznym śmiechem. Feudalizm i jego prawa odeszły już w niebyt... Niestety. A może na szczęście?

Przyszyć urwanych guzików zajęło tylko kilka minut. Narzuciła na ramiona polar i wyszła z domu. Zapadał wczesny, zimowy zmierzch. Ruszyła Plantami. Mijała grupki spacerujących ludzi. Wreszcie zanurkowała w Bramę Floriańską. Malarze kończyli już pakować swoje „dzieła”, jednak antykwariaty nadal były czynne. Wstąpiła do jednego z nich.

We wszystkich niemal krajach handel curiosami i dziełami sztuki rządzi się własnym kodeksem. To, co leży w gablotkach, to przeważnie szmele przeznaczony dla początkujących kolekcjonerów lub przypadkowych nabywców, kupujących pod wpływem impulsu. Lepszy towar wystawia się na aukcjach. Raz na jakiś czas trafiają się rzeczy naprawdę ciekawe, te odkładane są dla stałych i zaufanych klientów. To dobry antykwariat. Stanisława kupiła tu swój chiński wachlarz. I, oczywiście, obowiązują tu te same zasady...

– Czym możemy służyć? – Sprzedawca na widok tego złotowłosego cielątka poczuł dziwne i niesprecyzowane ukłucie niepokoju.

– Szukam jakiegoś ładnego drobiazgu... Interesują mnie Bizancjum lub Bałkany, powiedzmy od ósmego do piętnastego wieku.

Rzucił jej ostre, badawcze spojrzenie. Nie, nie żartuje. Z drugiej strony, taka smarkuła... Wyczuła jego wahanie.

– Potrzebuję czegoś, co komponowałoby się z tym. – Położyła na ladzie sztylet.

Wysunął go z pochwy i gwizdnął lekko. Prawdziwy bułat. Antykwariusz pracował w swoim zawodzie od przeszło czterdziestu lat. Do tej pory tylko raz trzymał coś podobnego w ręce, a i to na wycieczce, gdy z innymi historykami sztuki zwiedzał Orużejną Pałacę – zbrojownię moskiewskiego Kremla. Kilka razy natrafił na wzmianki o podobnych wyrobach w katalogach najpoważniejszych domów aukcyjnych. Jedno badawcze spojrzenie na twarz klientki kazało mu się domyślić, że przedmiot nie jest na sprzedaż. Podeszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

– Pani pozwoli. – Gestem wskazał przejście prowadzące na zaplecze.

Weszli do niewielkiej pakamery. Otworzył kolejne drzwi, grube i stalowe. Skarbczyk nie był duży, może trzy na trzy metry. Na ścianach ze zbrojonego betonu wisiało kilka obrazów. Po lewej stały szafy pancerne. Na szerokich, dębowych półkach regałów zalegały rozmaite przedmioty.

– Odlamek steli nagrobnej, Bizancjum, XII wiek naszej ery. – Z dumą zaprezentował płytę z białego, lekko żyłkowanego marmuru o rozmiarach dużego albumu.

Księżniczka podrapała się po nosie.

– Robota prowincjonalnego warsztatu – zauważyła. – W napisie jest błędów ortograficznych jak nasiał... Dla mnie ciut nieporęczna...

Sprzedawca poczuł przypływ szacunku. Łamał napis ze słownikiem w ręce przez cztery godziny, a ona tylko rzuciła okiem...

– Mam też coś takiego. – Pokazał jej plakietkę żółtego koloru.

– Okładka od dyptychu – mruknęła. – Mały format. Klejona kość słoniowa?

– Owszem. Może siódmy wiek naszej ery. I niedrogo, raptem dwanaście tysięcy złotych.

Pochyliła się nad pudełkiem i podniosła niewielkie okucie z brązu.

– Od siodła – zidentyfikowała.

Przymknęła oczy. Był chłodny dzień. Weszła do ciepłej stajni przesyczonej zapachem siana i koni. Czuła ich krew wędrującą niespiesznie w żyłach. Gdzieś w jej mózgu narastało pragnienie, silne, pierwotne, trudne do opanowania. Osiodłała klacz i pojechała za miasto. Księżniczka nie powinna samotnie zwiedzać okolicy, ale nie przejęła się tym. Nie mogła zabrać ze sobą nikogo. Nie tym razem. Przy siodle zawiesiła kołczan ze strzałami oraz lekki słowiański łuk wykonany z rogu jelenia. Łatwo się go napinało, zasięg miał niewielki, ale w

razie czego wystarczy. Tylko czy naprawdę musiała to ze sobą taskać? Okolica była zupełnie bezpieczna.

Pojechała w góry, dobrze znaną jej ścieżką. Ktoś dawno temu wytyczył tu szlak. Przez krzaki i zagajniki pinii wiedzie starożytna droga, wyłożona zniszczonymi, kamiennymi płytami. W szparach rośnie trawa, momentami trakt gubi się pod osuwami błotnymi, ale księżniczka zdążyła go już zbadać, wie, gdzie szukać kolejnych odcinków. Minęła miejsce, w którym kiedyś znajdowała się nieduża wioska. Może jej ludność wymarła dwieście lat wcześniej, a może tysiąc. Monika nie zastanawiała się nad tym. Resztki kamiennych ścian już się rozsypywały.

Droga weszła w gęsty zagajnik. Księżniczka na wszelki wypadek wzięła do ręki łuk. Rozbójników tu nie było, lwy wytępiono już dawno, ale wilki czasem się pojawiają. Tylko że klacz wyczuwa je z odległości kilometra. Szkolono ją do walki. Rumowisko. Monika musiała zsiść i przeprowadzić zwierzę pomiędzy głazami. I już. Znalazła się na miejscu. Uroczą dolinką otoczoną stromymi skalnymi ścianami. W takie chłodne dni wypełniał ją mleczny opar mgły. Staw zasilają gorące podziemne źródła. Nad nim widniało ułożone z kamieni nabrzeże i zwaliska niedużej willi. Jedna marmurowa kolumna sterczała dumnie w niebo, inne runęły dawno temu. Kto tu mieszkał? Kiedy? Z kamienistego dna wyłowiła raz złotą monetę z sową. To symbol pogańskiej bogini – znak Aten.

Nikt tu nie zachodzi, okolica jest zupełnie odludna. Nawet gdyby ktoś się pojawił, nie zauważy jej we mgle. Ale ostrożności nigdy na wiele, położyła łuk na płaskim kamieniu. Rozebrała się do naga i rozpuściła włosy.

Woda. Cieplesza niż w porfirowej wannie, czystsza niż w termach pałacu cesarskiego w Konstantynopolu. Wyciągnęła się na wznak i pozwoliła, by uniosły ją fale. Jak przyjemnie... Zawróciła. Klacz stanęła na brzegu i pochyliwszy głowę, gasiła pragnienie.

Nadeszła pora, by podjąć decyzję. Od wielu miesięcy odkładała ją na później. Wie, co się z nią dzieje. Wie od dwu lat, gdy poczuła pierwszy raz, jak pod językiem nabrzmiwa jej ssawka. Jest wampirem. W jej rodzie czasem się to zdarzało. Nieczęsto, raz na pokolenie mniej więcej.

Jest wampirem i musi napić się końskiej krwi, zanim zwariuje. Jej kuzynka Mira dawno już ją podejrzewała i wyjaśniła, co ma robić. Skąd Stiepankovice czerpią tę wiedzę? Dlaczego akurat konie? Nie wiadomo. Początki jej rodu nikną gdzieś we mgle spowijającej świt dziejów.

Uklękła i pomodliła się. Napije się końskiej krwi. To zmieni ją ostatecznie. Czy będzie potępiona? Wedle miejscowych teologów – tak. Ale z drugiej strony, czy Bóg będzie ją karał za to, co jest częścią jej natury? Nie da się wykluczyć. Religia to właśnie wyzwanie rzucone naturze i prymitywnym popędom.

Zawahała się. Miała sztylet, mogła podciąć sobie nadgarstki i położyć w ciepłej wodzie jak uczniowie Epikura... Tylko że samobójstwo jest grzechem. Za to idzie się do piekła. Czy

picie końskiej krwi też jest grzechem? Nie wiedziała. A zatem wybór był prosty. Mogła pozostać człowiekiem, tyle że martwym i potępionym, albo wampirem, żywym i nie wiadomo, czy potępionym. Jeśli się zabije, pójdzie do piekła. Natychmiast. Jeśli zostanie przy życiu, nie wiadomo. Może kiedyś tak, ale przecież jeszcze nie teraz. Głupia. Do tak prostych wniosków dochodziła tyle czasu...

Podeszła do klaczy i położyła jej rękę na grzbiecie. Jak trudno zabrać się za to samej. Dlaczego nie ma przy niej nikogo bliskiego? Dlaczego wybrała akurat ten dzień i dlaczego swoją ulubienicę? Objęła końską szyję i przytuliła się. Klacz poczuła szóstym zmysłem coś niedobrego, położyła po sobie uszy. Drobną dłoń księżniczki czochrająca grzywę pomogła jej odzyskać spokój... Dziewczyna wtuliła twarz w skórę zwierzęcia. Drobne włoski łaskotały ją w nos, powieki zamkniętych oczu, piersi, brzuch. Poczuła, jak sutki twardnieją, stają się wrażliwe na dotyk. Rozchyliła usta. Już czas. Ssawka bez udziału jej woli wślizgnęła się w sierść. Gdy przyłgnęła do skóry, klacz drgnęła. Jeden raz, zespolenie było prawie bezbolesne.

Rozum się wyłączył. Tylko instynkt. Poczuła ciepło rozchodzące się w żyłach, mrowienie w dole brzucha i dziwną błogość ogarniającą całe ciało. Pragnienie ustąpiło. Odczepiła ssawkę i jeszcze długą chwilę trwała przytulona do ciepłego, końskiego boku. Spojrzała, czy nie trzeba założyć opatrunku. Nie. Na skórze zwierzęcia została tylko niewielka, przysychająca, brązowa plama.

Smak krwi w ustach był bardzo nieprzyjemny, ale domyślała się tego już wcześniej. Zabrała z domu woreczek daktyli. Żucie owoców pomogło. Dała też całą garść konikowi. Zasłużył. Było jej zimno, ciało ogarnęły dreszcze. Trzęsła się jak przy najgorszej febrze. Bolały ją serce i głowa. Czuła mrowienie pod skórą. Ubrała się w suknię. W zacisznym zakątku ocalałych ścian starożytnej willi rzuciła na ziemię matę i gruby, tkany z wełny koc.

Zwinęła się w kłębek i nakryła owczą skórą. Pod głowę podłożyła siodło. Trzęsło nią coraz gorzej. Ale wiedziała, że to minie. Nie jest dobrze chorować w samotności. Powinna wziąć ze sobą niewolnicę. Na przykład tę małą Nubijkę od sąsiadów. Miałby kto rozpalić ognisko i Monika mogłaby spać ze świadomością, że ktoś czuwa obok. Albo wziąć ją w postanie, niech grzeje plecy. Dotknęła czoła. Wysoka gorączka. Wciągnęła powietrze. Pokrywający ciało gęsty, perlisty pot przypominał zapachem zgonionego konia.

Ale za kilka godzin poczuje się jak nowo narodzona. I w pewnym sensie będą to nowe narodziny. Czas zatrzyma się dla jej ciała. Przeżyje całe wieki, a przy odrobinie szczęścia może nawet tysiąclecie. Coś uwierało ją w policzek. Drobne okucie ze srebrzonego brązu.

– Tysiąc czterysta złotych – szepnął antykwariusz, widząc, że wyrwała się z zadumy.

– Dziewięćset – rzuciła swoją propozycję.

Poskrobał się z frasunkiem po głowie...

* * *

Ósma rano. Księżniczka zasiadła w ławce. Wyjęła książkę, zeszyt oraz wieczne pióro. Położyła przed sobą okucie i uśmiechnęła się do swoich myśli. Historyczka nadal jest chora – tym razem zastępstwo ma Stanisława. Kilka uczennic na jej widok przygarbiło się nieco. Ale lektorka jest w dobrym humorze.

– Dziś pomówimy sobie nie o przeszłości, ale o przyszłości – powiedziała z uśmiechem.

Wytrzeszczyły oczy.

– Zastanówmy się wspólnie nad takim problemem: nasza cywilizacja w ciągu ostatnich siedmiu tysiącleci wykonała skok od kultury zbieracko-łowieckiej do lotów w kosmos. Wiecie, jak wyglądało ostatnie dwieście lat. Spróbujmy zatem pofantazjować sobie, co będzie za kolejne dwadzieścia, czterdzieści, może sto...

Magda wyciągnęła z torby czytany numer „Nowej Fantastyki”.

– „Polska 2036 r. Szwecja przystępuje do wypłaty szóstej transzy odszkodowań za Potop” – przeczytała na głos.

Po klasie przeleciał chichot.

– Nie ściągaj. – Stanisława też była rozbawiona. – Wymyślmy coś sami...

Monika podeszła do biurka.

– Przepraszam, czy mogę na chwilę...

Trzaśnięcie drzwi. Wszedł dyrektor, błady jak ściana.

– Pani Kruszevska, inspekcja z kuratorium...

Aha! Zrozumiała od razu, dlaczego tak zbladł. Przysłali dranie niezapowiedzianą kontrolę. Kierownik szkoły spostrzegł błysk w jej oku i teraz naprawdę się przestraszył. Czuł przez skórę, że ta nieobliczalna kobitka zaraz wytnie jakiś numer.

Wizytatorów było dwoje. Ponury facet i wyniosła dama w garsonce. Oboje byli skrzywieni, jakby właśnie przełknęli po kawałku cytryny. Usadowili się na końcu sali. Po co tu przyszli? Dla Stanisławy jest to jasne. Od pewnego czasu władze mnożą bariery biurokratyczne, jak tylko mogą, przeszkadzają prywatnym szkołom przetrwać trudny okres recesji. Pewnie będą szukać dziury w całym. Liczą na to, że w wyniku kontroli szkoła utraci dotację. Dlaczego zjawili się akurat na lekcji historii? Widocznie przynajmniej jedno z nich jest historykiem. Szukają haka? Niech się udławia.

– Proszę kontynuować – mruknął mężczyzna.

Stanisława wiedziała już, co ma zrobić. Jest za młoda na nauczycielkę, mogą się tego czepić, musiała zatem maksymalnie odwrócić uwagę od siebie. Monika ciągle stała obok z niewinną minką. Hmmm. Pewnie chciała wyjść do toalety. Wytrzyma do końca lekcji? Chyba będzie musiała.

– Właśnie przepytywałam uczennicę – wyjaśniła nauczycielka. Odwróciła się w kierunku księżniczki. – Dalej proszę...

Monika mówiła nie do końca składnie, czasem brakowało jej jakiegoś wyrazu. Opisała historię tragicznej w skutkach pomyłki... Stefan Duszan ogłasza się carem Wielkiej Serbii, zaczyna się fatalna w skutkach wojna z Cesarstwem Bizantyjskim. Jan VI Kantakuzen wzywa na pomoc Turków osmańskich. Ci opanowują Bałkany i zwracają się przeciw dotychczasowemu suwerenowi. Mija zaledwie stulecie. Odsiecz pod wodzą polskiego króla Władysława zostaje rozbita pod Warną. Po kilku latach oblężenia upada Konstantynopol.

Wizytatorom szczęki opadły. Do tej pory nie słyszeli nawet, że poganie zaraz po zdobyciu Bizancjum rzucili ogromne siły na północny wschód, by wreszcie upokorzyć Gruzję i Armenię. Księżniczka opisała wypadki, wyliczyła ważniejsze miasta, daty, nazwiska dowódców. Była tam, ale o tym oczywiście nie wspomniała. Z lekką kuszą w dłoni, w niedużym oddziale ormiańskiej partyzantki. Zabiła wielu tureckich żołnierzy i może przynajmniej trochę przyczyniła się do ocalenia chrześcijańskiego kraju...

– No, siadaj, czwórka. – Stanisława odesłała ją na miejsce.

Wróg został częściowo spacyfikowany, teraz pora go dobić.

– Przejdźmy do omawiania sytuacji na Półwyspie Bałkańskim i w basenie Morza Śródziemnego.

Wykładała przez piętnaście minut w podobnym stylu jak księżniczka. Opowiedziała o sytuacji w Serbii i Bośni, o próbie budowy na gruzach cesarstwa niezależnych państw, o rozpaczliwym wysiłku zatrzymania fali islamu. O klęsce. Urwała w pół zdania.

– Sytuacja nie byłaby pełna, gdybyśmy nie omówili sobie jeszcze, jak to wyglądało od południa. Czy ktoś na ochotnika opowie nam o chrześcijanach w Nubii?

Na ochotnika? Wolne żarty. Zagrała *va banque*. Cała nadzieja w tym, że Magda zdążyła przeczytać pożyczoną książkę... Cuda się zdarzają. Uczennica podniosła dłoń.

– Na ocenę?

– Hmmm. Wolałabym postawić plusa za aktywność, ale jak się postarasz, pomyślimy. Niech ci będzie.

Pozostałe uczennice ledwo mogły wysiedzieć z emocji. Magda opowiadała. Nobadia, Makuria, Alodia... Unicestwione królestwa ożyły. Rok 745, armia chrześcijańska uderza z południa na islamski od dawna Egipt w obronie patriarchy Aleksandryjskiego. Szaleńcza wyprawa tysięcy kilometrów na północ przez wrogi kraj, podjęta dla ratowania jednego człowieka. I dla ratowania swojej wiary.

Wszyscy milczą wstrząśnięci. Wreszcie Magda dochodzi do tragicznego roku 1504. Upada Alodia. Blisko tysięcy lat chrystianizacji Nubii staje się tylko pięknym wspomnieniem. Niedobitki chrześcijan wycofują się do królestwa Aksum, do Etiopii. Ci, którzy pozostali, jeszcze przez całe dziesięciolecia będą ukradkiem palić lampki i modlić się w zasypywanej przez piaski katedrze w Pahoras...

– Nieźle, masz czwórkę na zachętę.

W rzeczywistości wpisała tłustą szóstkę. Niech się dziewczyna cieszy.

Wizytatorka sama jest historykiem. Jest nawet metodykiem nauczania. W życiu nie widziała czegoś podobnego. Ba, nigdy wcześniej nie słyszała o tych wydarzeniach. Chrzęścianie w Afryce, stawiający opór Arabom jeszcze w XVI wieku?

– Gdzie pani studiowała? – Spojrzała na Stanisławę oczyma rozszerzonymi ze zdumienia.

– Nie jestem historykiem z wykształcenia. – Przeciwnik został rozgromiony. Teraz trzeba go wdeptać w ziemię. Alchemiczka uśmiechnęła się lekko. – Pracuję tu jako lektorka francuskiego, poproszono mnie o zastępstwo na czas choroby nauczycielki przedmiotu. Daleko mi do jej wiedzy i fachowości, omawiam więc z uczennicami tylko prostsze zagadnienia.

Dzwonek. Księżniczka pobiegła do toalety. Wizytatorzy wyszli. Kobieta w garsonce co chwilę kręciła głową. Czuła się kompletnie otumaniona.

– Ale ich pani załatwiła – wyszeptała Magda.

Lektorka popatrzyła na klasę. Odpowiedziało jej spojrzenie dziewiętnastu par oczu. We wszystkich wyczytała głęboki podziw. Wiedzą, co zrobiła i jak zrobiła.

– Zapamiętajcie, moje drogie. – Uśmiechnęła się, ale jej głos stwardniał. – Urzędnicy są jak wszy. A wszy ssą krew i przenoszą różne choroby, które nas osłabiają... Dlatego takie insekty trzeba roznosić. Bez litości.

* * *

Dochodziło południe. Węgierski łowca wampirów spojrzał na zniszczony piec i splunął ponuro. Ujął w dłoń przecinak oraz młotek, potem zdjął pierwszą warstwę – geologiczną. Nie cały wsypany do pieca piach uległ stopieniu. Na wierzchu był sypki i dał się, choć z pewnym trudem, odgarnąć na bok. Pod nim ukazała się chropowata powierzchnia, przywodząca na myśl piaskowiec. Górne warstwy były kruche i ustępowały w miarę łatwo pod mocnymi ciosami, ale głębsze zastygły na kamień. Po kilkunastu minutach Laszlo stwierdził, że nie da sobie rady. Pod ciężkim, szarym szkłem widać było pofałdowaną powierzchnię stopionej żeliwnej płyty. Od biedy nawet dało się zauważyć, gdzie kiedyś były fajerki, ale zaspawały się na amen.

Uniósł odbity młotkiem kawałek do oczu. Szare szkliwo, w nim zatopione krople metalu... Widział już kiedyś coś takiego, na uniwersytecie w Budapeszcie, gdy z dziadkiem oglądali kolekcję meteorytów. Jeden z nich, pallasyt Brahina, wyglądał, wypisz, wymaluj, jak to gówno... Tylko był nieco bardziej zielony. Potłuc na kawałki i spylić kolekcjonerom? Hmm, nie taki głupi pomysł...

Górą się nie dało, to może bokiem? Albo wręcz od spodu? Boczne drzwiczki prowadziły do popielnika. Otworzył je i popatrzył w zadumie na zastygłe sople stopionego żeliwa. Z

rusztu nie zostało wiele. Tędy też się nie przebiję. A zatem srebrna moneta, a raczej jej szczątki, pozostanie na zawsze zatopiona w szklistej masie. Trudno. Trzeba zdobyć inną.

Westchnął ciężko. Przeszedł do sąsiedniego pokoju. Kawałek stali narzędziowej, stojak... Przesunął opuszką palca po czubku wiertła. Stępiło się znacznie, ale nie miało to już większego znaczenia. Prawie kończył...

Puścił w ruch wiertarkę. Nie mógł użyć pełnej mocy, ponieważ stal zanadto się nagrzewała, co groziło rozhartowaniem. Po kilku minutach borowania zrobił przerwę i dla odmiany zajął się mechanizmem spustowym.

Przez wiele godzin zastanawiał się nad sposobami odpalenia ładunku i doszedł do przykrego wniosku, że posiadanymi narzędziami nie jest w stanie wykonać prawidłowo działającego zamka karabinowego. Także łamana lufa, taka jak w dubeltówce, okazała się zbyt skomplikowana technicznie. Cóż zatem mu pozostało? Zewnętrzny zapłon kapiszonowy, stosowany powszechnie od początków osiemnastego do połowy dziewiętnastego stulecia. Samopał będzie, niestety, wyglądał potwornie archaicznie i prymitywnie, ale przecież liczy się skuteczność, a nie wygląd. Kolba też była prawie gotowa. Solidna, dębowa – odpowiednie krzesło poniewierało się w sąsiednim pokoju – laga, w której, używając przystawki do wiertarki, wyfrezował odpowiednie leże na lufę. Im cięższa broń, tym mniejszy odrzut. Odpada ryzyko połamania palców już przy pierwszym strzale... Zakończył wiercenie i zmierzył głębokość. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Osadził gotową lufę w kolbie. Nawiercił cienką dziurkę, łączącą panewkę z komorą. Do spustu użył znakomitej sprężyny. Jak ją zdobył? Wymontował z parasolki, leżącej w kubie na śmieci...

Wreszcie zakończył pracę. Odwiódł kurek, wycelował i pociągnął za spust. Mechanizm zadziałał bez zarzutu, tylko na panewce nie było jeszcze spłonki, a w lufie nie czekał ładunek. Ale broń zasadniczo była gotowa do użycia...

Stary kabel zwisający ze ściany pamięta czasy przedwojenne. Laszlo ogląda go uważnie. Istny majstersztyk ówczesnej myśli technicznej. Ołowiany płaszcz kryje w sobie tkaną z bawełny i solidnie nawoskowaną rurkę. W niej znajdują się trzy druty, każdy zawinięty w kolorowy i także nawoskowany papier. Kable i izolacja go nie interesują, choć podziwia staranność wykonania. Posługując się bagnetem, pruje ołów. Kawałki szarego metalu wrzuca do puszek po tuńczyku. Kuchnia jest zniszczona, więc uruchamia piec w pokoju. Tym razem nie musi używać magnezu, termitu ani podobnych substancji. Ołów topi się bez problemu na niewielkim ogniu.

Potem wystarczy wlać płynny metal do formy. Wystudzić pod kranem. Rozbić gips. I gotowe. A raczej prawie gotowe. Kulę należy nawiercić i wlać do środka rtęć z trzech rozbitych lekarskich termometrów. Otwór trzeba zaszpuntować. Na przykład szybkowiążącym klejem dwuskładnikowym.

Szykuje broń. Proch wyluskany z petard, przybitka. Kula i kolejna przybitka. Kapiszony też posiada... Warto by gruchnąć sobie tak dla sprawdzenia, czy broń działa. Tylko że nie bardzo jest gdzie...

Laszlo wyrusza na Stare Miasto. Pieszko. Samochód wprowadzie został fachowo zamaskowany, ale woli, żeby sprawa ciut przyschła. A zatem trzeba brać się do roboty. Księżniczka Monika Stiepankovic zapewne jest gdzieś w pobliżu. Jak ją odnaleźć?

Wraca pamięcią do nauk dziadka. Wampiry nie czują się dobrze w pełnym słońcu, wolą dni pochmurne. Są bardzo aktywne jesienią i w zimie, wiosnę i lato najczęściej przesypiają w grobowcach. W nocy widzą równie dobrze jak w dzień. Lubią alkohol, najchętniej piją absynt. Tu jest pewien problem. Od dobrych pięćdziesięciu lat produkcja tego trunku na piolunie została zakazana. Powodem była ponoć toksyczność dekokru. Obecnie tylko Czesi robią coś podobnego w smaku, ale nietrującego... W krajach Unii istnieje podziemny rynek tego napitku, ale w Polsce? Trudno ocenić.

Posiadają często zamiłowanie do sztuki. Snują się po muzeach, teatrach, galeriach. Bywają na koncertach. Sztuka współczesna zupełnie ich nie interesuje i w zasadzie nie ma się czemu dziwić.

Część wampirów lubi chodzić do kina, ale trudno ocenić, czy Monika też. W teatrach, muzeach etc., zaspokoiwszy potrzebę doznań artystycznych, typują ofiary. Przeważnie w swoim wieku lub zbliżonym i zazwyczaj odmiennej płci. A zatem łupem wampirzycy padają zapewne licealiści lubiący się włóczyć po muzeach. Trzeba wytypować te najbardziej interesujące przybytki kultury i wziąć je pod obserwację. Przypuszczalnie odwiedza dwa – trzy dziennie. W takim tempie obskakuje wszystkie w tydzień. Trzeba wybrać z dziesięć i założyć przy nich stałe punkty obserwacyjne. To po pierwsze. Jak tego dokonać? W bardzo prosty sposób. Iść do kas i przekupić panie sprzedające bilety. Można jeszcze prościej. Znaleźć kobietę handlującą preclami z wózka, wciągnąć ją na listę płac i zaopatrzyć w telefon komórkowy oraz zdjęcie „obiekta”.

To, niestety, nie wszystko. Aby zmontować grupę „śledzi”, należałoby jakoś się z nimi dogadać oraz sprzedać im w miarę sensowną i przekonującą historyjkę. Tu będzie pewien problem, bo znajomość języków angielskiego, węgierskiego i rumuńskiego jest w Polsce zupełnie znikoma, szczególnie wśród osób starszego pokolenia...

Rumuńskiego? Eureka! Żebracy. Z nimi będzie się w stanie porozumieć. Tylko jeden drobny problem. Jak im zapłacić? W kieszeni płaczą się ostatnie monety.

Gdzie jeszcze może polować wampirzyca? W grę wchodzi oczywiście także miejsca, w których gromadzi się młodzież. Na przykład na rynku przed empikiem, przy pomniku Mickiewicza.

Łowca stanął przed kościołem Mariackim i, wydobywszy z kieszeni lornetkę, zlustrował snujące się lub siedzące grupki smarkaterii. Pudło. Ale ma przeczucie, że to dobre miejsce. Ogromna liczba potencjalnych celów. Wystarczy, że z kilkoma puszkami piwa w siatce lub z

garścią pełną skrętów dosiędzie się do którejś z grup. Jedyne ryzyko polega na tym, że już kilka razy wcześniej w ten sposób polowała i teraz będzie unikać tego miejsca w obawie przed rozpoznaniem, ale szansa jest spora. Staął, opierając się o ścianę sklepu.

Po godzinie miał dosyć. Połaził po mieście i wrócił na posterunek, znowu położył, znowu... Na Floriańskiej poeta ze sztucznym wieńcem laurowym na skroniach deklamował swoje wiersze nad czapką. Laszlo popatrzył na to ze zdumieniem. Psiamać, kulturalny naród... A sam poeta? E, za stary na to, by stać się ofiarą wampirzycy...

* * *

Druga lekcja. Inspektorzy w gabinecie dyrektora losują numer sali, w której spędzą kolejną godzinę. Do tej pory mieli pecha, na historii nie mieli się do czego przyczepić. Co wypadło? Numer osiem. Biologia w klasie maturalnej... To z tego liceum kontrwywiad wyłuskał talibańskiego specja od broni bakteriologicznej. Dyrektor załatwił dziurę doktorem nauk przyrodniczych z Boliwii. A zatem zobaczmy, jak sobie Indianiec radzi...

Alchemik stosuje inną metodę niż Stanisława. Uczniów do odpytania losuje przy pomocy staromodnej loteryjki. Ma woreczek i drewniane beczułki z numerkami. Tyle tylko, że z końca sali nie widać, co wylosował. Dlatego do odpowiedzi przychodzą laureaci szkolnej olimpiady. Cała trójka wybiera się studiować biologię. Spędził już ładnych kilka godzin, udzielając im szczegółowych konsultacji przed czekającymi ich egzaminami.

Wizytatorzy milczą wstrząśnięci. Nie zauważyli drobnego szwindlu z losowaniem, są przekonani, że jak zwykle w takich przypadkach, odpytywani reprezentują jakiś tam średni poziom klasy...

Potem Alchemik przechodzi do wyjaśniania skomplikowanych problemów współczesnej genetyki. Mówi spokojnie, konkretnie, naświetla problemy możliwie wszechstronnie. Jednak w czasie gdy prowadzi lekcję, czuje na sobie wzrok tego dupka z kuratorium. Nie podoba mu się jego spojrzenie. Choć sam nie wie, dlaczego.

Ostatnia lekcja. Informatyka. Tym razem wreszcie jest się do czego przyczepić. Nauczycielka wprowadzi wykład w sposób perfekcyjny, ale już na pierwszy rzut oka widać, że jest o wiele za młoda, by pracować w szkole. Dzwonek. Uczniowie opuszczają klasę. Wizytatorzy zostają w środku. Katarzyna wyłącza komputery.

– Ile pani ma lat? – syczy facet. – Chcielibyśmy też sprawdzić, czy ma pani uprawnienia nauczycielskie.

Patrzy na niego z totalną pogardą.

– Nie wie pan, że to niegrzecznie pytać damę o wiek?

– Jest pani za młoda, by pracować w szkolnictwie.

– Mam dwadzieścia jeden lat i nie posiadam uprawnień nauczycielskich.

– I mimo to pani tu pracuje. – Wizytatorka kiwa głową. – Czy została pani chociaż skierowana na kurs doskonalenia zawodowego?

– Nie. I nie zamierzam się doskonalić.

– Ładnie – mruczy wizytator, wyciągając z torby plik papierów. – No, tośmy ich wreszcie przyskrzynili... Pani wylatuje, a szkoła traci dotację.

– Słuchaj, głupi dupku! – Słowa są ciężkie, jak odlane z ołowiu. Inspektor baranieje. – Czy ty gazet nie czytasz? W tym liceum rozpracowałam talibańskiego specja od wirusów czarnej ospy. Wiemy, że miał współników. Z trudem, po trzech miesiącach ciężkiej pracy, wkręciłam się w to środowisko. I żaden gnój nie będzie mi psuł roboty, od której zależy bezpieczeństwo tego kraju! – Trzasnęła legitymacją o ławkę. – A tak właściwie, to kto, do cholery, was tu nasłał? Po co tu weszycie, chcecie ich spłoszyć czy może ostrzec?

Spojrzał na nią i to był błąd. Rysy nauczycielki tężeją momentalnie jak stal. Oczy patrzą niczym dwie lufy karabinowe. Zaraz ta mała go skopie, skuje kajdankami i odeśle do Guantanamo jako potencjalnego współnika aresztowanego biologa. Posiedzi kilka lat w klatce z workiem na głowie, w towarzystwie schwytanych terrorystów z al Kaidy, a nasze władze będą zadowolone, że już drugiego podejrzanego wysłały sojusznikowi w prezencie.

– E... Pani major z Warszawy?

– Nic ci do tego, skąd jestem. Spadaj stąd, pacholku, i żebym cię tu więcej nie widziała...

– Ttak jjest... – jąka się.

Dyrektor w ostatniej chwili oderwał ucho od drzwi. Rany, co za kobitka. Inspektorzy wynieśli się jak zmyci. Miny mieli nieszczególne.

Mała uroczystość z okazji pozbycia się wizytatorów. Szkoła miała nieprawdopodobne szczęście. Byli na sześciu lekcjach, w sześciu różnych klasach. W czterech przypadkach nie mieli się do czego przyczepić. W jednym zostali pognębieni. A Katarzyna przypieczętowała zwycięstwo.

– No, toście wzięli byka za rogi! – Dyrektor nalał koniaku do siedmiu kieliszków. – Pewnie nie pozbyliśmy się ich definitywnie, ale namyślą się, zanim znowu tu przyleżą.

Stuknęli się nad stołem. Dziewczyny są zadowolone, ale Alchemik, choć udaje wesołość, ciągle nie może zapomnieć badawczego spojrzenia inspektora.

* * *

Laszlo, niehumanie zmęczony, wrócił do swojej kryjówki. Nie przypuszczał, że zadanie, którego się podjął, okaże się tak trudne w realizacji... Przez sześć godzin obserwował smarkaterię przy pomniku. Przemarzył na wylot, zgłodniał. Wracając do kwatery, za ostatnie parę groszy kupił sobie grzane piwo. Uratowało mu życie, a na pewno uchroniło przed zapaleniem płuc.

Otworzył drzwi i wdrapywał się po schodach na piętro. Oto i jego kryjówka... Naraz zamarł w pół kroku, widząc sączący się spod drzwi blask. Czyżby zostawił zapaloną żarówkę? Cóż, nie jest to wykluczone. Ale mało prawdopodobne. Znieruchomiał na wyłożonym płytkami podeście. Musiał zostać tutaj, w miejscu, gdzie podłoga nie skrzypi pod nogami. Wsluchiwał się w ciszę. Stary budynek pełen był dziwnych dźwięków. Pod podłogami harcowały myszy, gdzieś na dolnym piętrze dokazywały młode koty. Skrzypiały framugi, wiatr łomotał kawałkiem blachy na dachu.

Wsluchanie się w ciszę nie jest łatwe. Wymaga sporo treningu. Najważniejsze jest eliminowanie niepotrzebnych odgłosów. Laszlo opadł na kolana. Zza pazuchy wydobył nabity samopał, odbezpieczył i położył obok siebie.

Ludzie nie szanują swojego słuchu, niszczą go zupełnie bezmyślnie. On nauczył się używać uszu lepiej. Życie go zmusiło. Miał kiedyś stare, radzieckie radio. Ściszał dźwięk powoli, krok po kroku, dzień po dniu. Musiał przeprogramować zmysły, gdy ćwiczył, zawsze zamykał oczy. Ucho dostosowywało się, mózg zrozumiał, że gdy nic nie widać, trzeba użyć innych zmysłów. Po wielu tygodniach wszedł do komórki z królikami. Było ciemno, a on słyszał w mroku ich poświstywanie, szmer, tupot łapek. Stał długo w ciemności, ucząc się dalej. Policzył je wszystkie trzy razy i dopiero zapalił światło. Pomylił się o sześć...

Pół roku później nadszedł pamiętny grudzień '89. Drugiego dnia świąt, wieczorem, Laszlo wszedł do starej cegielni. Usłyszał w ciemności oddechy ludzi. I od razu domyślił się, że to członkowie tajnej rumuńskiej policji Securitate. Poczul ich zapach, woń znoszonych butów, ziemi, prochu i krwi. Wczoraj na wozie, dziś pod wozem... Dawni panowie regionu zamienili się w ściganą zwierzynę. Trafił do ich kryjówki i dlatego musiał umrzeć. I nie miało dla nich znaczenia, że niedawno skończył dwanaście lat. Stali tam w ciemności z bronią w ręce, gotowi, czujni. Na tle otwartych drzwi był doskonale widoczny. Wiedział, że jeśli skoczy do tyłu, naszpikują go kulami. Nawet, jeśli zdąży schować się za futryną, pociski zabiją go przez cienkie, drewniane ściany... Zatrzasnął więc drzwi za sobą i został w środku, w ciemności. Tym razem się nie pomylił. Stąpając ostrożnie po podłodze pełnej pokruszonych cegieł, w ciągu dwóch minut zabił bezszelestnie wszystkich pięciu. Dziadek, obejrzawszy za dnia ciało, uznał, że wnuk jest wystarczająco dorosły, by zacząć go szkolić na łowcę...

A zatem do dzieła. Zacisnął powieki. Myszy i szczury, słyszał je coraz wyraźniej, skrobanie pazurków na starej rurze, świergot ptaków za oknem, tramwaj w oddali, gdzieś przy Plantach szum samochodów... Ciche skrzypnięcie drewna, jak gdyby ktoś ostrożnie zmieniał pozycję na starym, rozeschniętym krześle. Jeszcze jeden zgrzyt. Ktoś wstaje. Skrzypnięcie podłogi, krok jak skradanie się kota.

Bez trudu wyobraził sobie wygodne obuwie z mięciutkiej skóry, wykonane przez dobrego szewca na zamówienie... Człowiek za drzwiami nie mógł być policjantem, oni noszą ciężkie

buciorzy produkowane seryjnie. Smugę światła na chwilę przeciął cień. Ktoś przeszedł i teraz znajdował się koło okna...

Laszlo się zadumał. Czy wróg jest uzbrojony? Prawdopodobnie nie. To musi być jakiś kompletny amator, fachowiec zgasiłby lampę... A może zwykły złodziej? Też nie. Włamywacz nie poruszałby się tak ostrożnie. Złodziej ze starej, odeskiej szkoły, należący do cechu, szkolony od dziecka do tego fachu? Mało prawdopodobne. Po pierwsze, skąd wzięłby się taki specjalista tu w Krakowie, po drugie, wewnątrz nie było nic, absolutnie nic cennego.

I nagle przyszła mu do głowy myśl, szalona, a jednocześnie logiczna. Wampirzyca. Wyśledziła go i przygotowała zasadzkę. Nie. One nie potrzebują światła. A, pal diabli! Poderwał się z miejsca jak sprężyna, skoczył do przodu, jednym kopniakiem otworzył podwójne drzwi.

Jasne światło żarówki oślepiło go tylko na ułamek sekundy. Zlokalizował cel i targnął za spust. Samopał szarpnął się w jego dłoni, ogłuszający huk wstrząsnął budynkiem. Z sufitu sypnął się wiekowy kurz. Zapachniało palonym prochem. Dobrze znał ten zapach, woń śmierci...

Żarówka zatańczyła pod sufitem i teraz dopiero spostrzegł swoją pomyłkę. Wypalił i trafił w portret kandydata na prezydenta miasta, nalepiony na dykcie przybitej do futryny. Mimowolnie uśmiechnął się na widok efektu. Rozpryskowa kula trafiła w okucie framugi, wywaliła całe okno, odłamki siepnęły wokoło, znacząc drewno i ściany jasnymi smugami odprysków.

Jednym ruchem odrzucił dymiącą jeszcze lufę, ale nie zdążył już sięgnąć po bagnet. Gwałtowne uderzenie miotnęło nim o ścianę.

* * *

Alchemik siadł w fotelu i ściągnął pocztę. List od dominikanów miał zakodowany załącznik. Kilka minut trwało łamanie szyfru. Wczytał się w raport i zagryzł nerwowo wargi. Delikatny wywiad przeprowadzony w osiemdziesięciu punktach skupu złota pozwolił na poznanie skali zjawiska. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wprowadzono do obiegu około dwudziestu kilogramów złotonośnego kwarcu, czyli mniej więcej dwa kilo kruszcu. Pół roku wcześniej odnotowano pojawienie się kilkudziesięciu sztabek z chińskimi oznaczeniami z połowy XIX wieku. Zdołano nabyć i zbadać dwie z nich. Nadał wykazywały radiację nieco wyższą od tła...

Jeszcze jeden załącznik. Otworzył go w Excelu. Gwizdnął cicho. Mnisi zestawili ceny złota z całego kraju. Długie, skomplikowane wykresy pokazały więcej niż można było się dowiedzieć, chodząc po kantorach, lombardach i sklepach jubilerskich. W ciągu ostatnich dziesięciu lat ceny tu, w Krakowie, kształtowały się od trzech do siedmiu procent niżej niż w pozostałej części kraju. Niski kurs wynikał z ciągłego nasycania rynku kruszczem.

Rynek złota pozostaje w stanie chybotałej równowagi. Jeśli w jakimś mieście stanie się tańsze, jubilerzy i handlarze z innych regionów je wykupują. Jeśli kurs spada drastycznie, ludzie lokujący w nim oszczędności sprzedają swoje sztabki gdzie indziej. Kurs w kraju jest w zasadzie jednolity i ewentualne lokalne anomalie szybko przestają istnieć.

Kolejny załącznik, kilka stron skomplikowanych wzorów i ich przekształceń. Alchemik badał je powoli i dokładnie. Symulacja, ile kruszcu wprowadzono do obiegu, by uzyskać tak niskie ceny... Zdumiała go fachowość i kompetencja autorów raportu. Cóż, zakon zawsze skupiał naprawdę tęgie głowy...

Wynik końcowy go zaszokował. Tu, w Krakowie, produkowano i sprzedawano dwa kilogramy sztucznego złota miesięcznie.

Trzecia część raportu uspokoiła go trochę. Analiza kursów złota z terenu całej Europy wykazała, że zaburzenia występują tylko w Krakowie. Owszem, zdarzały się gwałtowne spadki i skoki kursu, ale spowodowane były lokalnymi incydentami. Ot, na przykład, ruska mafia sprzedała gdzieś ćwierć tony, wywołując krótkotrwałą panikę na rynku, jednak wszystko szybko wracało do normy.

A zatem Bractwo Drugiej Drogi zadekowało się w Krakowie. Skąd brali rtęć do swoich doświadczeń? Nie udało się ustalić. A przecież potrzebowali jej setki litrów... Czy nadal używali krwi młodych dziewczyn? Zapewne tak. Mnisi, z racji pomocy świadczonej rodzinom, których członkowie uciekli do sekt religijnych, posiadali pewne fragmentaryczne dane dotyczące zaginięć. Jednak niewiele tego było. Za mało, by wyciągnąć sensowne wnioski. Próbowali powiązać fluktuacje kursu ze swoją bazą danych o kobietach, których nie udało się odnaleźć, jednak daleko im było do precyzyjnych wyników.

* * *

Laszlo doszedł do siebie niemal natychmiast. Leżał jednak z zamkniętymi oczyma i analizował sytuację. Tuż obok twarzy widział kolbę samopalu, ale ładunek poszedł w okno. W powietrzu nadal pachniało palonym prochem. Gdzie podział się przeciwnik? Bo przecież ktoś tu był.

Wciągnął ostrożnie powietrze. Węch, zniszczony przez lata życia w miastach, nie był już tak dobry jak kiedyś, ale bez większego trudu uchwycił obcy zapach. Jakiś dezodorant? Może ten „Gierał”, który widział w kiosku? Nie, to raczej coś markowego. Wróg nadal tu jest. Pewnie ogłuszony hukiem, przerażony. A zatem będzie można go dobić.

Poderwał się jednym gibkim ruchem, a raczej próbował się poderwać. Potylicą zderzyła się z czymś boleśnie, i opadł na brudne deski. Uderzenie było punktowe, pewnie nadział się na koniec lufy karabinu lub pistoletu. A więc przeciwnik stoi nad nim i celuje mu w głowę. Gdzie jest? Z przodu na pewno nie. Może być po lewej lub po prawej.

Co robić w tej sytuacji? Nagły przewrót w bok. Uderzy barkiem pod kolano wroga. Ten straci równowagę, nie zdąży wypalić, runie na ziemię, a wtedy szanse się wyrównają. Tylko po której stronie stoi? To złożone pytanie. W sumie nieważne, w którą stronę uderzy. Pięćdziesiąt procent szans, że go podetnie. Po prawej. Zdecydowanie po prawej. Wprawdzie wskoczył przez drzwi, strzelił niemal na wprost, ale przecież chwilę wcześniej widział przesuwający się w szparze cień. No to do dzieła.

Odbił się od ziemi i przetoczył na wznak. Pudło. Sukinsyn stanął gdzie indziej. Bolesny kopniak w żebra i dotyk lufy na czole. Łowca spojrzał do góry. Stojący nad nim człowiek mógł mieć około stu lat. Był szczupły, w zasadzie pasowałoby do niego określenie „wyschnięty jak mumia”. To, co trzymał w ręce, bez problemu dało się zidentyfikować. Rosyjski mosin, wzór 1938... Dobry karabin, wprawdzie archaiczny, ale zapewniający niezłą siłę ognia i celność nawet niewyszkolonemu ignorantowi. Wzrok leżącego spotkał się ze spojrzeniem wroga. I wtedy Węgier zrozumiał, że wpadł po uszy. Ten człowiek na pewno nie był ignorantem.

– Uspokój się – warknął mężczyzna, opuszczając lufę. – Nie chcę cię zabić. Arminius Vamblery, przyrodnik – przedstawił się. – A ty pewnie jesteś kimś z klanu starego Mefiu... – Przeszedł płynnie na węgierski.

– To był mój dziadek – przyznał László.

– Wstawaj, nie wylegaj się na podłodze, kiedy robota czeka. – Uśmiechnął się nieznajomy.

– Czego pan, do licha, chce?

– Nasz cel jest jeden. Uchronić ludzkość przed nimi... Ty pomożesz mnie, ja pomogę tobie. Tropisz książniczkę Monikę Stiepankovic. Jasne włosy, niebieskie oczy, wiek z wyglądu szesnaście lat...

– Skąd pan wie?

– Ja też podążam jej śladem – wyjaśnił. – Mam informatora w Kosowie, przekazał mi, że ktoś młody i ambitny pytał o nią... I że udał się do Polski. Trzy dni zajęło, zanim cię wyśledziłem.

– Jakim cudem...

Stuknął palcami w skroń.

– Telepatia. Wyczuwam wampiry i wyczuwam łowców.

– Ona jest moja. – László spojrzał wyzywająco. – Tropię ją od sześciu lat...

– Nie, mój drogi. Ona jest nasza. Oczywiście, nie ma znaczenia, który z nas ją zabije – dodał, widząc, jak młody się krzywi. – Zważywszy na mój wiek, lepiej żebyś zrobił to ty. Mnie po prostu brakuje już siły i szybkości. Ale pomogę ci.

– Zgoda. – László się odprężył.

– Zaś co do twoich praw wynikających z tropienia... – Arminius uśmiechnął się. – Ja szukam jej, od kiedy byłem w twoim wieku.

– Jak to!?

– Jeśli nie wierzysz, zobacz moje materiały.

Zasiedli przy stole.

Arminius wyciąga z portfela złożone wpół zdjęcie z polaroidu. Rozkłada je. Przetarło się na linii zgięcia.

– Oryginał wisi w Muzeum Narodowym w Sofii. Prawie dwa wieki temu bułgarski malarz Weszin namalował portret zatytułowany „Góralka z koszem śliwek”. W 1877 roku wojska rosyjskie na rozkaz cara Aleksandra II uderzyły na imperium tureckie, przynosząc Bułgarii niepodległość. Wraz z armią przybyli malarze. Cykle ich obrazów, przedstawiających losy wojny z poganami, są dziś prawie zapomniane. Obok scen batalistycznych, zapierających dech w piersiach rozmachem, zachował się niewielki obrazek, przedstawiający siostrę miłosierdzia opatrującą rannych.

Kolejna fotografia. To znakomite dzieło. Dziewczyna trzyma w dłoni oliwny kaganek. Światło wydobywa z mroku żołnierza rannego w głowę oraz nieliczne sprzęty. Rozjaśnia może dziesięć procent powierzchni obrazu, reszta tonie w nieprzeniknionej ciemności.

Jeden rzut oka wystarcza, by stwierdzić, że góralka ze śliwkami z pierwszego obrazu i pielęgniarka z drugiego to ta sama osoba. Na obu wizerunkach ma około szesnastu lat, choć daty ich powstania oddziela blisko połowa stulecia... I wycinek z gazety, trzecie zdjęcie, wykonane przed wojną w kosowskim mieście Mitrovica. Młoda, niezwykle utalentowana skrzypaczka odbiera kwiaty po koncercie. Kto je wręcza? Fotograf uchwycił wręczającą bukiet dziewczynę z profilu, ale trudno się pomylić...

* * *

Dwa materace, śpiwory. W nieogrzewanej ruinie bywa chłodno, więc przed snem strzelili sobie po szklaneczce rakiji z zapasów starego. Odpoczną chwilę i do roboty.

– Trudno zabić wampira – westchnął Arminius. – Pamiętam pierwszego... Teraz, po latach, sądzę, że miałem po prostu bardzo dużo szczęścia.

– Nie lubią czosnku...

– Owszem. Nie lubią, ale nie szkodzi im specjalnie... Podobnie jak światło słoneczne. Zupełnie im nie przeszkadza, choć ich oczy przystosowane są do widzenia w ciemności. Noktologia...

– Co? – zdziwił się Laszlo.

– Są w stanie czytać gazetę przy blasku księżyca. Robiłem kiedyś sekcję wampira, badałem też oczy. Nie różniły się specjalnie od naszych. Może teraz warto by powtórzyć badania przy użyciu nowoczesnego mikroskopu?

Laszlo spojrzał z zainteresowaniem na starego.

– A wtedy...

– Wtedy miałem taki śmieszny, mały, szpitalny mikroskopik, nadający się głównie do tego, by oglądać bakterie w próbkach krwi. Dopiero kilka lat później zaczęła się moda na barwienie preparatów. I wraz z odkryciami wzrosło zainteresowanie tą gałęzią optyki. Zaraz też pojawił się lepszy sprzęt.

Łowca jednym susem wyskoczył spod koca i siadłszy okrakiem na starym, przyłożył mu ostrze bagnetu pod brodę.

– Ile ty masz lat? – syknął.

– Łatwo policzyć. – Staruszek nie przejął się zupełnie. – Gdy dorwałem w Londynie księcia Vlada, był rok 1895. A ja miałem już prawie trzydzieści lat.

W głosie starego było coś, co sprawiło, że Laszlo z miejsca uwierzył.

– Vlada Palownika, znanego jako hrabia Dracula?

– Tego samego. Zaplątałem się rok później do pensjonatu w Szwajcarii. Siedziało tam wesołe towarzystwo, przyznam, pochlałem się wtedy w trzy dupy, no i może trochę ubarwiłem swoją opowieść. A potem ten idiota Stocker napisał swoją książczynę. Nawiasem mówiąc, też ją ubarwił. Przyznam, że byłem wściekły, jak się dowiedziałem. Mógł mi coś odpalić za prawa autorskie i tak dalej. Zwłaszcza, że zrobił na niej fortunę. Ale najbardziej wkurzyło mnie, że kretyń nie zapamiętał, jak się nazywam, i w swojej wersji dał mi takie fikuśne nazwisko...

– Abraham van Helsing!

Rozdział V

Stary, żydowski cmentarz otoczony był wysokim murem. W czasie wojny cudem uniknął całkowitego zniszczenia. Po prostu hitlerowcy nie zdążyli... Od strony ulicy lepiej nie próbować – ktoś mógłby zauważyć. Do nekropolii przylega rozległe boisko szkolne. Wystarczy oprzeć drabinę i już można windować się do góry.

Laszlo usiadł okrakiem na koronie muru i podał rękę Arminiusowi. Potem wciągnął lekką, aluminiową drabinę i opuścił ją po drugiej stronie. Zeszli na ziemię.

– Po co tu przyszliśmy? – Młody rozejrzał się ciekawie wokół.

Stare macewy, przeważnie wykonane z piaskowca. Głęboko cięte hebrajskie litery. Czas nie jest litościwy dla nagrobków. Lwy podtrzymujące drzewo życia osypują się, szczegóły bordiur zacierają...

– To jedyne miejsce w okolicy, w którym występuje pewien interesujący nas materiał – wyjaśnił Arminius.

– Żydowskie kości? – Na twarzy łowcy odmalował się niepewny uśmiech.

– Nie, dobra jakościowo glina... Zatrzymał się pośrodku alejki.

– Tu z pewnością nikt nie został pogrzebany – powiedział – więc możesz z czystym sumieniem kopać. Będę potrzebował około metra sześciennego. Nasze złożę znajduje się pod powierzchnią ziemi.

Laszlo wziął w dłoń saperkę i bez przekonania zabrał się za kucie zamrożonej gleby. Arminius poszedł z wiadrem do pompy. No tak, kran był suchy – widocznie na czas zimy odcięli wodę, aby, zamarzając w rurach, nie rozsadziła ich... Ale obok, w betonowym zbiorniku, było jej pod dostatkiem. Trzeba tylko rozkruszyć cieniutką warstewkę lodu. Wydobytą z wykopu glinę uformował na ziemi i oblał wodą. Założył grube, gumowe rękawice i, przykleknąwszy na złożonej gazecie, zaczął lepić. Pracował szybko.

– Co to będzie? – zainteresował się Laszlo.

– A co, do człowieka niepodobne? – Uśmiechnął się stary, mrużąc lekko oczy.

– Posąg? Nie poniesiemy go, rozleci się na kawałki... Trzeba by go najpierw dobrze wysuszyć.

– Dużo jeszcze musisz się nauczyć – stwierdził przyrodnik. – A czasu nie mamy już wiele. Słyszałeś legendy o golemie?

– Legendy! – Młody zaakcentował to słowo.

– W każdej bajce jest żdźbło prawdy. W czasie wojny ukrywałem kilku żydowskich mędrców. Kosztowało mnie to dużo strachu, ryzyko było naprawdę poważne. Naziści są gorsi od wampirów... Ale udało się. A dzięki temu zdobyłem wiedzę, której poznanie w innych okolicznościach byłoby niemożliwe.

Godzinę później zakończył pracę. Obejrzał swoje dzieło i skrzywił się w duchu.

– Brak mi trochę talentu rzeźbiarskiego – mruknął – ale na nasze potrzeby powinno wystarczyć.

– Hmm. Zakładając, że uda się ożywić to coś. – Laszlo, widząc wprawę starego łowcy, pozbył się części wątpliwości. – Skąd będziemy wiedzieli, gdzie go posłać?

– Nie musimy. – Stary uśmiechnął się krzywo. – Sam znajdzie cel.

– A jak się dowiemy, że wykonał zadanie?

– No cóż, każemy, żeby urwał jej głowę i przyniósł do nas na kwaterę.

Młody Węgier nie miał już więcej pytań.

* * *

Siedziały właśnie przy kolacji. Stanisława chwilę wcześniej spokojnie przechyliła słój nad garnkiem. Słodki sok pigwowy popłynął szeroką strugą. Potrząsnęła lekko poszatkowanymi owocami, by wydusić jeszcze kilka kropli i sięgnęła po flaszki ze śliwowicą. Cztery litry aromatycznej horyłki. Jeszcze kilka dni i będzie można ją zlać, a potem wymieszać z odzyskanym wcześniej sokiem...

– Nie mam pojęcia, skąd bierze się rtęć – powiedziała agentka. – Ale to może być trudne do ustalenia. Rynek rtęci nie istnieje. W Polsce praktycznie się jej nie wydobywa. Eksport jest ściśle reglamentowany z uwagi na toksyczność substancji. Bractwo musi mieć własną, nielegalną kopalnię lub zaopatrywać się na czarnym rynku. Czy istnieje w Polsce czarny rynek tego metalu? Trudno ocenić, brak danych...

Nagle coś walnęło w drzwi. Stanisława uniosła leniwe spojrzenie znad talerza. W pierwszej chwili pomyślała, że kopnął w nie dzieciak od sąsiadów, ale w tej sekundzie nastąpiło drugie uderzenie. Pośrodku skrzydła pojawiło się pęknięcie.

Zaraz po tym, jak kupiła mieszkanie, wymieniła drzwi. Poprzedni właściciel z niewiadomych przyczyn zadowalał się jakąś tandetą z płyty paździerzowej, obitej blachą aluminiową. A ona wstawiła sobie solidne, antywłamaniowe. Drewno, w środku dwie warstwy stali, wypełnienie z waty mineralnej, w której dodatkowo spoczywały pręty zbrojeniowe. Do tego dwa patentowe zamki i blokady z tytanu. Trzecie uderzenie. Drzwi przełamały się na pół.

Pierwsza myśl Stanisławy była zgoła idiotyczna: sprzedawca dał na nie dwadzieścia pięć lat gwarancji, będzie musiał wstawić nowe... Wyłamane skrzydło padło w tył, a w otworze pojawił się intruz.

– Cholera – wyrwało się z ust Katarzyny.

Miał dwa metry wzrostu, był potwornie szeroki w barach. Morda głupia, tępą, z kwadratową szczęką. Włosy, szare i skołtunione, opadały mu na ślepia. Musiał już wcześniej rozrabiać, bowiem na jego czole widniała blizna w kształcie litery Y. Jedną rękę miał poharataną i do Stanisławy dotarło wreszcie, że ten koleś wyważył antywłamaniowe drzwi gołymi rękami. Runęła do sąsiedniego pokoju po nagana. Katarzyna była szybsza. Wyciągnęła z torebki czeczeński rewolwer ze stali narzędziowej i wycelowwała w napastnika.

– Centralne Biuro Śledcze! Jesteś aresztowany!

Kafar ruszył naprzód. Utykał silnie na jedną nogę.

– Stój, bo strzelam. Strzał ostrzegawczy! – Rąbnęła w sufit.

Kolejną kulą trafiła go w udo. Z niewiadomych przyczyn gliniarze psioczą na przepisy, które nakazują najpierw ostrzec, potem strzelać w górę, a dopiero potem do zatrzymanego. Przecież wszystkie te trzy czynności można wykonać w ciągu maksimum dwóch sekund...

Pocisk trafił w cel, zostawiając na spodniach niewielkie wgniecenie... i to był jedyny, dostrzegamy efekt. Kafar nawet nie zwolnił. Przeciwnie, odbił się do skoku. Katarzyna zrobiła unik, pakując w niego kolejne dziesięć kul. Dwa niewypały, jedną chybiła, ale siedem utkwilo w celu. Trzy razy trafiła go w głowę. Trzy czarne dziurki na twarzy. Powinien już nie żyć. Odwrócił się w jej stronę. Nieludzkie oczy, całkowicie nieruchome, jak namalowane. Gęba nie wyrażała nic. Frankenstein? Robot? Terminator? Co za diabeł... Zaparta plecami w ścianę poderwała nogi i złączonymi stopami kopnęła go w mostek. To było piękne uderzenie. Normalny człowiek w tej chwili z połamaną połową żeber robiłby salto do tyłu. A tymczasem... Poczuła, jakby uderzyła w mur. Ile drań waży, tonę? Ale zdołała odepchnąć go na środek pokoju.

Powietrze rozdarł upiorny huk. To Stasia wróciła z naganem. Ech, carska Rosja. Ci to umieli robić proch. Naboje miały po dziewięćdziesiąt lat, a odpaliły wszystkie. Kolesz po każdym strzale zataczał się w tył, ale nie padał. Koniec amunicji. Alchemiczka obojętnie odrzuciła rewolwer na kanapę i płynnym ruchem wydobyla szablę z pochwy.

Monika tymczasem zaszła wroga od tyłu. Gwizdnęła w duchu, widząc w jego plecach dziury wylotowe. Ale nie zawahała się ani chwili. Przy drzwiach stała metalowa rura, noga od stolika komputerowego. Osiemdziesiąt dwa centymetry długości, grubościenna, solidna stal. Na końcu malownicze uchwyty do śrub, w sam raz stworzone do łamania kości czerepu. I co najmniej pięć kilo wagi.

To było wspaniałe uderzenie. Trafiła w potylicę, wyrwała połowę czaszki, zgruchotała kark, rozorała plecy, miażdżąc kręgosłup aż do kości krzyżowej. Przy okazji zahaczyła jakoś o jedną łopatkę, wydzierając w tym miejscu dziurę. Na koniec wykonała pchnięcie, celując w okolicę serca. Rura wyszła przodem. Uderzyła tak, aby zabić od razu.

Każda istota rozumna posiada centralny ośrodek nerwowy. Każda ma serce pompujące krew, każda wyposażona jest w inne wrażliwe narządy wewnętrzne. Nawet potwór doktora Frankensteina coś tam miał w środku. Roboty posiadają serwo mechanizmy, jednostkę centralną, źródła zasilania. Idea ich działania jest zbliżona i metody walki także. Zombie bez kręgosłupa i kawałka głowy daleko nie zajdzie. Ba, nawet ożywiona jakimś cudem mumia po takim urazie grzecznie wróciłaby do sarkofagu. A tu guzik. Nawet się nie przewrócił.

Stasia też nie próżnowała. Zatopiła ostrze batorówki w wątrobie wroga. Stał nieruchomo, jakby oszołomiony. Wyszarpnęła szablę i uderzyła nisko, celując między nogi. Gdzieś tam

powinna być tętnica udowa oraz pewne narządy, nader wrażliwe na obcinanie. Cięcie eunusze – bo tak się to nazywa – alchemiczka ma opanowane do perfekcji. Nie raz je stosowała...

Monika wyrwała rurę i uniosła ją do kolejnego ciosu. Katarzyna uporała się z nabojami, zatrzasnęła bębenek i poderwała broń do strzału. Wróg przez ułamek sekundy wahał się, wyraźnie niepewny, czy stawić im czoła. Otaczały go jak rozwścieczone kotki osaczające kundla, który nieopatrznie zapuścił się do piwnicy.

Parkiet zatrzeszczał pod jego stopami. Obcy runął w stronę okna. Monika zadała cios rurą, był już jednak za daleko. Trafiła go w piętę, miażdżąc ją, i ciężko opadła na kolana. Stasia machnęła szablą, gdy przebiegał obok. To było znakomite poziome cięcie, normalnego człowieka rozplatałoby na pół...

A on odbił się i runął w okno. Wyłamał szyby i ramy. Spowolniło go to tylko na chwilę, ale ten moment wystarczył. Informatyczka pociągnęła za spust dwanaście razy. Znowu siedem trafień, trzy niewypały. Dwa ostatnie pociski poleciały w niebo.

Wróg spadł w dół, na ulicę. Huknęły pękające płyty chodnikowe. Dziewczyny rzuciły się do okna. Zagadkowy napastnik chwiejnie wstał na nogi i pobiegł w mrok...

Spojrzały po sobie zaskoczone.

– Co to było? – jęknęła Katarzyna.

Stanisława pochyliła się nad podłogą. Już wcześniej zauważyła, że ta istota nie krwawiła. Nigdzie nie było też śladu tkanki, choć zostawił w pokoju połowę łba... Sen? Nie, coś jednak po nim zostało...

– Jak wyglądały rany od tyłu? – zapytała Monikę.

Księżniczka zawahała się na chwilę.

– Ani krwi, ani nic – powiedziała wreszcie. – Tylko niebieskawe... – Strzeliła palcami, nie mogąc przypomnieć sobie odpowiedniego słowa.

– Błoto? – podpowiedziała Stanisława. – Glina?

– No właśnie. – Wampirzyca skinęła głową. – Kości też nie miał... Stawiało opór, jakbym cięła pryzmę torfu.

Alchemiczka przeryła opuszkami cienką warstewkę sinobłękitnego pyłu, pokrywającą parkiet. Ostrożnie dotknęła palców językiem, by posmakować nieznanej substancji. Glina...

– Golem – syknęła.

– To przecież niemożli... – zaczęła jej kuzynka.

– A wampirów nie ma i nie da się zrobić złota z ołowiu. – Księżniczka pierwsza odzyskała humor. – Ale jeśli masz lepsze wyjaśnienie...

W tym momencie na schodach zadudniły ciężkie kroki. Stanisława porwała rewolwer i zaczęła go spokojnie nabijać. Katarzyna pokręciła głową.

Wyszła na podest. Przeczucie ją nie myliło. Czterej policjanci z pistoletami w dłoniach.

– Centralne Biuro Śledcze. – Zastąpiła im drogę i pokazała legitymację.

CBS ma naprawdę fajne identyfikatory. Jest w nich zdjęcie właściciela, nazwa biura oraz godło państwowe. Reszta informacji na wszelki wypadek jest zakodowana. Data ważności, dziwnym trafem, też. Zatrzymali się jak wryci.

– Co tu się stało? – wykrztusił najwyższy. – Ludzie słyszeli strzały...

I co mu mądrego odpowiedzieć? Prawda odpada. Jeśli powie, że ich ekipa już zabezpiecza ślady – może chcieć to sprawdzić. A zatem należy go zniechęcić do zadawania pytań.

– To tylko ćwiczenia – powiedziała ze sztucznie radosnym uśmiechem.

Zrozumiał od razu. Dzieją się tu paskudne, ściśle tajne sprawy, w które dobry policjant nie powinien pchać nosa.

– Oczywiście, ćwiczcie dalej. – On też się uśmiechnął i razem ze swoimi ludźmi odmaszerował.

Katarzyna wróciła do mieszkania. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo się ochłodziło. Przez wyrwane okno wiał lodowaty, zimowy wiatr. Stała przy parapecie i w zadumie patrzyła, jak trzech policjanci znikają między drzewami. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwiczki radiowozu. Stanisława sięgnęła po telefon, aby wezwać szklarza. Przyszedł po godzinie i zaraz zabrał się do dzieła. W tym czasie Monika wyjęła drzwi od mniejszego pokoju, wstawiła je na miejsce wejściowych. A jutro pomyśli się o czymś solidniejszym. Dopiero gdy szklarz poszedł, znalazły chwilę, by porozmawiać.

– Dlaczego to draństwo weszło akurat do nas? – Katarzyna miała zwyczaj rozbierania każdego problemu na czynniki pierwsze.

– Ktoś mnie nie lubi. Bardzo nie lubi – powiedziała w zadumie alchemiczka. – Tylko pytanie, kto... – zafrasowała się.

– Dlaczego sądzisz, że przyszedł zabić właśnie ciebie? – Monika spojrzała na nią uważnie.

Jedno oko błękitne, drugie brązowe. Stasia nie mogła jakoś przywyknąć. Wzdrygnęła się lekko.

– Kasię wykluczamy – powiedziała. – Gdyby ktoś chciał zlikwidować ją, przyszedłby ubrany w dres Adidasa i z kałachem w ręce... Albo bombę by podłożył.

Agentka uśmiechnęła się lekko. Gdyby któryś z obalonych ministrów domyślił się jej istnienia, raczej wysłałby faceta w garniturze, uzbrojonego w pistolet z tłumikiem. Ale kuzynka ogólnie ma rację. Użycie golema... Niezwykła broń przeciw niezwykłym przeciwnikom.

– Ja chyba nie mam wrogów – stwierdziła Monika. – A w każdym razie nie przypominam sobie...

– Dymitr nie żyje, wychodzi na to, że ja też nie mam wrogów – mruknęła Stanisława. – Ale musimy pogadać z Mistrzem Michałem. Miał wielu przyjaciół wśród żydowskich kabalistów. Może będzie wiedział, jak to draństwo powstrzymać, w razie gdyby wróciło...

– Nie jest do końca niewrażliwe na ciosy – oceniła Katarzyna. – Nie ma chyba narządów wewnętrznych, które można by uszkodzić? – Spojrzała pytająco na wampirkę.

– Chyba nie. W ranach było tylko błękitne błoto – potwierdziła. – W każdym razie rurką w nic nie trafiłam...

Katarzyna odzyskała humor.

– A zatem pistolet maszynowy z nabojami eksplodującymi. Golem nie jest w stanie zregenerować od ręki uszkodzeń. Kule przechodzą przez niego jak przez glinę... Po wpakowaniu trzydziestu pocisków powinien się rozpaść na kawałki – powiedziała.

– Taka amunicja jest chyba zakazana? – zaniepokoiła się alchemiczka.

– Owszem. Pistoletu maszynowego też raczej mi nie pożyczą... Albo lekki granatnik. Można by w ostateczności spróbować z wojskową petardą, jeśli zdołamy wcisnąć mu ją do środka.

– Musimy się poradzić Mistrza. – Stanisława sięgnęła po telefon. – Na pewno jeszcze nie śpi...

* * *

Alchemik siedział zamyślony, trawiając to, co usłyszał. Szary, zimowy, marznący deszcz bił w szyby nad ich głowami. Na kominku wolno żarzyła się szczapa akacjowego drewna.

– Raz w życiu spotkałem człowieka, który umiał zbudować golema – powiedział wreszcie. – Tu, w Krakowie, jeszcze przed wojną.

– Kto to był? – zainteresowała się Stanisława. – Wprawdzie w latach dwudziestych mieszkałam w Warszawie, ale...

– Salomon Storm. Wielki znawca kabały, cadyk i *baal-szem-tow* – obdarzony mocami cudotwórca. Fascynująca postać. Nawiasem mówiąc, nie mógł uwierzyć w transmutację metali, choć własnoręcznie przeprowadzał doświadczenia z moją tynkturą... Ja z kolei nie wierzyłem, że jest w stanie zbudować golema, więc mi pokazał. Nie do końca, tylko do momentu, gdy ciało ulepione z prochu ziemi zaczynało żyć.

– To trudne? – zapytała Katarzyna.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Moglibyśmy wyjść na trawnik przed kamienicą i w ciągu dwudziestu minut stworzyć własnego. Dlatego rytuał powołujący go do życia jest pilnie chroniony. Widziałem to raz, ale niewiele już pamiętam. Minęło siedemdziesiąt lat.

– Każda tajemnica wcześniej czy później może wyjść na jaw – powiedziała Monika.

– Jeśli ten golem stał się niezdolny do użytku, to czy łatwo będzie zbudować nowego? – Katarzyna przywykła do konkretnych pytań i konkretnych odpowiedzi.

– Banalnie łatwo. Nasz wróg odtworzy go, gdy tylko będzie miał chwilę czasu i około dwustu kilogramów błota. Najlepsza do tego celu jest oczywiście glina...

– Ta była jakby lekko błękitnawa – zauważyła Monika.

Spojrzał z zainteresowaniem.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Zdjął z półki opasłą monografię, przekartkował machinalnie i odstawił na miejsce.

– Glina – mruknął – występuje na naszych ziemiach w dwu odmianach. Kaolinowa i żelazista.

– Czym się różną? – zapytała agentka.

– Żelazista zawiera domieszkę żelaza, więc po wypaleniu, zarówno garnki z niej wykonane, jak i cegły przybierają różową lub czerwoną barwę. Metal, stykając się z powietrzem, ulega utlenieniu...

– A siwaki? – zaciekawiała się Stanisława.

Mistrz dostrzegł pytające spojrzenie księżniczki.

– Siwaki to naczynia barwy szarej, siwej, czasem czarnej – wyjaśnił. – Robi się je też z glin żelazistych, ale w piecach innej konstrukcji, bez dostępu tlenu. Drugi rodzaj gliny – wrócił do tematu – nie zawiera żelaza, więc po wypaleniu są białe lub jasnokremowe. Czasami jasnoszare...

– A jak uzyskać kolor niebieski?

– Przez domieszkę kobaltu – wyjaśnił. – Wtedy uzyskujemy barwy od sinej do fioletowej. Gliny z domieszką kobaltu występują w Chinach, Brazylii, Indiach, RPA... Nazywamy je kimberlitowymi.

– Od kopalni diamentów w Kimberley – natychmiast domyśliła się Stanisława.

– Owszem. W takich złożach znajduje się surowiec na pierścionki. W Polsce znam jedno miejsce, gdzie można znaleźć takie glinki.

– Tutaj? – zapytała Monika.

Kiwnął głową, ale nie odpowiedział wprost. Wstał z fotela i przeszedł się po swoim poddaszu.

– Mamy do rozwiązania dwa problemy – powiedział. – Primo, golem. Nie bardzo się znam na tym draństwie... Secundo, Bractwo Drugiej Drogi. Oba te problemy rozwiązać możemy bardzo prosto. Musimy zdobyć fachową literaturę i doczytać...

– Fachową literaturę – jęknęła Katarzyna. – Poszukamy w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego?

Spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

– Miałem na myśli naprawdę fachową literaturę. Są książki, których strzeże się pilnie, by nigdy nie wpadły w ręce profanów. By zawarte w nich tajemnice nie stały się własnością ogółu.

– Biblioteka Watykańska? – zaproponowała Stanisława.

– Między innymi. Ale tu, w Krakowie, był bogaty zbiór takiej właśnie literatury. Kiedyś nawet z niego korzystałem.

– Czy nadal istnieje? – Monika podniosła głowę.

– Nie da się wykluczyć. To księgozbiór cadyka Salomona Storma. Kilkanaście tysięcy ksiąg, co najmniej połowa rękopiśmienna. Manuskrypty arabskie, egipskie, żydowskie, hinduskie, perskie... A wszystkie dotyczące sztuk tajemnych. – Jego oczy zasnuła mgiełka rozmarzenia.

– Może zaczniemy od ustalenia, gdzie się znajdował – zaproponowała Katarzyna. – Potem sprawdzimy, czy jest tam nadal, jeśli nie – zaczniemy szukać. Jeżeli wpadł w ręce hitlerowców, mógł zostać zniszczony lub trafić do instytutu Ahnenerbe założonego przez Himmlera. A jego archiwum szczęśliwie odnalazło się kilka lat temu w Poznaniu.

Alchemik wytrzeszczył oczy.

– Naprawdę!? – zdumiał się.

– Pisali o tym w gazetach. Zabezpieczono trzy szafy starodruków i rękopisów. Trzymają je teraz w archiwum uniwersytetu.

– Muszę się do tego dorwać. – Zatarł dłonie. – Ale księgozbiór Storma nie zmieściłby się w trzech szafach. Zresztą, gdyby trafił w ich ręce, wygraliby wojnę...

– Dobrze. – Katarzyna wróciła do przerwanego wątku. – Rozbierzmy problem warstwami. Gdzie go przeglądałeś, Mistrzu?

– Hmmm. Głupio to zabrzmiało. Cadyk odrobinę mi nie ufał. Zresztą nikomu nie ufał. Zawiązał mi oczy. Potem długo łaziliśmy po Starym Mieście, żebym stracił orientację. I wreszcie weszliśmy do jakiegoś budynku, tam pozwolił mi zdjąć opaskę. Okna były starannie zasłonięte... Wyprowadził mnie tak samo.

– Do licha – wycodziła Katarzyna ze złością. – Łatwo powiedzieć: gdzieś na Starym Mieście. Tu jest kilkaset kamienic, w każdej po kilkanaście mieszkań. Te książki mogą być gdziekolwiek.

Alchemik dostojnie kiwnął głową.

– Sądzę, że to nie mogło być zwykłe mieszkanie – powiedział. – Tylko czy woluminy tam zostały? Wyobraź sobie tę sytuację. Wojna, Żydzi przeczuwają, że może ich spotkać straszny los...

– Od uchodźców z Rzeszy tego i owego mogli się dowiedzieć – zauważyła informatyczka.

– Muszą ukryć bezcenne starodruki i rękopisy. Sądzisz, że zostawiliby to w zwykłym mieszkaniu? A gdyby Niemcy, tak jak robili w innych miastach, wysiedlili całą dzielnicę, by tam zamieszkać? Jak w razie nagłej decyzji władz wywieźć kilkadziesiąt metrów sześciennych papieru?

– Co pan sugeruje?

– Gdybym ja to ukrywał, a miałbym mieszkanie, powiedzmy, pięciopokojowe, trzy pokoje wypełniłbym książkami, a potem... Potem замуrowałbym wejście i udawał, że mieszkanie jest dwupokojowe. Druga możliwość to oddzielenie części strychu fałszywą pochyłą ścianą udającą dach, ale to uznałbym za ostateczność. Jest wojna, mogą być bombardowania. Lepiej ukrywać na niższych piętrach.

– A w piwnicach?

– Trudno ocenić, ale tam jest przeważnie wilgotno. Nie wiedzieli, ile czasu upłynie, zanim skończy się okupacja. Jasne, że mogli zawiązać książki w nawoskowane gazety i pozamykać w skrzyniach, ale jeśli musieli działać szybko i dyskretnie, ten wariant odpada.

– Hmm. Pytanie jeszcze, czy nie wydobyli tego po wojnie. Nawet, jeśli wszyscy zginęli, to mogli powierzyć informacje znajomym, krewnym, mogli je zostawić gdzieś w postaci szyfru, który byliby w stanie złamać inni miłośnicy matematyki sefiriotyckiej...

– To jedna z możliwości.

– Chyba muszę wybrać się do hipoteki, a potem do administracji budynków komunalnych – powiedziała z westchnieniem.

– I co chcesz zrobić? – zaniepokoił się.

– Muszę przejrzeć wszystkie przedwojenne księgi wieczyste, a potem porównać dane ze stanem obecnym. Znajdę, wcześniej czy później, jego adres.

– Wspominał, że mieszkanie jest kupione na kogoś innego. On je tylko wynajmował, żeby trzymać tam bibliotekę.

– W księgach będą numery działek i powierzchnia użytkowa lokali. Pośród tych kilku, kilkunastu tysięcy mieszkań trzeba znaleźć to jedno, którego powierzchnia zmniejszyła się skokowo, powiedzmy, o jedną trzecią. Trzeba będzie też uwzględnić mieszkania, które powstały przez podział dużych przedwojennych na mniejsze.

– To brzmi bardzo poważnie.

– Owszem. Robótka będzie upojna...

– Mogą się pojawić fałszywe tropy – zauważyła Stasia. – Jeśli czynsz naliczany jest na podstawie powierzchni, to każdemu chyba zależy, żeby urwać kilka metrów kwadratowych. Z kolei po wojnie, jeśli robiono tu zagęszczanie, ludzie mogli замуrowywać pokoje, aby władza nie mogła ich odnaleźć... A potem, w spokojniejszych czasach, po ich otwarciu już tego faktu nie zgłaszali...

– Do diaska.

Zamilkli.

– A gdyby podejść od drugiej strony? – zapytała księżniczka. – Może niepotrzebna nam biblioteka cadyka Storma, może wystarczy ktoś obeznany w kabale, kto nam o tym opowie i poradzi, jak się zabezpieczyć?

– Moi przyjaciele z pewnością już nie żyją. – Sędziwój podrapał się po głowie. – Ale... Może jeden został? Spotkałem go piętnaście lat temu, teraz musiałby mieć dziewięćdziesiąt.

Spróbuję go odnaleźć. Jednak biblioteka bardzo by nam się przydała. Golem nie jest jedynym problemem, z którym przyszło nam się zmierzyć. Muszę ustalić pewien numer telefonu... Jutro sobota – przypomniał sobie. – To wyjątkowo kiepski dzień, żeby załatwiać sprawy z Żydami.

– Hipoteka też pewnie zamknięta – zauważyła Stasia.

– Jeszcze jedno pytanie. Przyjmijmy, że znajdziemy mieszkanie, w którym brakuje dwu pokoi. Co wtedy? – Katarzyna przekrzywiła głowę.

– Jestem durniem – mruknął. – Szyby.

– Co szyby?

– Gdyby kilka pokoi stało latami zamurowane, to szkło w ich oknach byłoby potwornie brudne.

– Poszukamy zatem, patrząc po oknach. – W jej oczach zaśniły figlarne ogniki. – A potem przystawimy drabinę.

– Część może być od podwórza – zauważyła Monika.

– A w wielu bramach są domofony...

– W podwórzu raczej nie, bo ludzie mieszkają tam okno w okno, i sąsiedzi z naprzeciwka dostrzegliby coś podejrzanego – rzuciła Stasia. – Do chrzanu. Od strony ulicy też nie.

– Chyba że od Plant – podsunęła księżniczka.

Poskrobał się po brodzie.

– Wiesz – powiedział wreszcie – z tymi oknami to był dobry pomysł, ale jednak nie do końca. Musimy opracować inną metodę.

– Piece – podsunęła agentka. – Sądzę, że na Starym Mieście dawno już zainstalowano centralne ogrzewanie. Tymczasem część mieszkania, która oficjalnie nie istnieje, nie może być oficjalnie ogrzewana. Zatem pali się tam nadal w piecach kaflowych.

– Błąd logiczny. – Pokręcił głową. – Jeśli gdzieś instaluje się ogrzewanie, to po pionach. Robotnicy wywierciliby w suficie dziurkę piętro wyżej i wleźli prosto do tajnej biblioteki. Ale powiedziałaś tu coś, co kieruje nas na zupełnie nowe tropy.

Katarzyna zastanawiała się nie dłużej niż dziesięć sekund.

– Ludzie – powiedziała wreszcie. – Do tej pory sądziliśmy, że to pomieszczenie jest zamknięte od 1939 roku, ale być może właściciel mieszkania wie o tych hipotetycznych trzech pokojach. Zainstalował tam kaloryfery, chodzi, myje okna i zmienia firanki.

– Tak. Strażnik. Depozytariusz.

– A może już dawno wywiózł bibliotekę w walizkach po kilka książek naraz? Do Ameryki lub Izraela. Albo na Kazimierz.

Alchemik trzasnął dłonią w stół.

– Jestem pelen podziwu – stwierdził ze smutkiem. – Masz główkę nie od parady...

– Takie wykształcenie – odparła, mrużąc oko. – Uczono nas przede wszystkim szukać dziur w całym i wynajdywać każdą lukę w logicznym, zdawałoby się, wywodzie...

– Wyślę maile do Izraela – powiedział spokojnie. – Poproszę, by skontaktowali mnie z jakimś miejscowym fachowcem. Biblioteka biblioteką, jeśli jej odnalezienie jest zbyt trudne albo niemożliwe, obejdziemy ten problem bokiem.

– Napiszesz do nich, co się stało?

– Nie. Jeśli to oni przysłali golem, to lepiej nie odkrywać naszych kart.

Zegar melodyjnie wybił drugą w nocy.

– Pora na nas – powiedziała Stanisława, spoglądając z niechęcią na smagane deszczem szyby.

– Na podwórzu stoi niebieski fiat. – Podał jej kluczyki. – W wolnej chwili odstawcie mi go z powrotem.

* * *

Laszlo i Arminius w zadumie patrzyli na gliniane ciało wstrząsane drgawkami. Golem, straszliwie poharatany, leżał na ceglanej podłodze. Co chwila otwierał oczy i próbował się podnieść, jednak zaraz opadał bezsilnie.

– Dziwne – cmoknął starszy łowca. – Powinien się zregenerować, ale jakoś mu nie idzie. I zadania chyba nie wykonał...

– Co robimy?

– Męczy się, trzeba dobić... Właściwie nawet nie dobić, przecież to nie żyje...

Pochylił się nad ciałem z nożykiem w dłoni i jednym pociągnięciem usunął literę alef z przedramienia stwora. Na twarzy istoty odmalowało się coś na kształt wdzięczności, po czym golem sapnął i rozsypał się w kopczyk błękitnych okruchów.

– Nie sądziłem, że cwaniara jest taka silna... Wrócił zmaltretowany, jakby zderzył się z lokomotywą.

– Skoro jego tak załatwiła, to czy my mamy choćby minimalne szansę przeżycia? – Młody poskrobał się po głowie.

Po raz pierwszy w życiu poczuł, że polowanie na wampiry niekoniecznie musi być dobrym sposobem na życie.

– Najwyżej zginiemy...

– Z golemem tak czy siak koniec – mruknął Laszlo. – Co dalej? Budujemy kolejnego?

– Nie wiem. Nie poradził sobie przecież. Raczej wykombinujemy coś innego. Wiesz, czym jest wyrzutnia kurczaków? – zapytał Arminius.

– Nie. Nigdy się z czymś takim nie zetknąłem. – Pokręcił głową Węgier. – Ale sama nazwa brzmi idiotycznie.

– To urządzenie testujące szyby samolotowe w USA. Wkłada się do odpowiedniej komory martwego kurczaka i wystrzeliwuje przez specjalną dyszę z szybkością dwu machów.

– Symuluje zderzenie się samolotu z ptakiem?

– Dokładnie tak. A nam posłuży do wystrzelenia kołka. Po kolejnych fuszerkach Monika będzie bardzo ostrożna, niewielkie mamy szansę dopaść ją na otwartej przestrzeni.

– Innymi słowy, upolujemy ją, gdy na przykład będzie jechała samochodem?

– Tak. Przyładujemy z wyrzutni i przykołkujemy ją elegancko.

– Hmm. Kołek jest twardszy od kurczaka, ale czy to aby najlepszy pomysł? Nawet, jeśli z taką szybkością uderzy, to może nie przebić kamizelki kuloodpornej...

– Masz jakiś pomysł?

– Okuć koniec kołka srebrem. Albo zastosować srebrny kołek.

– Nie mamy tyle kruszcu. Ale wiesz co? Wpadłem na pewien pomysł. Zamrozimy kołek ciekłym azotem. Będzie miał wtedy twardość stali. Dodatkowo naostrzymy go ślicznie na szlifierce... I powinno się udać.

– Hmm. Wyrzutnia. Jak ją zbudować?

– To bardzo proste. Będziemy potrzebowali butli z gazem. Może być dowolny, na przykład dwutlenek węgla. Tylko potrzebny jest szeroki zawór, tak ze dwa całe średnicy. Damy dziesięć metrów rurki dwucalowej, potem reduktorek, dziesięć metrów półtoracalowej, dziesięć metrów jednocalowej, dziesięć metrów półcalowej, jeszcze dziesięć metrów ćwierćcalowej. Ciśnienie u wylotu powinno wynieść kilkadziesiąt atmosfer.

– I będziemy celowali z armaty długości pięćdziesięciu metrów!?

– Ależ nie. Rurki zwiniemy. Powielacz ciśnienia może być wielkości sporej beczki.

– Pierońska robota. Umiesz giąć rury?

– Szczerze powiedziawszy, liczyłem na ciebie.

– O, cholera...

* * *

Sobota. Można by sobie pospać. A figę. Telefon od Mistrza poderwał je na nogi o ósmej rano.

– Dostałem wiadomość z Izraela – powiedział spokojnie. – Pozwolono nam skorzystać z biblioteki Storma.

– Jak to? – zdumiała się Katarzyna. – Tak po prostu?

– Powiedzmy, że są mi winni pewną przysługę. – Przez telefon mogła się tylko domyślać jego uśmiechu. – Spotkajmy się za godzinę przed klasztorem Dominikanów.

Antykwariat od strony Placu Dominikańskiego miał tylko jedną, niewielką witrynę. Łatwo było go przegapić. Na wystawie leżał ciekawy zbiór książek, jednak najstarsze z nich wydrukowano w XIX wieku.

– Adres się zgadza – mruknął Alchemik, patrząc na wydobyty z kieszeni świstek.

– Właśnie otwarli. – Monika wskazała dłonią wywieszkę na starych, żelaznych drzwiach.

Pokonali kilka schodków i weszli do ciemnego wnętrza. Nieduże salki ciągnęły się amfiladą gdzieś w głąb. Aż po belkowany sufit sięgały stare, drewniane regały, uginające się pod ciężarem zakurzonych książek. Powietrze przesycone było zapachem wosku i starego papieru, nieuchwytną wonią historii...

Przy świetle jednej stuwatowej żarówki krzątał się staruszek. Na oko sądząc, miał co najmniej dziewięćdziesiąt lat. Utykał silnie na jedną nogę. Słyszając ich, odwrócił się z uprzejmym uśmiechem. Na jego śniadym czole nieco jaśniejszą linią odznaczała się blizna w kształcie dwu krzyżujących się kresek.

Czarne oczy zlustrowały ich jednym szybkim spojrzeniem, rzuconym spod krzaczastych brwi. Na wydatnym, semickim nosie trzymały się binokle, wyprodukowane grubo przed drugą wojną światową. Był niski, ale chudy, przez co wydawał się wyższy niż w rzeczywistości.

– Czym mogę służyć? – Akcent w jego głosie był ledwo wyczuwalny.

– Przybywamy jako głupcy, zanurzeni w ciemności, szukając pochodni prawdy – Alchemik wygłosił w jidysz stare powitanie kabalistów.

Na twarzy starca nie drgnął żaden mięsień.

– Nie ujrzyście światła, nim przekroczycie siódme wrota – powiedział, a potem poskrobał się po ciemieniu. – A może siódmych wrót? Nie pamiętam, czy to prawidłowy odzew – westchnął. – Ostatni raz słyszałem te słowa... No, będzie z pół wieku temu. Dostałem maila, że przyjdziecie i żeby wam pomóc. – Wskazał gestem ekran komputera.

– Jestem Michał Sędziwój z Sanoka – przedstawił się Mistrz. – A to moje uczennice: Katarzyna i Stanisława Kruszewskie oraz jej wysokość księżniczka Monika Stiepankovic.

– Izaak Apfelbaum – starzec przedstawił się z godnością.

Z kurtuazją pocałował wszystkie trzy w rękę. Trzymając dłoń Moniki, zamyślił się na moment.

– Wasza wysokość jest wampirem? – bardziej stwierdził niż zapytał, przekrzywiając zabawnie głowę.

Nie było po nim widać strachu.

– Owszem – odparła. – Jak pan się domyślił?

– My, Żydzi, żyjemy na tej planecie bardzo długo. I wiemy, że ludzie nie są tu sami... Chodźcie, mam na zapleczu mały, podręczny księgozbiór – rzekł z błyskiem w oku. – Tam sobie usiądziemy i spokojnie pogadamy, a jeśli temat was zainteresuje, to literatura fachowa będzie pod ręką.

Na końcu antykwariatu, za ostatnim regałem, w ścianę wpuszczono małe, metalowe drzwiczki. Gospodarz wyjął z kieszeni pęczek kluczy i otworzył je.

– Proszę za mną – powiedział poważnie.

Wkroczyli w ciemność. Powietrze pachniało kurzem i starym papierem. Po chwili przewodnik pstryknął przełącznikiem. Kilka słabych żarówek rozjaśniło pomieszczenie, jednak cienie nadal zalegały po kątach.

– O w mordę... – wyrwało się Katarzynie.

Stali na dnie szybu klatki schodowej. Schody pięły się do góry spiralą i nikły w mroku gdzieś pod dachem cztery kondygnacje wyżej. Do ścian przymocowano półki, na nich ciasno tłoczyły się książki. Tysiące, nie, dziesiątki tysięcy woluminów. Jedne oprawione w szare płótno, inne połyskujące złotem tłoczonych skórzanych okładek.

– Biblioteka cadyka Salomona Storma! – wyszeptał Alchemik.

Agentka zlustrowała pomieszczenie uważnym wzrokiem.

– Ta kamienica miała dwie klatki schodowe – powiedziała wreszcie. – Główna pozostała, a drugą ukryliście. Zamurowaliście wszystkie drzwi do niej prowadzące i wszystkie okna. Położyliście świeże tynki i zostawiliście tylko jedno wejście, to ze sklepu.

– W czasie wojny i ono było zamurowane.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Monika – Przecież ktoś musiał wiedzieć...

– Tu mieszkali tylko Żydzi – wyjaśnił starszek. – Te schody przeznaczone były dla służby i prowadziły tylko do pięciu mieszkań. Wszyscy wiedzieli oczywiście, ale poszli do getta. Tu zamieszkali Polacy, którzy przed wojną nie bywali w tym domu, więc nie zorientowali się, że czegoś brakuje. Po wojnie wróciło tylko kilkoro naszych i jakoś nikogo nie zdziwił fakt, że teraz tego przejścia nie ma. Nie mieli już służby i nikomu nie były potrzebne kuchenne schody.

Na dnie szybu stał stolik, a wokół niego sześć krzeseł. Antykwariusz zapalił grubą, woskową świecę w lichtarzu stojącym pośrodku blatu. Płomień sprawił, że cienie zalegające w kątach ożyły. Zgasił żarówki i biblioteka pogrążyła się prawie w zupełnych ciemnościach. Goście zasiedli wygodnie.

– Co was interesuje? – zapytał.

– Ktoś zbudował golema – wyjaśnił Alchemik.

Gospodarz się uśmiechnął.

– Oczywiście, że zbudowano golema. Jak w każdym pokoleniu. Dlaczego was to niepokoi?

– Kto go zbudował? – Stanisława aż poderwała się z miejsca.

– Nie wiem, nie dopuszczono mnie do wszystkich tajemnic. Kazano mi jednak odpowiedzieć na wasze pytania. Oczywiście na te, na które będę znał odpowiedź.

– Ktoś użył golema cztery dni temu. Próbował nas zabić – zaczęła Monika.

– Niemożliwe.

– Ktoś go zbudował, wykorzystując glinę z waszego cmentarza – dodał Alchemik.

Apfelbaum milczał, zadumany.

– Jeśli macie rację – powiedział wreszcie – to muszę zawiadomić naszych. Jesteście pewni, że to był golem?

– Wpakowałyśmy w niego ze dwadzieścia kul. A zamiast krwi miałyśmy na podłodze warstewkę glinianego pyłu – wyjaśniła alchemiczka.

– Dziwne. – Antykwariusz poprawił binokle na nosie.

– Może opowie pan nam coś więcej na temat golemów? – zagadnęła Katarzyna.

Po twarzach Stanisławy i Mistrza przebiegł cień zniecierpliwienia. Jednak starzec nie dostrzegł tego. Usiadł wygodnie i zaczął wykład.

– Wedle naszych wierzeń raz na trzysta sześćdziesiąt lat Bóg pochyla się nad światem, jak kiedyś pochylał się nad Sodomą i Gomorą. Patrzy i ocenia nas, a w jego sercu wzbiera smutek i żal. Czy wiecie, jak mógł być oddalony los tych dwu miast?

– Bóg wysłał do nich Abrahama. Ten miał głosić nawrócenie i szukać sprawiedliwych. Gdyby znalazł choć jednego, Bóg zmieniłby swój wyrok – odparła księżniczka.

– Tak jest i dziś. Gdy On pochyla się nad światem, wypatruje sprawiedliwych. W każdym pokoleniu żyje trzydziestu sześciu świętobliwych Żydów. Póki żaden z nich nie zdradzi, nie przejdzie na stronę szatana, nie pograży się w zepsuciu, możemy czuć się bezpiecznie... Nie nadejdzie koniec świata, gdyż razem z nami, grzesznymi i pełnymi żądz, ogień gniewu dotknąby i ich. Czasem domyślamy się, kim są, częściej ich tożsamość jest przed nami zakryta. Mówiono, że Storm był jednym z nich, a może to nieprawda... – zamyślił się.

Wszyscy milczeli, czekając, aż podejmie opowieść. Wreszcie przemówił.

– Świętobliwi nie znają się nawzajem, w większości przypadków nie podejrzewają nawet, że to oni podtrzymują istnienie świata. Rozpoznają ich jedynie Bóg i szatan. Dla tego ostatniego stają się celem szczególnie silnych ataków – wyjaśnił. – Dlatego, aby ich chronić, raz na pokolenie najznamienitsi kabaliści budują golema. Ma on bronić sprawiedliwych. On też potrafi ich rozpoznać...

– A jeśli któryś z nich umrze? – zacięła się Katarzyna.

– Rodzi się nowy. Nie zabraknie ich nigdy. Przynajmniej mamy taką nadzieję...

– A więc mędrcy kabaliści zbudowali golema i przebywa on obecnie w... – zaczęła Katarzyna.

– Tak. Zawsze buduje się dwa i, poddawszy je próbom, niszczy mniej doskonałego. Dobrze wykonany jest prawie nie do rozpoznania.

– Hmm... Czyli następnym razem może zaskoczyć nas na ulicy? Nie da się go jakoś wyłuskać z tłumu?

– Ma kilka charakterystycznych cech. Nazywamy je stygmatami golema. Po nich daje się go rozpoznać. Nawet w tłumie...

– Jakie to cechy? – zapytała księżniczka.

– Stygmaty są psychiczne i fizyczne. Golem jest bezpłodny, nie odczuwa pociągu seksualnego, najczęściej ma niewykształcone narządy rodne. Czasem nie umie się wysłowić,

jąka się lub mówi rzeczy niezrozumiałe. I nie czuje przynależności do rodzaju ludzkiego. Jego ciało jest doskonalsze niż ciało człowieka. Może nie spać przez wiele dni, wytrzymuje niezwykle długo bez wody i pożywienia. Można go zamurować żywcem, a on i tak przetrwa całe lata, gdyż nie potrzebuje powietrza. Ma płuca, ale służą one tylko po to, by mógł wydawać dźwięki. Gdy nie mówi, nie oddycha. Prawidłowo wykonany w zasadzie nie różni się od ludzi, można go jednak rozpoznać po tym, że ma pewne cechy szczególne. Na klatce piersiowej w okolicy serca posiada zagłębienie w kształcie misy. Na czole widnieje u niego znak w kształcie litery Y lub X. Jego lewa stopa jest odrobinę bezwładna. I jest długowieczny. Może żyć nawet sto pięćdziesiąt lat.

– Jasna cholera! – Katarzyna domyśliła się pierwsza.

Zerwała się od stołu, wywracając krzesło. Pozostali też odskoczyli do tyłu. W następnym ułamku sekundy trzymała już w ręce pistolet, a koniec lufy celował w czoło starca.

– Pociski z ołowianymi czubkami, rusz się tylko, a wpakuję w ciebie dwanaście! – krzyknęła.

Spojrzał na nią zupełnie obojętnie.

– I naprawdę sądzisz, że mnie to zabije? – Uśmiechnął się. – Przeżyłem gorsze rzeczy niż odstrzelenie głowy.

Stanisława poczuła, jakby połknęła kostkę lodu. Jej żołądek promieniował chłodem.

Wystarczy, że zdmuchnie świecę, pomyślała. W ciemności wykończy nas w kilka sekund.

– Usiądźcie – poprosił łagodnym, spokojnym głosem. – Gdybym chciał was zabić lub gdybym dostał takie polecenie, dawno byście nie żyli.

Alchemik zdecydował się pierwszy.

– Golemy można zbudować na dwa sposoby – podjął opowieść antykwariusz. – W sposób, nazwijmy to, naukowy, nadając im rozum, wdrażając do procedur logicznego myślenia, a nawet planowania przyszłości. I na sposób drugi. Mnie zbudował cadyk Salomon Storm przy współudziale wszystkich kabalistów z Krakowa oraz kilku przesiedleńców z Rzeszy. Wyposażył mnie w umysł niemal równy swojemu i nakazał strzec biblioteki. Nie posiadam mocy koniecznej do ochrony sprawiedliwych i nie jest to moim zadaniem. Można też zrobić wszystko po partacku... Tak jak Jehuda ben Becalel z czeskiej Pragi, który do tego był tak nieostrożny, że o jego doświadczeniach dowiedzieli się goje... Można to zrobić szybko, zwalić na stos kupę gliny, ulepić z niej kukłę, napisać na dłoni kilka hebrajskich liter i tchnąć w nią życie pobawione rozumu. Tak wykonany golem będzie miał wszystkie cechy prawdziwego, ale nadawać się będzie do jednorazowej akcji. Można go wysłać, by ukręcił komuś głowę, i trzeba go zniszczyć, nim nadejdzie czas szabasu.

– Dlaczego? – Monika pierwsza zadała pytanie.

– Będzie próbował dostać się do synagogi, a nie wolno mu tego uczynić, gdyż, podobnie jak ja, pozbawiony jest duszy.

– Jak to, to pan... – wykrztusiła Katarzyna.

– Duszę może dać tylko Bóg, a mnie uczyniła ręka człowieka. Jest też jeszcze jedna cecha golema. Brak wolnej woli. Mnie zakazano chodzić do synagogi, dlatego, mimo przemożnej chęci, pozostaję tutaj.

– Brak wolnej woli, czy to znaczy...? – zapytał Mistrz.

– Cadyk nakazał mi pilnować biblioteki. Więc pilnuję. I będę pilnował, póki moje istnienie nie dobiegnie końca.

– Minęło prawie siedemdziesiąt lat.

– Mój czas biegnie inaczej niż wasz. Poza tym nie zabroniono mi umilać go sobie czytaniem książek. O co jeszcze chcielibyście zapytać?

– Jak zabić golema? – W oczach agentki zapłonęła determinacja.

– To bardzo proste – wyjaśnił. – Nad tą stopą, na którą utyka, na łydce jest zgrubienie. Trafienie tam powoduje u nas śmierć przez wykrwawienie.

– Ale przecież wy nie macie krwi... – zauważyła księżniczka.

– Mamy. Ale to jedyne miejsce, gdzie przybiera ona z grubsza materialną formę istnienia. Druga metoda jest trudniejsza. Ożywia nas zaklęcie hebrajskie. – Podwinął rękaw koszuli. Na przedramieniu widniał ciąg znaków. – Jak widzicie, ostatni wyraz brzmi emet, czyli prawda, jeśli jednak zetrze się literę alef, zamienia się on w słowo mot, czyli śmierć. Usunięcie tej jednej litery wystarczy, by zamienić żywą istotę z powrotem w pył, z którego się zrodziła.

– Nie boi się pan mówić tego tak otwarcie? – zdumiała się alchemiczka.

– Przecież widzę, że mnie nie zabijecie. – Wzruszył ramionami. – Więc czego mam się obawiać?

* * *

Arminius obejrzał samopał.

– Jestem pełen podziwu – powiedział wreszcie. – Ale czy to bezpieczne?

– Dobra stal narzędziowa. Oczywiście, używając normalnego prochu trzeba się liczyć z tym, że naprężenia będą zbyt duże i struktura metalu wcześniej czy później się podda. Strzeliłem z niego jak na razie dwa razy. Raz dla sprawdzenia, czy działa, i raz...

– ...do mnie. Ile jeszcze wytrzyma?

– Może pięć strzałów, może dwadzieścia... Ale wolałbym kropnąć ją jednym strzałem i zrobić nową pukawkę.

– Bardzo rozsądnie.

– Mamy jeszcze karabin – przypomniał sobie Laszlo. – Ten, którym mnie trzymałeś w szachu. Możemy go w razie czego wykorzystać.

– Nie bardzo. Kupiłem go od handlarza starociami. Komora nabojoowa dawno już przewiercona, zresztą i tak nie miałem do niego amunicji. Co najwyżej lufa może się przydać...

* * *

Zakurzony wolumin oprawiony w szare płótno. Sporządzono go pod koniec osiemnastego wieku, jednak jego treść odnosi się także do wydarzeń wcześniejszych. Alchemik próbował odczytać wyblakły atrament, ale nie poradził sobie. Za słabo poznał jidysz, z kabalistami zawsze rozmawiał po hebrajsku lub aramejsku. Izaak Apfelbaum, golem, bez najmniejszego kłopotu tłumaczy zawilości rękopisu. Nie ograniczają go ludzkie słabości, nie czuje zmęczenia, nie nuży jednostajna praca.

– Bractwo Drugiej Drogi posiada w Krakowie swoich adeptów. Ci z tłumu ni ubiorem, ni zachowaniem wyróżnić się nie dają, jednakowoż gdy między sobą rzeczy czynią, w habity na kształt zakonnych świętokradczo członki swe oblekają. Niektórzy dawniej z wiarą naszą możeszową ich wiązali, prawdą to jednak nie było, gdyż wiary oni żadnej nie dochowują, a przez grzech sodomii i mordy popełnianie w nienawiści u żydów i chrześcijan się znajdują. O ile jednak rabini ludowi o nich powiedzieli, o tyle magistrat i rada pacholkom starościńskim ich ściganie powierzyli, uświadczenia ludu chrześcijańskiego w tym względzie zaniedbując, przeto trudy, z miasta zarazy tej kainowej wyplewienia, na nas wyłącznie spadają.

– To niewiele – mruknął Alchemik. – Mniej nawet niż ja wiem. Nie zachowały się jakieś księgi sądowe, dokumenty dotyczące tych schwytanych? Jeśli tak bardzo ich nienawidziliście, to logiczne wydaje się, że przed śmiercią wyciśnięto z nich to i owo...

Antykwariusz ruszył gdzieś na górę po schodach. Świecę zostawił na dole.

– On nie potrzebuje nawet światła – szepnęła Stanisława.

– Ja też nie. – Wzruszyła ramionami Monika.

Wrócił po chwili z kolejną zakurzoną księgą.

– To rękopis o alchemii – powiedział. – Sporządził go Mojżesz Issereles Auerbach czyli Rabbi Moses Remuch.

– Znałem go – wymamrotał Alchemik. – To był wielki człowiek...

– Michał Sędziwój z Sanoka, otrzymał sekret tynktury od swego nauczyciela i mistrza Setoniusa zwanego Cosmopolitą – czytał Apfelbaum. – On też sekret natury zjawiska transmutacji pragnął poznać i mnie w niektóre arkana alchemii wprowadził, sądząc, iż mógłbym być mu pomocnym...

Przerzucił kilkanaście stron.

– Dziwnie słuchać relacji o własnych dokonaniach – mruknął Mistrz.

– Bractwo Drugiej Drogi, które wedle tego, co wiemy, plugawców i rzezimieszków skupia, którzy arkana alchemii zgłębić próbują, jednak nie dla mądrości ukrytej poznania, ale by złoto zdobyć, a wraz z nim władzę nad ludźmi, której szczególnie pożądają. Pojawiwszy się w Krakowie około 1602 roku, zrazu brata Marka dominikanina porwali i srodze torturując, wiedzę jego wysondować próbowali. Odkrywca on był sztuki, jak złoto przez dodanie niklu do

srebra podobnym uczynić i sekret ten na torturach im wydał, nic więcej jednak z niego nie wydarli, przeto poranionego ciężko pod miastem ostawili, aż po trzech dniach skutkiem zadanych gwałtów zmarł. Wtedy mistrza Michała Sędziwoja dopadli i srogim go poddali sztukom, pięty mu żywym ogniem paląc.

Katarzyna spojrzała na Alchemika. Siedział zasluchany, widać przypominając sobie dawne dzieje...

– *On jednak dzielnie tortury przetrzymał, a chwilę sposobną wykorzystawszy, ręką uwolnioną kata swego zdławił i z okowów oswobodzon, na wolność się wyrwał, mimo okulawienia srogięgo, siedmiu członków sekty po drodze zabijając. Wrócił dnia następnego na czele przyjaciół i szturmem siedzibę łotrów wzięli, wewnątrz jednak ducha żywego już nie zastali, a jedynie garść złotych ziaren z pyłu podłóg zebrawszy, domyślać się mogli, że druga droga transmutacji istotnie odkrytą została.*

– W odwecie zabili potem w ciągu kilku lat sześciu adeptów alchemii, nieomal kładąc jej kres – westchnął Michał. – Wtedy też zebrałem grupę godnych zaufania ludzi i zacząłem ich szkolić. – Skinął głową w stronę Stanisławy. – Jednak Bractwo nie dało już potem znaku życia...

– Druga droga. – Agentka spojrzała na wampirzycę. – Wspominałaś coś o oliwie i ludzkiej krwi?

– W Bizancjum było trochę alchemików – odpowiedziała. – Większość greckich, ale i trochę uchodźców z krajów arabskich, głównie z Egiptu.

– Imamowie zakazali alchemii pod karą śmierci po tym, jak alchemicy zabrali się za masowe robienie spirytusu z daktyli – wyjaśnił Mistrz.

– I właśnie ci z Egiptu zostali oskarżeni o magię i produkcję złota – dodała Monika. – Ponoć kupowali młode niewolnice, by coś robić z ich krwią. Rozbito całą szajkę i spalono ich oraz ich księgi...

– Geber wspominał mi o „Księdze Tota” – mruknął Sędziwój. – Na niej oparł się, tworząc tynkturę, ale była tam opisana też druga droga... Krew, rtęć i oliwa nie wystarczą – zwrócił się do Moniki. – Zwłaszcza, że oliwa to tylko paliwo... Dodawali jeszcze czegoś, jakieś metale, minerały.

– Jeśli to rzadkie dodatki, to może da się ich w ten sposób wyśledzić – zasugerowała Katarzyna.

– Owszem, ale nie pamiętam jakie – westchnął.

Spojrzał na gołębia w milczeniu siedzącego za stołem.

– Czy w tej bibliotece znajduje się „Księga Tota”?

– Niestety. – Strażnik zbiorów pokręcił przecząco głową. – Cadyk Storm tylko słyszał o niej, ale mimo wieloletnich poszukiwań nie znalazł ani jednego egzemplarza. Być może w księgozborze papieskim znaleźlibyście ten rękopis... A może nie ocalał ani jeden.

– Do zbiorów Biblioteki Watykańskiej nas nie dopuszczają – mruknęła Stanisława.

– Hmm. Może i znam kogoś, kto będzie potrafił streścić nam jej zawartość... – zadumał się Alchemik. – Ale nie wiem, czy skórka warta wyprawki... Znasz może koptyjski? – Spojrzał na Monikę.

– Mieszkalam kilka lat w Aleksandrii – księżniczka pokręciła głową – ale nie mówiłam w nim biegle.

– Fatalnie... Jednak chyba nie mamy innego wyjścia. Gdzieś tam – objął gestem półki – znajduje się „Księga Uchylonych Wrót” – zwrócił się do antykwariusza.

– Znajduje się – potwierdził bardzo powściągliwie.

– Musimy ją pożyczyć.

Zapadło długie, bardzo długie milczenie. Golem nie zna uczuć, litości, miłości, empatii. Utrudniałyby zadanie. Wpojono mu poczucie lojalności i pozbawiono woli w znacznym stopniu. Golem nie złamie rozkazu swego twórcy, nawet jeśli miałoby go to kosztować życie. Golem nie zna strachu. Prawie. Posiada instynkt samozachowawczy, który sprawia, że czasem może się przestraszyć. Jednak powody muszą być naprawdę poważne.

– Jesteście świadomi ryzyka? – zapytał wreszcie.

– Tak.

– Zrobię wam ksero – zdecydował. – Ale będziecie je musieli zniszczyć zaraz potem. To nie może trafić w obce ręce.

– Wiem. Nie trafi.

Zniknął w ciemnościach, a po kilku minutach wrócił z metalowym tubusem, kryjącym wewnątrz zwój pergaminu zapisany hebrajskimi literkami.

Rozdział VI

Kraków ma swoje tajemnice. Któż może wiedzieć o nich lepiej niż Alchemik? Miasto zmieniało się na jego oczach. Powstawały nowe domy, waliły się w gruzy stare. Znał kilkunastu architektów, rajców miejskich, właścicieli kamienic, kupców, nawet królów. Poznał także miłośników miasta, konserwatorów, archeologów. Składał wiedzę kawałek po kawałku, aż ułożył całą mozaikę. Wśród licznych zajęć, którymi się parał, było także projektowanie kanalizacji, fortyfikacji i budynków... Zna miasto lepiej niż zawodowi przewodnicy. Lepiej niż jego mieszkańcy. Lepiej niż policja i lepiej niż Wojewódzki Konserwator Zabytków.

Gdy pod koniec XX wieku liznął nieco informatyki, dowiedział się, że programiści często zostawiają w swoich dziełach tajne furtki, umożliwiające omijanie zabezpieczeń i wchodzenie do programów niejako od tyłu. Zdumiało go to niepomnie, bo choć zmieniły się narzędzia, idea pozostała ta sama. On także, projektując domy, tworzył sobie i klientom, na wszelki wypadek, tajne przejścia oraz schowki. Architekci przy kubkach węgryzna i miodu też to i owo mu powiedzieli.

Muzeum archeologiczne to miejsce średnio przyjemne. Zwłaszcza w nocy, gdy między drzewami na Plantach wyje wiatr, a w okna bije marznąca, zimowa mżawka. Budynek przy ulicy Poselskiej jest stary jak świat. Znaczne partie murów pochodzą z czasów, gdy swoją siedzibę, tak zwany Malowany Dwór, posiadali tu Tęczyńscy. W 1611 roku pałac przekazano zakonnikom ze zgromadzenia karmelitów. Mnisi przez blisko trzydzieści lat pracowicie wznosili tu klasztor i kościół pod wezwaniem św. Michała. W 1797 roku w dawnym klasztorze urządzono ciężkie więzienie polityczne...

Alchemik przymyka oczy. 4 marca 1846 roku. Nosił wtedy imię Marcel Stern... Do Krakowa wkraczają wojska austriackie. Zwycięska armia i pokonane miasto, jak tylekroć w historii. Gwałty, rabunki, samowole, panoszące się żoldactwo. I on. Oficer wrogiej armii, przybywający, by nawet w obcym mundurze chronić i służyć. Otoczyć opieką miasto i jego mieszkańców.

Chodził od szynku do szynku. Bił swoich podkomendnych po mordach i zmuszał, by uregulowali rachunki. Gasił burdy, spisywał nazwiska pijanych szeregowców i straszył karną kompanią. Zastrzelił złodzieja, który, wykorzystując chaos, chciał się obłowić... Swawolę żołnierzy można poskromić. Ale czasem stopień i gwiazdki na epoletach nie wystarczą...

Dwaj oficerowie pochwycili na ulicy panienkę z parasolką i wlekli do najbliższej bramy. Słowa nie pomogły. Alchemik wykorzystał chwilę, gdy zemdlona dziewczyna spuściła głowę i zdekapitował ich obu jednym cięciem szabli...

Ujęli go, bardzo chcieli mieć go żywego. Wiedział, po co. Okupantom potrzebny był wyrok i publiczna egzekucja, najlepiej na Rynku Głównym. Aby oczyścić armię z zarzutów, pokazać, jak bardzo jest praworządna, ogłoszono, że jest maruderem skazanym za gwałty i rabowanie ludności cywilnej. Ale byli przecież tacy, którzy wiedzieli, co się stało. Tacy, którzy szeptem powtarzali historię o austriackim oficerze, który zabił własnych towarzyszy, by ratować niewinną dziewczkę. Egzekucja jest też dla nich. Trzeba im pokazać, jak giną ci, którzy z szablą w ręce gotowi są bronić honoru, odwiecznych praw, wolności.

Siedział w celi śmierci więzienia św. Michała. Głęboki loch, nieduża, podziemna sala. Wiązka słomy i kamienne płyty posadzki. Przykuto go do ściany. Na Rynku stawiano szubienicę. Zapadał mrok. Jutro o świcie przyjdą po niego... Oderwał cienką, stalową podkówkę od lewego buta. Dawno powinien ją wymienić, ale błogosławił się, że tego nie zrobił. Starta była w sam raz... Wsunął ostrze w zamek kajdanek i zaczął w nim dłubać. Minuta po minucie.

Godzina po godzinie. Jeśli nie uda mu się pozbyć łańcuchów, podetnie sobie blaszką obie tętnice szyjne. Dłubał w zamku. To była dziwna noc. Przestało mieć dla niego znaczenie, czy uwolni się, czy nie. Siepacze nie urządzają swojego przedstawienia. Jeśli ucieknie, uratuje życie i pokrzyżuje im plany. Jeśli się zabije, tylko pokrzyżuje. Obie perspektywy napępiały go radością. Nie będą go wieszać. Bo nie. Bo jego wola, jego decyzja są ważniejsze niż ich wyroki i plany. Bo popełnili błąd, nie zdołali złamać jego charakteru. Dłubał w zamku, odmawiając pacierze.

I Bóg dopomógł swojemu słudze. Zapadki ustąpiły, a stalowe obręcze puściły dłonie więźnia. Wstał i podszedł do ściany. Jedna z płyt posadzki powinna się unieść. Wiedział, która. Ech, dranie, to wielki błąd uwięzić architekta w domu, który wybudował. Przykląkł i obmacał spoiny. Podczas przebudowy zamurowano przejście? Nie... Ale bez noża nie zdoła odblokować tajnego rygla. Blaszka oderwana od buta była za krótka...

A zatem nie ma ucieczki. Czy na pewno? Przeciągnął się. Ciało, może już nie pierwszej młodości, ale dobrze utrzymane... Dwie sprawne ręce, dwie mocne nogi. Zaczeka tu w celi na kata i jego pomocników. Zaczeka z niewielkim kawałkiem stali w dłoni. Ilu ich może być? Trzech, czterech? I może jeszcze jeden żołnierz w drzwiach. Zabije ich. Założy wrogi mundur lub katowski kaptur. Wyjdzie z celi, wejdzie schodkami na górę do głównego holu. Przy drzwiach stoi warta. Zabije ich. Wyjdzie do dawnego ogrodu klasztornego. Jeden żołnierz pilnuje furty. On też umrze. Siedem śmierci za jedno życie.

A jeśli przyjdą po niego w dziesięciu? Wyrwie broń pierwszemu i zaatakuje resztę. Stokroć przyjemniej umierać z szablą w dłoni niż z pętlą na szyi.

Stukot podkutych butów w korytarzu. Wartownik w obcym mundurze. Wymieniono straż więzienną, ci strażnicy przybyli z Wiednia. No cóż, zasada jest prosta. Każdy okupant, który dotknie stopą polskiej ziemi, powinien pozostać w niej na zawsze. I oto jeden z nich otworzył drzwi i wysunął do przodu dłoń z kagankiem. Alchemik sprężył się. Jeszcze pół kroku...

– Mistrzu, nie zabijaj – słowa wypowiedziane cicho i po polsku. – To ja.

Jan. Ulubiony uczeń, najwierniejszy sługa, rękodajny, który kilka razy stawał z szablą u boku swego nauczyciela...

– Po czyjej jesteś stronie? – syknął Alchemik.

– Minęło wiele lat, ale moje przysięgi nadal mnie wiążą – odpowiedział poważnie. – Z uwagi na czasy przeszłe i honor w teraźniejszości.

– Potrzebuję noża.

– Wiem, z tej celi jest ukryte przejście. Nie możesz, Mistrzu, z niego skorzystać.

Wszedł do środka i teraz stał przed nim w mundurze, postawny, wysoki. A jednak kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze nosił kontusz, wyglądał godniej.

– Dlaczego nie!?

– Jeśli znikniesz z zamkniętej celi, przeszukają ją. Znajdą przejście i system korytarzy. System, który nie raz jeszcze może być potrzebny, mnie, tobie i innym mieszkańcom miasta...

– Masz rację. Co zatem proponujesz?

Uczeń podał mu nabity, dwustrzałowy pistolet i ciężki, dobrze naostrzony pałasz.

– Ucieszymy nasze oczy widokiem krwi wroga. Razem, jak za dawnych dobrych czasów... Poszli i ucieszyli.

Od tamtej pory Alchemik dziwnie nie lubi tego budynku. Ale cóż... Nie zawsze w życiu robi się to, na co ma się ochotę.

A zatem do dzieła. Wypakował zakupy z plecaka. Kalosze, liny, solidny łom, cztery silne reflektory, kaski, lampy czołowe...

– Będziemy musieli przejść około kilometra pod ziemią – powiedział. – Zapewne będzie tam mokro i możemy natknąć się na szczury.

– Mistrzu, minęło czterysta lat – zauważyła Stanisława. – Te korytarze mogły się zawalić...

– To wariant optymistyczny – stwierdziła Katarzyna. – Mogą runąć nam na głowę...

– Nie wiem, czy te przejścia są jeszcze drożne – szepnął w zadumie. – Minęło sporo czasu. Stropy powinny wytrzymać, dawaliśmy bardzo dobry materiał... Bardziej martwi mnie, czy czegoś nie odkryli podczas przebudowy i czy nie zalała ich woda.

Ubrał się. Szeroki obszerny płaszcz, a przy pasie szablą w pochwie.

– Po co to? – zdumiała się Monika.

– Lochy powinny być puste, ale kto wie – mruknął zagadkowo. – Ktoś tam może siedzieć w ciemnościach...

Zapakowali się do fiacika i ruszyli. Dochodziła dziewiętnasta. Gdy zaparkowali samochód przed kościołem i klasztorem Kapucynów na Loretańskiej, lał deszcz. Zanurkowali do przedsionka prowadzącego do części klasztornej. Alchemik zadzwonił.

Drewniana kłapa uniosła się cicho. Furtian spojrzął na nich zaskoczony.

– Czym możemy służyć? – zapytał.

– Gdy nadejdzie groźba śmierci, przejście otwarte będzie... – Mistrz podał hasło.

– ...aby słabym na duchu ratunek ciała zapewnić – zaskoczony zakonnik wykrztusił odzew. – Skąd znacie tę tajemnicę?

Mistrz tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Czy loch jest bezpieczny? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, płyta nie była poruszona od jakichś dwustu lat – szepnął.

– Naszedł czas – wyjaśnił Alchemik. – Chciałbym też, zgodnie ze zwyczajem, złożyć niewielką ofiarę na potrzeby waszego zgromadzenia – podał mu sztabkę złota.

– Przepraszam, ale muszę skonsultować z przełożonymi... – Brat odzyskał trochę pewności siebie. – Co powiedzieć, jeśli zapytają, kto chce...

– Proszę powiedzieć, że Stary Przyjaciel powrócił.

Stary Przyjaciel, tak nazywają go od wieków. Pozostaje mieć nadzieję, że pamiętają, o kogo chodzi... Kłapa zatrasnęła się. Minęło nie więcej niż dziesięć minut i otworzyły się drzwi obok.

– Otrzymaliście zgodę – rzekł zakonnik krótko.

Wrócili na dziedziniec kościoła. W ścianę wpuszczono kamienną płytę z zatartym nieco przez czas wizerunkiem świętego Antoniego Padewskiego.

– Przeor powiedział, że jeśli faktycznie jest pan tym, za kogo się podaje, będzie pan umiał otworzyć przejście bez użycia narzędzi. Jeśli oczywiście ono tu jest. – Mnich klepnął brzeg reliefu. – Wmurowane na stałe...

Mistrz Michał tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Sam projektował te zabezpieczenia.

Dziedziniec pokrywały kamienne płyty. Wybrał jedną, na oko sądząc identyczną jak pozostałe. Ukłękł i zaczął się modlić. Zakonnik spojrzął na niego z niedowierzaniem. Alchemik przeżegnał się, ale pozostał na kolanach.

– Czyżbyście nie doceniali potęgi modlitwy? – Z naganą zmarszczył brwi.

– Samą modlitwą nie usunie pan...

W tym momencie płyta drgnęła i powoli się odchyliła, odsłaniając przejście.

– Wiara góry przenosi, choć w tym akurat przypadku równie istotny jest nacisk na odpowiednie miejsca płyty, trwający odpowiednio długo, by zwolnić blokady przeciwwag... – wyjaśnił osłupiałemu mnichowi.

– Czy możemy wam jeszcze jakoś pomóc?

– Jeśli nie damy znaku życia przez 24 godziny, zorganizujecie wyprawę ratunkową.

Ruszyli, zapalając reflektory. Loch był wąski i opadał stromo w dół.

– Ciekawi mnie, dokąd prowadzi to przejście? – mruknęła Katarzyna, rozglądając się wokoło.

– Do miasta. Widzisz, gdy budowano ten klasztor w XVII wieku, obawiano się, że może wybuchnąć kolejna wojna. Dlatego też zadbano o drogę ewakuacji na wypadek, gdyby doszło do oblężenia Krakowa – powiedział Michał. – Loch prowadzi do przejścia łączącego baszty w wewnętrznym pierścieniu murów obronnych.

– Ale przecież murów już nie ma – zauważyła księżniczka.

– Nie ma, ale widziałem, jak je rozbierali. Partanina totalna, rozwalili to, co wystawało nad ziemię, reszta prawdopodobnie ocalała...

Oświecił z niepokojem sufit, ale cegły trzymały się mocno.

– Przecież te domy nad nami mają fundamenty i piwnice... – jęknęła.

– Loch schodził bardzo nisko – wyjaśnił. – Musiał przejść pod fosami. Piwnice i fundamenty nie sięgnęły aż tak głęboko.

Schody w dół skończyły się i agentka pomyślała, że Mistrz ma rację. Byli minimum dziesięć metrów pod ziemią. Na dnie lochu stała woda.

– No cóż – westchnęła. – Zamoczymy nogi.

– Zamoczymy – przyznał.

Ruszyli przed siebie. Na dnie leżało trochę mułu. Alchemik szedł pierwszy, oświetlając ściany. Po kilkunastu minutach dotarli do nieco suchszego miejsca.

– Nad nami ulica Podwale – ocenił wreszcie. – Solidna robota murarska, pomyślcie, ile tysięcy ton przewaliło się od tamtego czasu górą...

Stanisława wzdrygnęła się. Miała już lekką klaustrofobię. Katarzyna, choć całe miesiące spędziła w betonowych bunkrach pod siedzibą CBS, też nie czuła się tu najlepiej. Tylko Monika szła spokojnie, nawet obojętnie. Kolejne strome ceglane schody.

– Jesteśmy pod dawnymi fosami – wyjaśnił Alchemik. – Były bardzo głębokie.

Zeszli na sam dół. Woda sięgała do połowy uda, ale mistrz przewidział i to. W jego plecaku znalazły się rybackie buciory, takie aż po pachy. Oddychało się tu trudniej, powietrze przesycone było zapachem szlamu. I wreszcie schody pod górę. U ich szczytu znajdowały się stare jak świat żelazne drzwi. Od tej strony wyposażono je w dwa potężne rygle.

– Zardzewiało na amen – oceniła Stanisława. – Może wlać odrdzewiacza i odczekać ze trzy dni? – podsunęła Katarzyna.

Alchemik kopnął nogą i płat blachy na dole rozdarł się jak namoczona tektura. Przeczolągali się do niewielkiej salki. Sufit, sklepiiony z dobrze dopasowanych kamieni, wyglądał solidnie. Kiedyś stała tu zapewne drabina, obecnie na ziemi leżały tylko smutne jej resztki. Otwór w suficie blokował zaklinowany kawał gruzu.

– Jesteśmy w podziemiach jednej z baszt – odpowiedział na pytające spojrzenie księżniczki.

W prawo i w lewo ciągnęły się niskie korytarze.

– Wszystkie baszty były połączone pod ziemią? – zdumiała się agentka.

– Oczywiście.

Ruszyli na południe. Miejscami trudno było przejść. Ściany lochu pod naciskiem ziemi popękały. W innych miejscach przez wyrwy w suficie spłynęły do środka wodospady błota. Od czasu do czasu mijali żelazne drzwi, prowadzące gdzieś w stronę miasta.

– Można było tędy dostarczać bezpiecznie żołnierzy i, co najważniejsze, kule oraz proch armatni – wyjaśnił. – Niewiele to pomogło... – Wrócił pamięcią do oblężenia Krakowa w roku 1655, kiedy to miasto poddano już po trzydniowym ostrzale artyleryjskim...

Wreszcie zatrzymali się przy wpuszczonym w ścianę portalu. Drzwi były drewniane. Gdy Alchemik nacisnął je ramieniem, puściły z trzaskiem. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i korytarz się skończył. Nad ich głowami w ceglany strop wpuszczono kamienną płytę. Rygiel z brązu został kiedyś starannie natarty woskiem. Popchnięty dłonią przesunął się bez trudu. Alchemik nie był pewien, czy ktokolwiek dotykał go od roku 1597, kiedy powstało to przejście.

– Gdzie jesteśmy? – zainteresowała się agentka.

– W muzeum archeologicznym przy Senackiej – odparł. – Razem! – wydał komendę.

Naparli na płytę i zdołali ją podnieść. Znaleźli się w niewielkiej sali, zagłębionej częściowo w ziemię, podpartej kolumną. Na górę wiodły schodki zabezpieczone solidną kratą.

– Potrafisz to otworzyć? – zapytał Michał.

Katarzyna zawahała się.

– Nie przyszliśmy tu chyba rabować zabytków? – Spojrzała na niego badawczo.

– Nie. Szukam tylko kilku odpowiedzi na moje pytania – wyjaśnił spokojnie.

– A nie lepiej za dnia, w godzinach zwiedzania? – mruknęła, dłubiąc w zamku. – Byłoby łatwiej...

– Myślę, że to, co zamierzam zrobić, bardzo nie spodobałoby się paniom pilnującym ekspozycji – odparł.

– Z pewnością jest tu też system alarmowy i strażnik na portierni...

– Postarajmy się go nie zbudzić...

Męczyła się kilkanaście minut, wreszcie zamek szczęknął i krata dała się odsunąć.

– Mogą tu być ukryte kamery. – Michał rozdał im maski z pończochy. – Avanti.

Ruszyli naprzód. Katarzyna wysunęła się na czoło pochodu. Na piersi przypięła sobie specjalną broszkę.

– Reaguje na podczerwień – wyjaśniła.

Wejścia do sal ekspozycyjnych na piętrze broniły solidne drzwi oraz bardzo wymyślny alarm. Agentka długo oglądała skrzynki bezpiecznikowe. Wreszcie przecięła kilka kabli i zajęła się zamkiem. Sforsowanie przejścia zajęło jej trzy godziny.

Alchemik spojrzał na zegarek.

– Pierwsza w nocy – powiedział.

– Robię, co mogę – wycodziła.

– Wiem...

Weszli do środka. Po lewej stronie znajdowała się ekspozycja egipska. Znowu zamki i alarmy. Teraz poszło trochę łatwiej, знаła już ogólny schemat. Sala ekspozycyjna tonęła w ciemności. Musieli uważać, by nie wpaść na którąś z gablot. Jeszcze jedne drzwi.

– Jesteśmy na miejscu – ucieszył się Alchemik.

Katarzyna zakleiła kamerę dozorującą czarnym plastrem. Jak się okazało, pomieszczenie nie miało okien, więc agentka spokojnie zapaliła światło.

– O, w mordę! – krzyknęła zduszonym głosem.

Sala sprawiała wrażenie podziemi egipskiego grobowca. Ściany pomalowano na czarno, oświetlenie było dyskretne, punktowe. Blask halogenków wydobywał z mroku gabloty pod ścianami, kolekcję odłamków stel nagrobnych oraz wyeksponowane pośrodku sarkofagi i mumie. Zabezpieczono je solidnie, nakrywając ostrosłupowymi „akwariami”...

– Mistrzu, co zamierzasz zrobić? – zaniepokoiła się Stanisława.

– „Księga Tota” przepadła. Ale ten sarkofag zawiera szczątki Merefa-Neczer-Tota – głównego kapłana świątyni tego boga w Heliopolis.

– Nekromancja. – Na jej twarzy odmalowało się skrajne obrzydzenie.

– Ależ skąd. Po prostu, wykorzystując jego ciało jako most w czasie, zadamy mu kilka pytań...

– Robieś to już kiedyś? – zaniepokoiła się Monika.

– Jeszcze nie – westchnął – ale mam bardzo dobry podręcznik. – Potrząsnął kserokopią „Księgi Uchylonych Wrót”. – Jesteśmy w stanie...

– Cofnąć go na kilkanaście minut do czasu, gdy był żywy, a jednocześnie sprawić, że nadal będzie się znajdował tutaj – zgadywała Stanisława.

– Teraz dopiero twoje pomysły trąć nekromancją – zgromił ją. – Nie, on zostanie w swoim czasie, a my w swoim, stworzymy tylko most, przejście pomiędzy epokami.

– To brzmi dość zawile. – Księżniczka poskrobała się po nosie. – Dziura w czasie?

– Coś tak jakby.

– Nie wessie nas?

– Nie.

– Na ile liznęłam archeologii – odezwała się Katarzyna – to nie ma tu jego mózgu. Egipcjanie wyciągali go w kawałkach przez nos i pakowali osobno do urny kanopskiej...

– To bez znaczenia. Mózg jest tylko narzędziem, jaźń przebywa gdzie indziej – uspokoił ją. – Zresztą zajrzymy do chwili, gdy jeszcze znajdował się w jego głowie. Do dzieła.

Zbadała dolną listwę szklanego sarkofagu i odnalazła zamki.

– Ciężka sprawa – westchnęła. – Godzina roboty. I niezależny alarm...

– Wobec tego zrobimy inaczej – zaproponował. – Wytnij tylko dziurę w szkłe, żeby dało się zdjąć wieko trumny i pogadać. Rytuał uchylecia wrót odprawimy tutaj...

– Czasem zastanawiam się, jak to robisz, Mistrzu, że bez szemrania wykonujemy wszelkie twoje polecenia – mruknęła, wyjmując z kieszeni nieduże pudełko. – Nawet te skrajnie idiotyczne...

– Zapewne posiadam jakiś autorytet – zażartował. – To nie diamentem?

– Lancet ultradźwiękowy jest lepszy.

Szybko wykonała odpowiednią dziurę. Na szczęście drewniana, złożona trumna nie była zabezpieczona dodatkowym alarmem... Alchemik nachylił się, do połowy niknąc w otworze. Uniósł antropoidalne wieko i zsunął je na bok.

– Ups – wyrwało się Katarzynie.

Czytała, że przed paru laty mumie ze zbiorów krakowskich badał zespół znanego warszawskiego egiptologa, profesora Niwińskiego. Trzeba przyznać, że uczeni dobrze wykonali pracę. Mumię po oględzinach zawinięto w nowe szare płótno. Z zawoju wystawała tylko głowa kapłana. Żółta czaszka szczyrzyła zęby, skóra i mięśnie były wyschnięte i w wielu miejscach popękały aż do kości.

– Ten już chyba nic nam nie powie – zauważyła markotnie. – Niewiele z niego zostało...

Alchemik wzruszył tylko ramionami. Z plecaka wydobyl paczkę cienkich, cerkiewnych świec, kilka niedużych luster oraz mosiężne foremki do palenia kadzidła. Rozstawił to wszystko wokół sarkofagu i zapalił świece.

Dym zasnuł szybko środek sali. Płomienie i ich odbicia w lustrach stały się odrobinę nierzeczywiste. Mistrz, spoglądając do kartki, czytał na głos monotonne, hebrajskie inkantacje.

Mumia drgnęła i nagle nabrała życia. Spodziewali się, że będzie to wyglądało jak w kiepskim horrorze, a tymczasem nieboszczyk odzyskał ciało natychmiast. Był postawny, mięśnie napięły się pod płótnem. Na spaloną słońcem i osmaganą przez wiatry twarz padało światło nie posiadające żadnego źródła. Światło słonecznego poranka sprzed dwóch tysięcy lat.

– O, do licha. – Michał obejrzał się i stwierdził, że wszystkie dziewczyny uciekły.

Klnąc pod nosem, przeszedł do sąsiedniej sali i wywlókl księżniczkę spod gablotki.

– Spokojnie, on i tak nie żyje – powiedział. – A czas ucieka. Musimy go zapytać o „Księgę Tota”...

Wzdrygnęła się, ale pozwoliła się poprowadzić. Proces uchylecia wrót dobiegł końca. Kapłan leżał i patrzył zupełnie przytomnie. Najwyraźniej zainteresowała go żarówka oświetlająca gablotę.

– Widzi nas? – Katarzyna na wszelki wypadek położyła dłoń na kolbie rewolweru.

– Tak. Jesteśmy dla niego jak półprzejryste duchy. Nakładają mu się dwie rzeczywistości. Widzi zarysy przedmiotów z naszego czasu i może od biedy ich dotknąć, a pod palcami poczuje fakturę... No i, oczywiście, słyszy. Pytaj. „Księga Tota”, druga droga.

Księżniczka z obawą pochyliła się nad sarkofagiem. Uśmiechnęła się do kapłana słodko, ale jego twarz pozostała ponura. Zadała pytanie po koptyjsku, długi i melodyjny trel...

Kapłan odwarknął w odpowiedzi dłuższą tyradę. Jego głos brzmiał głucho, jakby z oddali. Poczuli dzielącą ich otchłań czasu.

– Mistrzu, nie rozumiem tego, co mówi.

– Jak to?!

– Koptyjski, który znam, dość drastycznie różni się od staroegipskiego... Od jego czasów upłynęło półtora tysiąca lat. Niektóre słowa są podobne, ale czy znaczą to samo...

– Spróbuj.

Wygłosiła kolejne zapytanie, starannie akcentując poszczególne słowa. Kapłan spojrzał na nią ze złością. Odwarknął coś w odpowiedzi.

– Co mówi?

– Chyba zrozumiał, ale z jego odpowiedzi wyłapałam tylko słowa „święte” i „tajemnice”.

– Chyba po prostu wie, ale nie chce odpowiedzieć – zauważyła Stanisława, która ostrożnie stanęła w drzwiach. – I nie należy się dziwić. To były ich najpilniej strzeżone sekrety... Może trzeba było przebrać się za egipskich bogów?

– Tego nie przewidziałem. – Alchemik zwichrzył sobie włosy na głowie. – No trudno, spróbuj go przekonać.

W tym momencie coś zawył rozdzierająco.

– Psiamać, alarm!

– Uciekajmy! – krzyknęła Stanisława z korytarza.

Puścili się biegiem przez salę ekspozycyjną i po schodach. Na parterze prawie wpadli na strażnika, który z gaśnicą biegł na ratunek zabytkom.

Na szczęście, zaaferowany, pognął dalej. Zeskoczyli do sali i wleźli do dziury, zakrywając ją pospiesznie płytą.

– Więcej szczęścia niż rozumu – mruknął Alchemik. – Zmywamy się.

* * *

Ochroniarz wpadł do sali. Widząc kłęby dymu, uruchomił gaśnicę. Opary rozwiały się. Przesunął wzrokiem po pomieszczeniu, szukając źródeł ognia, i w tym momencie spostrzegł mumię kapłana. Egipcjanin przekrzywił głowę i spoglądał zaniepokojony. Strażnik zamarł na chwilę w bezruchu. A więc stało się, obudził się sukinsyn. Sięgnął do pasa i zaklął wściekle. Musiał zostawić broń w służbówce... Akurat dziś. Akurat, gdy jest potrzebna. Poczul narastającą panikę, ale wyszkolenie przewyciężyło naturalny odruch ucieczki.

– A ty dokąd? Wracaj do sarkofagu, ścierwo!

W gaśnicy nie było już piany, ale solidna metalowa obudowa swoje ważyła. Wykonał zamach, by przyładować kapłanowi w łeb. Tak tylko ostrzegawczo, żeby nie zabić na miejscu...

– Witamy w dwudziestym pierwszym wieku – wycedził.

Meref-Neczer-Tot nie rozumiał wprawdzie po polsku, ale widząc rozwścieczonego dwumetrowego mężczyznę, spasował.

– Dobra, dobra – wymamrotał w swoim języku, układając się w trumnie.

Sięgnął po wieko i nakrył nim niczym ochronną tarczą. A potem czar wygasł. Dłoń trzymająca drewno wyschła i skurczyła się momentalnie. Ochroniarz rozejrzał się po podłodze, szukając źródeł ognia. Spokój. Raz jeszcze spojrzął na sarkofag. I nagle dotarło do niego, czego był przed chwilą świadkiem. Alarm był nadal, a on osunął się, nieprzytomny, na podłogę.

* * *

Szli lochem.

– Dlaczego włączył się alarm? – zapytał Alchemik. – Coś potrąciłem, czy może kapłan się poruszył?

Agentka zamyśliła się głęboko.

– Sądzę raczej, że to był czujnik przeciwpożarowy. Gdy zacząłeś palić kadzidło, zadziałał. Strażnik biegł z gaśnicą w ręce.

Rozgałęzienie. W prawo i w lewo tunel łączący podziemia baszt. Stąd przyszli. Michał, idący przodem, nieoczekiwanie zmarł. W błocie odbite były ich ślady. I nie tylko ich. Coś tędy przeszło może parę minut temu. Miało łapska o trzech pazurach, przypominające ślady nóg kaczki, tylko że wielkości dużego talerza.

– Do kata – zaklął.

– Co to, u diabła, jest? – Agentka ze zdumieniem wpatrywała się w trop.

Odruchowo wyciągnęła pistolet z kabury.

– Zawracamy, szybko – rozkazał.

Dziewczyny spostrzegły, że jego twarz stała się blada jak kreda. Nigdy dotąd nie widziały go w takim stanie i przestraszyły się nie na żarty. Zanurkowali w niski, wilgotny chodnik. Szli inną drogą, kierując się w stronę kościoła Dominikanów.

– Smok? – zapytała Stanisława.

– Przecież smoków nie ma – powiedziała Katarzyna uspokajającym tonem.

Gestem nakazał ciszę. Gdzieś z daleka rozległo się człapanie. Coś szło w ich stronę. Po odgłosie można było sobie wyobrazić duże zwierzę, poruszające się szybko i zwinnie. Agentka uniosła broń.

– Dziabną go – zaproponowała.

Nagle uwierzyła? Pokręcił głową. Odwrócili się. Dwa zielone punkciki mignęły gdzieś daleko, zbudzone światłem latarek.

– To tylko kot – mruknęła Katarzyna z ulgą.

Jednak Alchemik wydobyl zza pasa króciwą, a Stanisława sięgnęła po nagana. Monika położyła dłoń na rękojeści sztyletu. Uniosła język i wysunęła ssawkę. Syknęła cicho. Oczy zgasły i nic już nie było słychać.

– Albo nie był bardzo głodny, albo się przestraszył. – Mistrz spojrzał na Monikę i uśmiechnął się do swoich myśli.

– Zwierzęta przeważnie się mnie boją...

– Kot wlaź tu przez jakąś dziurę – szepnęła agentka.

– I zostawił ślady jak młody słoń. – Jej kuzynka czasem pozwalała sobie na drobne złośliwości.

Niebawem zatrzymał ich rozległy zawał. Zakręcili. Korytarz kończył się litą ścianą skalną, ale gdy Mistrz pchnął ją w odpowiednim miejscu, ze zgrzytem przekręciła się wokół swojej osi. Wielokrotnie natykali się na ceglane mury lub zawaliska, zawracali, kluczyli. Jakim cudem Alchemik nie zabłądził w labiryncie?

– Właściwie to kto wybudował te korytarze i w jakim celu? – zainteresowała się Katarzyna.

– Powstawały przez całe lata, podobnie jak piwnice kupieckie. Niektóre sam projektowałem, ale większość jest starsza. Kopali je między innymi krzyżacy jeńcy. – Wskazał ścianę. – Popatrzcie na ten wątek muru, wozówka, główka, a następna warstwa przesunięta o połowę długości. To bardzo charakterystyczny sposób budowania, identyczne ściany znajdziecie w Malborku.

– Ale po co?

– Życie niesie różne niebezpieczeństwa. Gdyby miasto padło, tunelami dałoby się ewakuować część ludności na Wawel. Jednak w czasach Jana Kazimierza tamte przejścia zostały zniszczone... A to, co zostało, już się wali. – Oświetlił sufit.

– Jak głęboko jesteśmy? – zapytała Katarzyna.

– Płytko. Te lochy łączyły się z piwnicami kupców. Stąd takie niespodzianki. – Klepnął ścianę, która nieoczekiwanie tuż za zakrętem przegrodziła tunel.

– Zamurowali?

– Może. A może tak stoi od początku. Przeważnie końce tuneli zamurowywano, aby nikt ich nie znalazł. Tylko właściciel kamienicy wiedział, w którym miejscu należy kuć, aby otworzyć wejście...

Jeszcze jeden korytarz. Ten nieprędko runie. Solidne, kamienne sklepienie, wapno, wypłukane spomiędzy głazów, zwisało w postaci stalaktytów.

– Tu jest wyjście na podwórze – powiedział.

Wdrapali się po spiralnie biegnących schodkach i nieoczekiwanie dalszą drogę zagroził im betonowy mur.

– Tego tu nie powinno być – stwierdził z niepokojem. – Pamiętam kamienną płytę, odchylającą się po zwolnieniu blokady.

– Ktoś zaiwaniał płytę i zacementował – mruknęła Monika. – Sądząc po kolorze, bardzo dawno temu. Może nawet jeszcze przed wojną...

Mistrz uderzył pięścią w przeszkodę. Zadudniło.

– Gruba to ona nie jest – powiedział. – Ale łomem będziemy się męczyli przez wiele godzin. A latarki już się wyczerpują. Mamy w arsenale coś mocniejszego? – Spojrzał na Katarzynę.

– Jasne. Trotyl, amonit, semtex...

– Wysadzaj – zdecydował. – Tylko ostrożnie, żeby nie rozniosło całego budynku...

Rozwałkowała bryłkę plastiku w dłoniach i przykleiła do przeszkody. Wgniotła w nią zapalnik.

– Mamy trzy minuty – powiedziała. – Na dół, zaraz rąbnie.

Zbiegli do korytarza.

– Otwórzcie usta i zatkajcie uszy – zadysponowała. – Zaciśnijcie oczy i przygotujcie się na szok.

Odgłos eksplozji był głuchy, przytłumiony i w sumie dość słaby. Z wiekowego sufitu opadło trochę pyłu. Wyszli z lochu i rozejrzeli się nieco zaskoczeni.

Podwórce, które w czasach Alchemika było puste, obecnie zabudowano, przekształcając w jedną z sal pubu. Mimo że dochodziła druga w nocy, nadal było tu sporo gości. Siedzieli zszokowani, pokryci pyłem. Podmuch eksplozji zdmuchnął dekoracje, wybił okna, w piwach pływał tynk... Goście i przybysze z głębin ziemi patrzyli przez chwilę na siebie w zdumieniu. Barman ostrożnie wychylił głowę spod kontuaru. Katarzyna ocknęła się pierwsza. Wyciągnęła legitymację.

– Centralne Biuro Śledcze – oznajmiła gromko. – Przyszykować dokumenty do kontroli, zaraz wrócimy.

Przeszli obok oniemiałych piwoszy, wymknęli się bramą i roztopili we mgle na rynku.

– Pracowita nocka była – stwierdził z westchnieniem Mistrz. – Wracajcie się przespać, choć te kilka godzin. Dziękuję za pomoc. Szkoda, że się nie udało.

– Szkoda – westchnęła Stanisława. – Ale nie wszystko zawsze się udaje...

– Liczyłem na to, że w bibliotece Storma znajdziemy jakieś wskazówki, które nas na nich naprowadzą. Gdy to się nie udało, chciałem sprawdzić niejako od drugiego końca. Ale i to nie wypaliło. Nici rwą się nam w rękę.

– Może ci dranie jakoś się zdradzą? – zasugerowała Stanisława. – Choć lepiej byłoby uprzedzić atak...

– Nie mam już żadnego pomysłu, który mógłby nas przywieść do celu – westchnął.

– Może trzeba wrócić do biblioteki i szukać dalej?

Alchemik w zadumie kiwnął głową i powędrował w stronę swojego domu.

* * *

Tajna sala w podziemiach świątyni bogini Hathor w Denderze była pełna. Kapłani w białych szatach zasiedli na stołkach. Płomienie kaganków odbijały się w wygolonych na łyso czaszkach, wydobywały z wiecznego półmroku kamienne ściany pokryte reliefami. Zebrali się tu delegaci kilkunastu świątyń, by wysłuchać relacji Merefa-Neczer-Tota, który kilka dni wcześniej przeżył zaiste zdumiewającą wizję...

– Trudno mi ocenić to, co w widzeniu ze świata demonów ujrzałem – powiedział. – Jednak spośród przedmiotów mi najbliższych, uwagę szczególną jeden zwrócił. Bańka to była, ze szkła cieniutkiego uczyniona, w której jakoby drucik cieniutki z promienia słonecznego skręcony umieszczono. Niczym wijący się włos boga Re, otoczony blaskiem...

– A może metal to był w ogniu mocno rozpalony? – zapytał kapłan świątyni Ptaha z Memfis.

– Być to nie może, gdyż ani ognia w bańce szklanej nie było, ani blasku takiego uzyskać się w płomieniu nie da...

– Czemu to służyć mogło? – padło pytanie z sali.

– Do sali tamtej, jak mniemam, oświetlenia.

Kapłani poszeptali i pokiwali głowami.

– Sztuki pochwycenia promieni słonecznych nie znamy – mruknął arcykapłan. – I drutów z nich kręcenia... Jednakowoż wykluczyć się nie da, iż wnuki nasze ją posiadają. Szkoda tedy by było, gdyby wizja twa bez pożytku ulecieć miała...

– Zatem proponuję relief z wyobrażeniem odpowiednim na ścianie umieścić, aby okruch ten wiedzy w stosownym czasie mógł zostać spożytkowany – zasugerował Meref.

– Tak się też i stanie. Wezwać kamieniarzy!

Relief „Żarówka z Dendery” przetrwał przeszło trzy tysiące lat, nie budząc niczyjego zainteresowania, aż w odległym XX stuleciu przypadkiem odkrył go niejaki Erich von Daniken i swoim zwyczajem uznał za ślad działalności kosmitów...

* * *

– Twierdzisz, że jest gdzieś w mieście – powiedział w zadumie Laszlo. – Wspominałeś coś o telepatii?

– Tak. – Stary przyrodnik kiwnął głową. – Wyczuwam ją przez cały czas. Ona gdzieś tam jest.

– Zdołałeś odnaleźć moją kryjówkę.

– Owszem. Po dwu dobach koncentracji. Początkowo sądziłem, że to jej nora, ale już na miejscu zorientowałem się, że jednak nie. Nie pasowało mi to mieszkanie. Pył aluminiowy, wióry żelaza pozostałe po wierceniu lufy samopału, piec rozwalony wysoką temperaturą... To wszystko mówiło mi wyraźnie, że w tym miejscu żyje łowca, a nie wampir.

– Dlaczego tak się pomyliłeś?

– Miałeś obraz Moniki przed oczami i długo siedziałeś tutaj, myśląc o niej. To stworzyło fałszywy cień. Wampirzycy nie mogą tak precyzyjnie namierzyć, bo nieczęsto myśli o sobie. Ale jest gdzieś tutaj...

– Niedaleko?

– Właśnie. Może na jakimś strychu, może w piwnicy, a może zajęła sobie pustostan...

– Krypta któregoś z kościołów na Starym Mieście?

– Nie da się tego wykluczyć. Ale nie może być daleko. One bardzo nie lubią nowoczesnego budownictwa. I wolą żyć w miastach niż na wsi...

– O tym słyszałem – zagryzł wargi.

– A dziś chyba poluje. – Arminius przymknął oczy, by lepiej się skoncentrować. – Wyczuwam ją. Odbieram podniecenie, choć nie wiem, czym spowodowane...

– Spróbujemy ją odszukać? Teraz?

Przyrodnik się zamyślił.

– To chyba strata czasu – powiedział. – Zawsze zabijałem je po długotrwałym i starannym planowaniu akcji. Wtedy ma się cień szansy... A tak na łapu-capu... Z drugiej strony, gdyby się udało, oszczędzilibyśmy sobie całe tygodnie roboty.

– A zatem w drogę...

Kilka minut później wyszli z kwatery w przenikliwy ziąb wilgotnej, grudniowej nocy.

Rozdział VII

Mistrz Michał skręcił w ulicę Świętego Krzyża, gdy nieoczekiwanie z bramy wyszli trzej masywnie zbudowani faceci. Ubrani byli w szare, płócienne płaszcze, przypominające krojem habity. Obejrzał się dyskretnie. Trzech innych odcięło mu drogę ucieczki.

– Bractwo Drugiej Drogi – wycedził. – Jak miło, sześciu na jednego. Aż dziwne, że w ogóle się pokazaliście, zamiast strzelić zza węgła. Ale honor nigdy nie był waszą mocną stroną.

– Milcz, psie – warknął najwyższy. – Nikt nie będzie zarzucał nam braku honoru.

Alchemik splunął mu pod nogi.

– Przekaż nam sekret tynktury, a darujemy ci życie – szepnął drugi.

Mistrz spojrział na niego z zainteresowaniem.

– Sekret ukryty jest w moim mózgu. Nie sądzę, abyście zdołali go stamtąd wydrzeć, choć niewątpliwie przez ostatnie czterysta lat nabraliście znacznej biegłości w torturowaniu alchemików. Najpierw będziecie jednak musieli wziąć mnie żywcem.

Odwrócił się i zadał z półobrotu cięcie jednemu z napastników, który podchodził go cicho od tyłu. Ten uskoczył, wpatrując się w rękę, której niespodziewanie zabrakło dłoni. Alchemik spojrział i skrzywił się niemiłosiernie. Liczył na cięcie po stawie, a chybił o dobre dwa palce...

Pozostali wrogowie wyciągnęli miecze. Na ten widok uśmiechnął się leciutko. Chyba za dużo filmów się naoglądali.

– Idiotyczna moda na japońskie katany – zakpił. – Jakby nie można było patriotycznie iść na szable...

– Poddaj się – zażądał najwyższy.

– To dobra noc, by umrzeć – odgryzł się. – Chyba, że nie jesteście jeszcze gotowi... Swoją drogą, trzeba być pozbawionym sumienia, żeby zarzynać człowieka o tej porze...

– Zginiesz.

– Trzech wcześniej rozwalę na pewno. A jak mi się uda, to i czterech. – Przez czterysta lat nauczył się, że czasem losu nie da się odwrócić. Ale zawsze trzeba zachować klasę, aż do końca...

Kroki na mokrym bruku. Zza rogu nieoczekiwanie wyszło dwóch nocnych spacerowiczów. Staruszek wspierający się na lasce i, na oko sądząc, dwudziestoletni chłopak. Stanęli na sekundę, zdumieni rozgrywającą się na ich oczach sceną.

Dranie zabijają ich, żeby nie było świadków, pomyślał ze smutkiem Sędziwój.

Niespodziewanie spostrzegł dziwny blask w oczach starego. Coś w jego postawie, w gestach, w sposobie trzymania laski uzmysłowiło Sędziwojowi, że ten dziadek to ktoś taki jak on. Twardy gość ulepiony jeszcze z przedwojennego materiału. Stojący nad grobem, ale stojący na mocnych wciąż nogach. W oczach młodszego było coś dziwnego, przedwczesna dojrzałość. Zacięty wyraz twarzy, gdy lustrował plac boju, wskazywał, że też ma twardy charakter. Telepatyczny dreszcz, nagle odkryte pokrewieństwo dusz... I już wiedział, że nie cofną się, nie uciekną, nie zginą. Że w beznadziejnej sytuacji Opatrzność zesłała mu ich na ratunek. I wiedział, że są uzbrojeni. Czuł to przez skórę. Prawdziwy mężczyzna zawsze ma coś na podorędziu.

A zatem dano mu kolejną szansę. Jego ziemską pielgrzymka jeszcze się nie zakończyła. Dwóch na jednego, może trzech... Bywało gorzej.

Stary spokojnym ruchem wyjął z laski ostrze. Błękitna szpada zalśniła w świetle latarni. Damasceńska stal, bardzo stara robota. Podał ją młodemu.

– Nie wiem, co tu się dzieje, ale pomóż mu – powiedział po węgiersku. – Przysrójmy swoje życie wieńcem dobrych uczynków...

– Sporo ich – mruknął Laszlo.

Chwycił rękojeść i wypróbował broń.

– Boisz się? – Arminius spojrzał na niego spokojnie i bez nagany.

Strach może być siłą destruktywną, ale może też być twórczy. Może pomóc w ocenie sytuacji, trzeba tylko umieć go opanować. Zdusić, by nie przerodził się w panikę.

– Gdzie tam, to przecież tylko ludzie...

Starzec wyjął zza pasa sztylet i z ukłonem zaprezentował go Alchemikowi. Mistrz szablą odpowiedział na pozdrowienie. I nagle jakby ruszył film. Członkowie bractwa rzucili się do przodu. Sędziwój sparował pierwsze cięcie. Ostrze katany w zetknięciu z bułatem wydało cichy brzęk. Głownia szabli przecięła je. Kawałek klingi upadł na bruk. Sędziwój trafił przeciwnika w czoło, znacząc krwawy ślad.

– Następnym razem nie kupujcie broni w sklepach z pamiątkami – doradził.

Schylił się, przepuszczając miecz nad głową. Jednym ruchem poderwał szablę i ciał kolejnego wroga na odlew. Ten zachwiał się i w ostatniej chwili podtrzymał dłonią wypadające z brzucha trzewia. Nieźle oberwał, ale powinien przeżyć...

Laszlo skoczył ze szpadą naprzód. Głęboki wypad, pchnięcie i krok w tył. Dwa miecze przecięły ze świstem powietrze. Pudło. Zdążył się cofnąć. I zaraz kolejny wypad. Cios prosto w staw biodrowy, pierońsko bolesny i prowadzący do trwałego okulażenia. Jeszcze jedna parada. Tym razem trafił w ramię. Katana z brzękiem potoczyła się po chodniku.

Arminius podszedł do młodego łowcy i położył mu dłoń na ramieniu.

– Oddaj szpadę – poprosił. – Dajmy im choć minimalną szansę...

Młodzieniec posłusznie wręczył mu broń. Ostatni nie poszkodowany z trójki, patrzył na niego przerażony i wściekły. Stary odszedł w tył, zostawiając ich samych na placu boju. Laszlo wyjął bagniet od kałasznikowa i stanął, gotów do odparcia ataku.

Wróg skoczył do przodu. Węgier wykonał unik. Broń napastnika wbiła się w drewniane drzwi. Ułamek sekundy wystarczył, by Laszlo chlasnął go przez policzek ząbkowaną stroną bagnetu. Paskudna, szarpana rana, blizna zostanie na całe życie... Kopniak z boku i noga też złamana... To już ostatni. Odwrócił się, by zobaczyć, jak radzi sobie Alchemik.

Sędziwój tymczasem zważył się z najwyższym.

– Jak się nazywasz? – zagadnął, blokując cięcie tamtego.

– A czemu pytasz? – Uderzenie z nadgarstka, szybkie, paskudne, ale do sparowania.

– Zawsze lubię wiedzieć, kogo zabiłem.

– Rafor. Przywódca Bractwa Pierwszej Drogi...

– Drugiej Drogi, he, he – sprostował Alchemik.

Czasami w chwilach słabości pozwalał sobie na odrobinę cynizmu.

– Traktat alchemiczny „Wrota pieca” – wróg uderzył nisko, podstępnie, ale Sędziwój sparował cios – wskazuje, że naszym sposobem robiono złoto już dwa tysiące trzysta lat przed naszą erą. Więc to my jesteśmy pierwsi...

Mistrz wybił mu broń z ręki i uniósł szablę do ostatecznego ciosu. Pisk opon na wilgotnym bruku. Zaterkotał pistolet maszynowy. Kątem oka Alchemik spostrzegł, jak stary Węgier wciąga młodego w bramę, i sam wskoczył w sień po drugiej stronie ulicy. Koło ucha gwizdnął mu jakiś zabłąkany rykoszet. Gdy po chwili wyrżał, zaułek był pusty. Tylko dwaj nieoczekiwani pomocnicy stali po drugiej stronie. Alchemik, przebywając w kosmopolitycznej Pradze, liczył wielu języków Cesarstwa. Teraz grzebał w pamięci, szukając węgierskiego.

– Dziękuję, panowie – powiedział wreszcie.

– Nie ma za co – mruknął Arminius po polsku i, odwróciwszy się, odszedł wraz ze swoim uczniem.

Michał zrozumiał, że też trzeba iść. Szóstym zmysłem wyczuł, iż kilka radiowozów, nie włączając sygnału, jedzie już w tym kierunku. Tak, gliniarze ostatnio bardzo przykładali się do roboty. I nie mógł mieć im tego za złe...

* * *

Nadkomisarz zlustrował wzrokiem pobojuwisko. Dwa reflektory, każdy o mocy dwóch tysięcy watów, oświetlały wilgotny od rosy bruk. Zaułek zablokowano z obu końców. Technicy pozaznaczali już dowody rzeczowe.

– I co ty na to? – zapytał praktykanta.

– Koleś od pistoletu maszynowego wypruł, jak sądzę, krótki magazynek. Strzały padły z samochodu, i to szybko jadącego. – Wskazał rząd odprysków tynku. – Walił tak, aby zabić, ale niecelnie... Rozrzut wskazuje, że strzelał kompletny dyletant.

Detektyw uśmiechnął się pod nosem. Cztery punkty za spostrzegawczość. Minus dwa za słownictwo.

– Kontynuuj.

– Wcześniej porznęli się czymś. – Wskazał krwawy rozbryzg na dawno nieodnawianej ścianie. – Na przykład mieczami. – Przez chwilę kontemplował katanę, wbity w drzwi sklepu.

– Dlaczego nie może to być ślad postrzału?

– Kształt plamy zupełnie inny.

Jeszcze cztery punkty. Przeszli kilka kroków. Wzrok praktykanta zatrzymał się na dowodzie rzeczowym numer osiem. Na chodniku spoczywała odcięta ludzka dłoń. Kandydat na policjanta odwrócił się i zaczął wymiotować jak wulkan.

Minus dziesięć punktów. Dwa za słaby żołądek, osiem za zanieczyszczanie miejsca zbrodni przed zdjęciem wszystkich śladów. A, pał diabli, plus dwa za to, że zdążył się odwrócić i nie zapaskudził dowodów rzeczowych.

– Zbieraj się, jeszcze jedno miejsce musimy dziś odwiedzić.

Dwadzieścia minut później byli w muzeum. Nadkomisarz pochylił się nad sarkofagiem i przez dłuższą chwilę oglądał brązową, wyschniętą dłoń zaciśniętą na krawędzi wieka trumny.

– I co o tym powiesz? – zwrócił się do praktykanta.

– Wedle fotografii wykonanej przy obdukcji, prowadzonej przez zespół profesora Niwińskiego, ten koleś miał ręce skrzyżowane na piersi. Teraz jedna jest na swoim miejscu, a druga trzyma wieko.

Minus dwa punkty za uporczywe używanie w stosunku do denatów słowa „koleś”.

– Co jeszcze?

– Widzę tu dwa możliwe rozwiązania. Pierwsze, zgodne z zeznaniami nocnego strażnika: mumia usiłowała wydostać się z sarkofagu, a na jego widok nakryła się wiekiem. Drugie racjonalne: przestępcy, którzy zostawili po sobie ten burdel – wskazał gestem potłuczone lusterka, ogarki świec i miseczki z wypalonym kadzidłem – wpuścili w stawy mumii iniekcje z preparatu typu WD-40, a uzyskawszy dzięki temu elastyczność tkanki, wyciągnęli jedną rękę i zaciśnęli na wieku. Tym samym strażnik, wpadając tu z gaśnicą, w kiepskim świetle uległ poważnemu złudzeniu. Mógł się do tego przyczynić też gęsty dym z kadzidła. Znane są przypadki, w których pod wpływem braku dostatecznej ilości tlenu mózg wytwarzał halucynacje i fałszywe wspomnienia.

– Jak wyjaśnić to, że w chwili obecnej palce mumii znowu są sztywne?

– Prawdopodobnie preparat wchłonął się w tkankę lub odparował – zaryzykował stwierdzenie praktykant.

Dziesięć punktów. Minus jeden za określenie śladów pozostawionych przez przestępców słowem „burdel”.

– A zatem wszystko składa się w logiczną całość – powiedział zadowolony. – Kryminaliści weszli do wnętrza przez tajne przejście, zapewne wybudowane w czasach, gdy w muzeum mieściło się więzienie, lub przygotowane podczas przebudowy w latach pięćdziesiątych przez robotników zaprzyjaźnionych z recydywą... Tą samą drogą wydostali się potem na zewnątrz. W muzeum włamali się do sarkofagu.

– Nic nie ukradli – zauważył praktykant. – Można jednak przypuścić, że byli to ludzie bardzo zabobonni, przygotowali jakiś obrzęd, aby odwrócić od siebie ewentualną klątwę ze strony mumii kapłana. I w tym momencie zawył alarm, co ich spłoszyło.

– Brawo, moja szkoła.

– Właśnie, co z tym podkopem?

– Zakłajstruje się betoniarką. Badać nie ma sensu, bo wiemy, gdzie wyleźli. O drugiej w nocy nastąpił wybuch w jednym z pubów. Mamy rysopisy sprawców. No właśnie, tam też trzeba замуrować – przypomniał sobie.

– Może warto zbadać wcześniej lochy? – zadumał się praktykant.

– Nie ma czasu, pieniędzy ani sensu. To jest Kraków, tu podziemne tunele są dosłownie wszędzie. Wystarczy łopatę wbić w glebę i zaraz coś się znajduje... A archeolodzy i bez nas mają masę pracy. A zatem włamanie do muzeum, wybuch w centrum miasta i wreszcie rzeź i strzelanina w zaułku nieopodal Akademii Muzycznej... Najprawdopodobniej wszystkiego tego dokonała jedna grupa.

– Hmmm... Chyba możemy założyć taką hipotezę roboczą – zgodził się praktykant. – Broń biała, zagadkowe rytuały, brak czytelnych motywów działań... Czy to nie pasuje do tamtego zabójstwa z denatem nadzianym na rapier?

– Myślę, że to bardzo ciekawa hipoteza. – Nadkomisarz tak się ucieszył, że anulował w myślach połowę wlepionych dopiero co punktów karnych. – Dobra, nic tu po nas...

Wychodząc z holu, natknęli się na dyrektora muzeum. Szedł w towarzystwie dziwnego typka. Praktykant wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Towarzysz dyrektora miał na oko czterdzieści lat. Ubrany był w fioletowe spodnie od dresu, zamiast paska wciągnął izolowany kabel. Na grzbiet narzucił drelichową kurtkę zszarganą do nieprzyzwoitości. Pod brodą wisiało mu coś w rodzaju krawata. Trzydniowy zarost, małe, świńskie oczka i krzaczaste brwi dopełniały wyglądu. Na widok gliniarzy jego twarz przyozdobił szeroki, szczery, słowiański uśmiech, a w ustach błysnęła klawiatura złotych zębów.

Nadkomisarz odprowadził go zdumionym spojrzeniem. Teraz dopiero spostrzegł, że w jednej ręce nieznajomy trzyma solidny osikowy kołek i młot.

– Dziwnych pan dyrektor ma znajomych – mruknął.

* * *

Niedziela. Alchemik wyskoczył z tramwaju, poślizgnął się na warstewce mokrego śniegu pokrywającego trotuar, ale utrzymał równowagę. Tak jak przestępcę ciągnie na miejsce zbrodni, tak samo on zapragnął przyjrzeć się choć od zewnątrz miejscu nocnych przygód.

Budynek muzeum wyglądał zupełnie zwyczajnie, tylko na bramie nalepiono krzywo kartkę: „W dniu dzisiejszym nieczynne do odwołania”. Mistrz uśmiechnął się leciutko, konstrukcja gramatyczna wywieszki go zafascynowała. Przyspieszył kroku. Do kościoła był spory kawałek, a po nocnej rzezi musiał się jeszcze przed mszą wypowiadać... Obojętnie minął zaparkowany koło budynku radiowóz.

Dziewczyny dostrzegły Mistrza dopiero pod koniec mszy. Stał w bocznej nawie. Zamiast płaszcza miał na sobie goretexową kurtkę na polarze. Przyciął brodę, by zmienić jej kształt.

Msza się skończyła. Skinął im głową – dyskretnym gestem wskazując wyjście, ale nie podszedł.

– Coś jest nie tak – mruknęła Stanisława.

Nie myliła się. Ruszyły za nim w pewnym oddaleniu i po kilku minutach zanurkowały w bramę i w dół, do urządnego w piwnicach lokalu.

– Mistrzu, co się stało? – zapytała księżniczka.

Westchnął ciężko.

– Bractwo Drugiej Drogi – powiedział. – Dziś w nocy omal mnie nie dorwali...

Streścił im, co wydarzyło się w zaułku.

– A zatem wiesz, że ciągle żyjesz, i wiesz, jak wyglądasz – stwierdziła Katarzyna.

Przechylił pytająco głowę.

– To proste. Widziałeś ich kiedyś wcześniej?

– Wszyscy mieli na twarzach maski. Może i widziałem, trudno powiedzieć. Raczej nie, bo ich metoda nie nadaje się do przedłużenia życia, a ostatnio w Krakowie byłem podczas drugiej wojny światowej...

– Zatem muszą dysponować twoim zdjęciem – podtrzymała agentka. – Ewentualnie jakimś starym portretem, skoro zidentyfikowali cię bez pudła...

– Nie da się wykluczyć. Kilka razy w życiu pozowałem i nie wiem, co mogło się stać z tymi obrazami.

– W dodatku prawdopodobnie podłożyli ci pluskwę, by móc namierzyć...

– Niekoniecznie. Zawsze zajmowali się magią, więc prawdopodobnie wyczuli mnie telepatycznie albo jakąś inną metodą.

– Bądźmy racjonalni – zaprotestowała Katarzyna, ale trójka jej przyjaciół tylko uśmiechnęła się kpiąco. – No to bądźmy nieracjonalni. – Wzruszyła ramionami. – Kupisz sobie garść amuletów i ukryjesz przed ich telepatycznym wzrokiem?

– Amulet zasłoniętego oka. Można by spróbować – powiedział w zadumie. – Ale to nie po chrześcijańsku. Magia. Poza tym ukrywać się? – Wydał wargi. – Nie uchodzi.

– Co w takim razie radzisz? – zapytała Stanisława.

– Ciągle to samo. Trzeba ich odnaleźć i... – Przesunął dłonią po gardle. – Dzisiejszej nocy raniłem poważnie trzech. Ten młody Węgier jeszcze dwu. Masz możliwość sprawdzić w szpitalach? Jeszcze jedno. Zaatakowali mnie mieczami samurajskimi. Tyle tylko, że to była jakaś straszna tandeta ze sklepu z pamiątkami. Ale nie ta z najniższej półki, tylko raczej z następnej. Tsuby mieli z brązu i chyba kute, podczas gdy w tych gorszych są odlewane w mosiądzu.

– Co to jest, u licha, amulet zasłoniętego oka? – jęknęła Katarzyna.

– Oj, to proste – mruknął. – Amulet, który sprawia, że trudno cię dostrzec.

– To znaczy, że po Krakowie łązi, powiedzmy, stu niewidzialnych koleśków? – spojrzała zaskoczona.

Uśmiechnął się leciutko.

– I kto tu mówił przed chwilą o racjonalnym myśleniu?

– Amulet zasłoniętego oka sprawia, że trudniej kogoś dostrzec przypadkiem – wyjaśniła alchemiczka. – Jak idzie dziesięciu ludzi i wśród nich jeden z amuletem, to będziesz przekonana, że jest ich dziewięciu. Jednak jeśli policzysz, zobaczysz, że się myliłaś. Oddziałuje na podświadomość, a nie na świadomość... Rozumiesz?

– Chyba tak. Daje niewidzialność w tłumie widzianym kątem oka?

– Coś tak jakby – odparł Alchemik. – Szczerze powiedziawszy, jego działanie jest na tyle ulotne, że trudno nawet stwierdzić, czy naprawdę działa. Poza tym jest jeszcze jeden problem. Jeśli będą mnie wypatrywać, to oczywiście wypatrzą, nawet gdybym powiesił sobie na szyi dwadzieścia takich błyskotek.

– Poprowadzimy śledztwo dwutorowo – powiedziała Katarzyna. – Po pierwsze: miecze, tu trzeba będzie połączyć, po drugie: ranni, warto by ich zidentyfikować.

– Przez bazę CBS? – domyśliła się Stanisława.

– Nie. – Katarzyna zagryzła wargi. – Naszczujemy na nich jakiegoś dziennikarza z brukowca. Niech wywęszy wszystko, co się da, i opublikuje.

– I tak nie poda nazwisk.

– Ale podpisze się pod artykułem. Przyciśniemy go i po problemie.

– Do tego jeszcze ci dwaj Węgrzy – powiedział Alchemik w zadumie.

– Chcesz ich odnaleźć i podziękować?

– Nie o to mi chodzi. Zastanawiam się, kim byli. Ten młody... Cholera, maszyna do zabijania. Nie mogłem, oczywiście, obserwować go przez cały czas, ale poszedł z bagnetem na faceta uzbrojonego w miecz samurajski i bez trudu go rozbroił. Walczył z trzema przeciwnikami naraz. To mistrz... Spotkałem w życiu dwu, może trzech takich.

– Przejrzymy almanach sportu węgierskiego, pewnie znajdziemy najlepszych szermierzy... – podsunęła Katarzyna.

Pokręcił głową.

– To nie sportowiec. To wojownik. I jeszcze ten stary.

– Szpadę ukrytą w lasce można kupić na co drugim targu staroci. – Wzruszyła ramionami agentka.

– Ale jeszcze trzeba się nią umieć posługiwać... A on umiał. Widziałem po jego oczach, że jeszcze dałby sobie z nimi radę.

– Ale podał broń młodemu...

– Jak gdyby chciał go sprawdzić. Czuję przez skórę, że jeszcze będą z nimi kłopoty.

Pożegnali się i Sędziwój ruszył przez Stare Miasto. Zatrzymał się przed witryną antykwariatu. Jeden rzut oka powiedział mu wszystko. Karteczka ze starannie wykaligrafowanym napisem informowała, że „zamknięte do odwołania”. Szczerze powiedziawszy, spodziewał się czegoś podobnego. Wykorzystanie „Księgi uchylonych wrót” musiało podzielać na właścicieli księgozbioru jak płachta na byka. I co tu teraz począć? Włamywać się? Do pomieszczenia, którego pilnuje stary i doświadczony golem? Wolne żarty. Jeszcze mu życie miłe. A zatem odwrócił się na pięcie. Przed nim, za wąską uliczką, pięły się ku niebu grube mury z czerwonej cegły. Klasztor Dominikanów.

Klasztory, będące tradycyjnie pochodniami rozumu, gromadzą skrzętnie skarby wiedzy ludzkiej. W ich wnętrzach, ukryte przed spojrzeniem profanów, kryją się biblioteki, często pełne bezcennych manuskryptów. Wiele zbiorów uległo zniszczeniu lub rozproszeniu w czasach, gdy zaborcy likwidowali zgromadzenia zakonne... Jednak niektóre ocalały.

Biblioteka nie zmieniła się specjalnie od czasu, gdy odwiedził ją poprzednio, jakieś dwieście pięćdziesiąt lat temu. W czytelni nadal królują te same osiemnastowieczne meble z pociemniałego drewna. Tylko księgozbiór rozrósł się tak, że trzeba było zaadaptować kolejnych sześć pomieszczeń na magazyny woluminów. Zasiedli we trzech przy stole.

Brat Marcin odpowiedzialny za zakonne laboratorium, bibliotekarz i on, Mistrz Alchemik Michał Sędziwój...

– Traktat „Wrota pieca”? – zdumiał się opiekun księgozbioru. – Jestem pewien, że kiedyś słyszałem tę nazwę, ale nie mamy niczego takiego w katalogu.

Zakonny alchemik zadumał się głęboko.

– Zaraz – powiedział. – Ja też znam skądś ten tytuł...

* * *

Laszlo leżał na materacu i wpatrywał się w pokryty liszajami zacieków sufit. Arminius oglądał klingę szpady, badając szczyrby powstałe nocą.

– Ciekawy gość – odezwał się wreszcie. – Bardzo dobry w szabli. Widziałeś kiedyś, żeby ktoś tak sobie radził?

– Mój dziadek – mruknął łowca. – Ale chyba nie aż tak dobrze. Ciekawe, co tu się dzieje. Bo nie sądzę, by do polskich obyczajów należało rąbanie się po nocach bronią białą.

– Ciekawe. Ale to ktoś taki jak my. Prawdziwy mężczyzna... – Starzec przymknął oczy. – I chyba wiele przeżył. Umie zabijać i jednocześnie nauczył się cenić ludzkie życie. Bo przecież mógł ich pozabijać. Podobnie jak ty.

– Ja nie uśmiercam ludzi. Chyba że trzeba.

– Zabiłeś pięciu, mając dwanaście lat. Wcześniej przeszedłeś inicjację i stałeś się wojownikiem. Zwróciłeś uwagę na jego broń?

– Hmm. Szabla. Podobna do naszych z kształtu.

– Tak zwana batorówka. Upowszechniły się w Polsce, gdy ksiązę z Siedmiogrodu, Stefan Batory, został ich królem. Kształt jak kształt.

– Na głowni miał chyba jakiś napis nałożony złotymi literkami – zauważył. – Nie miałem czasu się przyjrzeć.

– A ja próbowałem. Metal miał strukturę jak słoje drewna...

– Damast?

– Raczej bułat. Widziałem coś takiego tylko raz w życiu. Może jest to miłośnik dawnej broni, a może szermierz. Może ktoś taki jak my, człowiek, który na niezwykłych przeciwników używa niezwykłej broni.

– A tych sześciu?

– Sam oceń.

– Przeszli przeszkolenie, przynajmniej podstawowe. Powiedzmy, ktoś ich nauczył podstawowych cięć. Ale to pataluchy... Słabi fizycznie i słabi na duchu. Dopóki mieli przewagę trzech na jednego, nawet dzielnie sobie poczynali. Gdy załatwiłem pierwszego, nagle powietrze z nich zeszło jak z przekłutego balonika.

– Poszli w sześciu na jednego, ale jednocześnie zabrali miecze zamiast pistoletów. Ciekawe, dlaczego?

– Może i jedni, i drudzy należą do jakiegoś stowarzyszenia, którego kodeks nie zezwala na używanie broni palnej w porachunkach? Na przykład masoni mają swoje zwyczaje...

– Niewykluczone. Ale nie słyszałem, żeby masoni różnili się mieczami samurajskimi. Oni wolą opłacać wroga siecią intryg i pieniędzy.

Arminius przeciągnął się, aż mu stawy zaskrzypiały.

– Pora pogadać konkretnie – powiedział. – Jak rozumiem, do tej pory z poszukiwań małej wampirki nic ci nie wyszło. Mógłbyś przybliżyć zastosowaną metodę?

– Przypuszczałem, że ktoś taki, jak ona, lubi pokręcić się wśród ludzi. Dziadek wspominał, że wampiry często mają szerokie zainteresowania artystyczne, lubią antyki i obrazy. Dlatego łąziłem po Starym Mieście i wypatrywałem jej przez kilka godzin.

Starzec uśmiechnął się leciutko.

– To i tak mądrzej niż czatować przed bankiem krwi – mruknął. – Przeanalizujmy, co o niej wiemy.

– Ma minimum dwieście lat, choć wygląda na szesnaście.

– Sądzę, że jest dużo starsza. Nie mam na to dowodów, po prostu przecucie. Jeśli potrafiła poharatać nam golema, to znaczy, że jest niezła...

– Musi gdzieś mieszkać.

– Nie wiemy, gdzie. Ech, trzeba było wmontować w golema policyjną pluskwę. Nie pomyśleliśmy. Ale zwróć uwagę na to, że wyszedł od nas i po niecałej godzinie wrócił.

– Dwadzieścia minut na dojsie, dwadzieścia na walkę, dwadzieścia na powrót?

– Nie. Wracał dużo wolniej: był ciężko uszkodzony. Powiedzmy, dziesięć minut na dojsie, dziesięć na walkę, czterdzieści na powrót? Tego nie ustalimy. No, nieważne. W każdym razie to potwierdza moje przecucia. Mieszka gdzieś niedaleko. Zainteresowania?

– Medycyna? Wspominałeś, że na obrazach z Sofii jest pielęgniarką...

– No cóż, dla wampira jest to niezłe zajęcie... Ale obecnie szesnastolatka ma nikłe szanse pracy w tym zawodzie.

– Może dorabia sobie jako opiekunka do dzieci?

– Zbyt ryzykowne. Co innego dobić rannego i podciągnąć mu litr krwi, co innego zagryźć dzieciaka. Nie oplaca się tak ryzykować.

– Lubi muzykę. Pamiętasz to zdjęcie z koncertu?

– Dawała kwiaty.

– Właśnie – zapalił się młody. – Na pewno nie była zwykłym widzem, bo nie weszłaby na scenę! Jeśli stała tam, to znaczy, że była zaprzyjaźniona z muzykami. Kręciła się przy nich, chodziła z nimi na wino albo sama gra na jakimś instrumencie?

– Może to dobry trop. – Poskrobał się po głowie.

– Może dałoby się ją jakoś wywabić z kryjówki.

– Tylko jak? Urządzimy międzynarodowy konkurs? – Stary przyrodnik uśmiechnął się pobłażliwie.

– W sumie czemu nie. Wygląda pan odpowiednio dostojnie. Przyjdzie pan na Akademię Muzyczną, przedstawi się jako światowej sławy dyrygent i zaproponuje zorganizowanie przesłuchania studentów i, powiedzmy, zdolnych samouków.

– Widzę tu jeden drobny problem. – Uśmiechnął się Arminius. – Ja nie mam zielonego pojęcia o muzyce. Zastanówmy się teraz, czy bywa na koncertach...

Oczy Laszlo zrobiły się okrągłe jak spodki.

– A, o tym nie pomyślałem... Zaraz! Widziałem kiedyś jeszcze jedno zdjęcie. W gazecie. To była recenzja z koncertu jakiejś młodzieżowej orkiestry. Wydawało mi się, że ją rozpoznałem. Grała na skrzypcach. Wykonywali, o ile pamiętam, poemat symfoniczny „W lesie” Ciurlionisa. Nasza wampirka naprawdę lubi muzykę...

- No to zanotuj. Punkt pierwszy: koncerty. Punkt drugi?
- Musi skądś zdobywać pieniądze na utrzymanie. Musi gdzieś mieszkać. Musiała wreszcie zalegalizować jakoś swój pobyt, jeśli chce tu zostać dłużej.
- Po kolei. Pieniądze?
- Kilka możliwości. Może rabować ludzi, przy jej szybkości i sile poradzi sobie nawet gołymi rękami. Ale to strategia na krótką metę. Szesnastoletnia blondynka napadająca przechodniów szybko zwróci na siebie uwagę policji.
- Słusznie. Mogła wprawdzie na samym początku pobytu tutaj obrabować bank, ale to mało prawdopodobne.
- Może dawać dupy pedofilom...
- Wyrażaj się – skrzywił się stary.
- ...ale jakoś mi to do niej nie pasuje. Może mieć w Polsce krewnych, rodzinę lub khm... nazwijmy to, uczniów.
- Punkt dla ciebie, o tym nie pomyślałem. Ale jest też pewna możliwość. Najprostsza. Laszlo spojrzał na niego spod oka.
- Jaka?
- Pomyśl sam. Ile ma lat? Szesnaście. Tu jest jeszcze dzieckiem. Przypuszczam, że wsadzili ją do domu dziecka, ewentualnie oddali pod opiekę rodzinie zastępczej.
- To jest myśl...
- Nie wiem, ile tu mają domów dziecka, ale to nie problem się dowiedzieć. – Z kuchni przyniósł nadpaloną nieco książkę telefoniczną. – Hmmm... sporo.
- I co dalej? – zapytał Laszlo. – Zaczaimy się pod każdym, patrząc, kto wchodzi, a kto wychodzi?
- Arminius westchnął ciężko.
- Po co? Pójdę tam i podam się za jej dziadka. Powiem, że przyjechałem z Bośni i szukam ukochanej wnuczki. I po problemie.
- A jeśli okaże się, że ona tam jest? Rozwalisz ją od razu czy co?
- Będę chodził rano, kiedy dzieci są w szkole. Przy odrobinie szczęścia dorwiemy ją może nawet jutro...

* * *

- Arminius wyszczotkował garnitur i przejrzał się w kawałku stłuczonego lustra.
- Nieźle – mruknął. – Całkiem szykownie. Choć schudłem nieco ostatnimi czasy, ale to nawet lepiej... Dla sprawy.
 - Ale nie wygląda pan jak uchodźca z Bośni. – Laszlo najwyraźniej miał wątpliwości.
 - A czy to ważne? Jeszcze tylko zdjęcie...

Z plecaka wydobyl aparat cyfrowy i małą drukarkę. Pstryknął fotkę reprodukcji „Góralki z koszem śliwek”. Podczepił kabelek i wydrukował. Obejrzał z zadowoleniem efekt końcowy.

– No i gotowe – ucieszył się. – Wygląda jak fotografia.

– Strój sprzed stu pięćdziesięciu lat. – Młody znowu zgłosił zastrzeżenie.

– A skąd oni mogą wiedzieć, jak się ubieramy u nas w Bośni? Cholera, szkoda, że twój samochód ma oznaczenia z wysp Tuvalu. Ale trudno. I tak nie pamiętam, jakie są bośniackie. A i oni tego nie wiedzą...

– Przyjechała tu z Kosowa – zauważył Laszlo. – A to kawałek drogi od Bośni. Cholera wie, skąd tam się wzięła i co robiła. Może lepiej powiedz, że jesteś Albańczykiem?

– Nazwisko Stiepankovic nie brzmi jak albańskie... Hm, a Serbów chyba nikt nie lubi. Vamblery brzmi odpowiednio zagadkowo i przy tym nieco międzynarodowo.

– Można i wymówić z angielska... – podsunął młody.

– Czy wyglądam na emerytowanego nauczyciela?

– Eee, wydaje mi się, że tak. Choć bardziej może na wykładowcę z uniwersytetu.

– Dobra. Znasz jakieś miasta w Bośni?

– Dubrownik, nie to chyba Chorwacja albo i Słowenia... Ale przecież jest Sarajewo! I zdaje się mają tam uniwersytet...

– I znakomicie. A zatem jestem wykładowcą uniwersyteckim z Sarajewa. Hmmm. Na przykład biologiem. Może jestem ciut za stary, ale z drugiej strony, po wojnie mogą mieć braki w kadrze.

– Myślę, że to akurat najmniejszy problem. Ludzie wiekowi mogą nadal prowadzić cenne badania naukowe, mimo przekroczenia, nazwijmy to, wieku emerytalnego... Gorzej będzie, jak zapytają o dokumenty. Co wtedy – zadumał się młody łowca. – Co im pokazać?

– Cokolwiek, choćby bilet miesięczny. Przecież i tak nie znają węgierskiego. Myślę, że nie zapytają. – Uśmiechnął się leciutko. – Nie wypada tak wypytывать czcigodnego starca, który szuka ukochanej wnuczki...

Zapakowali się do samochodu i ruszyli przez miasto. Niebawem zatrzymali się przed pierwszym z wytypowanych domów dziecka. Obrzydliwa budowla.

– Dziewiąta. – Przyrodnik popatrzył na zegarek. – I świetnie. Najlepsza pora na atak.

Wysiadł z wozu. Przygarbił się odrobinę, a na jego twarzy odmalował się wyraz nieokreślonej troski. Podeszedł do drzwi i pociągnął za klamkę. Zamknięte na głucho. Nacisnął guzik dzwonka. Zabrzęczał domofon. Wszedł i już po chwili odnalazł gabinet pani dyrektor.

– O co chodzi? – warknęła, unosząc wzrok.

– Mówi pani po angielsku, niemiecku lub francusku? – zapytał z uprzejmym uśmiechem.

– Czym mogę służyć? – powtórzyła, tym razem po niemiecku, ale nie mniej agresywnie.

– Jestem profesor Arminius Vamblery – przedstawił się. – Paleontolog i etnograf z uniwersytetu w Sarajewie.

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

– No i co? – Przekrzywiła głowę.

– Szukam mojej ukochanej wnuczki – odparł. – Wojna nas rozdzieliła... Słyszałem, że jest w Krakowie.

Położył na biurku fotografię.

– Co?! – ryknęła baba. – To pan jest dziadkiem tej, tej... małej ścierki, wywłoki, ladacznicy?! Nieźle ją pan wychował, a sam chyba nie lepszy. Nie ma jej tutaj, dwa tygodnie temu zwała!

– Gdzie mogę ją znaleźć? – zapytał spokojnie i konkretnie. – Wojna nas rozdzieliła...

– A skąd mogę wiedzieć? W ABW ją zatrudnili – tu wygłosiła dłuższą tyradę, w której wyłożyła swoje teorie na temat tego, co agenci i agentki tajnych służb aktualnie robią z jej byłą podopieczną i w jakich pozycjach. Stary przyrodnik poczerwieniał, słysząc takie wyrazy.

– A teraz won mi stąd! I bez was mam masę problemów. – Pani dyrektor z właściwym sobie taktem, dała do zrozumienia, że audyencja skończona...

– Dziękuję za informacje – mruknął.

Po chwili wsiadał do samochodu.

– Bośniaków też tu nie lubią – poinformował Laszo.

– Ale zdobyłem ciekawe informacje. Dziewczyna jest w mieście. Była w domu dziecka, ale, zdaje się, ktoś ją zabrał.

– No, ładnie – skrzywił się młody. – Mogła być z tego rzeźnia. Nocą sama, kilka śpiących dziewczyn. Dla niej to świetna okazja, żeby sobie wybrać ofiarę, związać, zakneblować poduszką. I ssać do woli.

– Wampiry niechętnie zabijają w pobliżu swoich kryjówek – odrzekł stary. – Ale masz rację. Na odchodnym mogła urządzić jatkę... Wkręciła się jakoś do jakiegoś ABW. Sądząc z opisu, to jakiś pensjonat wypoczynkowy dla szpiegów o wypaczonych gustach...

– Hmmm, pewnie nazwa firmy albo szkoły policyjnej. – Młody Węgier zabrał się za kartkowanie książki telefonicznej. – Ale nie ma tu nic takiego. Do diabła, jak szkoli się na szpiegowę, to może być tajne. A może po prostu iść na policję i poprosić ich o pomoc w ustaleniu, gdzie się podziewa?

Stary popatrzył na Laszlo zaskoczony.

– Ty to masz łeb! – Uśmiechnął się. – Nie. – Machnął ręką. – Odpada. Jeśli jej powiedzą, że szuka jej dziadek, spłoszy się.

– To może poprosić, żeby nie mówili, niby, że chcesz jej zrobić niespodziankę?

– Przemyślimy to.

* * *

– Wszystko powolutku składa nam się do kupy – powiedział zadowolony nadkomisarz. – A zatem pojawia się tajne bractwo, zaczynają od zrobienia porządku na swoim podwórku. Na

pierwszy ogień ten cały Dymitr. Wysyłają do niego zabójcę. Nie w ciemną bity, próbuje zlikwidować likwidatora. Ale ginie od kuli z króciwy.

– Najwyraźniej też oni włamują się do muzeum egipskiego, by odprawić jakieś tajne rytuały – zaważył praktykant.

– Tak myślisz?

– Jasne. Pamięta pan, co było na podłodze? Foremki z kadzidłem, świeczki, lusterka...

– Hmm. Możemy założyć roboczą hipotezę, że to oni. – Kiwnął głową policjant. – Ze śladów zabezpieczonych na miejscu wynika, że do muzeum włamały się trzy osoby. Mamy jednak tylko jeden czytelny odcisk buta, prawdopodobnie robionego na zamówienie, nietypowa podeszwa... Sprawcy przeszli lochami pod miasto i wysadzili w powietrze kawałek pubu.

– No właśnie, po co to zrobili?

– Cholera ich wie. Pewnie, żeby się wydostać albo przy okazji wyrównywali z kimś jeszcze porachunki. Stamtąd poszli w stronę Akademii Muzycznej i na ulicy Świętego Krzyża wpadli prawdopodobnie na inną grupę. Mamy zeznania kobiety, którą obudziły hałasy i podeszła do okna. Zauważyła, że dwu mężczyzn walczyło na miecze z sześcioma innymi, a jeden stał z boku. Trzy ślady z muzeum, trzech dynamitardów wyłania się z lochu, a piętnaście minut później ta jatka.

– Faktycznie, to ma ręce i nogi. – Potaknął praktykant. – Ale chyba popełnił pan błąd w założeniach.

– To znaczy?

– Myślę, że było inaczej. W mieście mamy grupę członków tajemniczego bractwa. Może od razu umówimy się, że będziemy nazywali ich masonami?

– Niech będzie. Najwyżej się potem w protokole poprawi.

– A więc przybywają trzej, ja wiem, może wysłannicy Narodowej Łoży Polski albo Wielkiego Wschodu Francji, w każdym razie ci miejscowi się zbuntowali i nie chcą słuchać kierownictwa.

– OK. Kontynuuj.

– A więc przybysze zabierają się do robienia w trójkę porządku z miejscową komórką. Na początek ginie szef krakowskiej łoży – Dymitr. Przybysze, czy też emisariusze, liczą, że to skłoni krakowską łożę do opamiętania.

– Ale ci, wręcz przeciwnie, postanawiają ich zgładzić. Emisariusze odprawiają zagadkowy rytuał, włamawszy się do muzeum, a opuszczając je, wpadają w zasadzkę byłych podwładnych Dymitra. Dochodzi do szczerzej wymiany poglądów przy użyciu mieczy samurajskich i innych takich. Masz rację. Wszystko teraz idealnie pasuje. Dostajesz pięćdziesiąt punktów.

– Dziękuję panu.

Rozdział VIII

Monika leży wygodnie wyciągnięta na reniferowej skórze. Ciekawie, co za idiota wymyślił, że wampiry lubią spać w trumnach? Stocker? Nie, zaraz, kto jako pierwszy opisał w powieści wampiry? Nie pamięta. Przymyka oczy... Srebrzone bizantyjskie okucie od siodła powiesiła na wstążeczce nad łóżkiem.

Stanisława krząta się po kuchni. Zlała ze słoja wódkę, w której wymoczyły się pigwy, i miesza ją teraz z odzyskanym wcześniej syropem. Wstrząsa balonem, kosztuje, mruczy sama do siebie. Nie jest do końca zadowolona z uzyskanego efektu, a to oznacza, że wyszło jej znakomicie.

Księżniczka spogląda na okucie i popada w zadumę. Czuje przemożną chęć posiadania jeszcze jakiegoś sympatycznego drobiazgu. Czegoś, co przypomni jej dom... Przymyka oczy. W skarbczyku za antykwariatem było coś na półce. Koncentruje się. Nieduże, kremowej barwy... Kaganek? Coś w tym stylu.

– Wychodzę! – woła w głąb mieszkania.

– Tylko uważaj na siebie – dobiega ją głos przyjaciółki.

Ogląda się przez ramię. Obraz, który widzi, to nagłe spojrzenie przez dziurę w czasie. Stanisława w siedemnastowiecznej sukni uniosła szklany balon i w blasku woskowej świecy ocenia kolor nalewki. Alchemiczka przy pracy. Mniejsza o to, co robi...

Wampirzyca uśmiecha się lekko. Przepis sprzed czterech stuleci, kamienica, która stoi tu dopiero wiek, woskowa świeca kupiona dwa dni temu, gąsior, który może mieć rok lub siedemdziesiąt, nalewka, którą należy skosztować dopiero za kilka tygodni. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość – splatają się w gordyjski węzeł. I po co sobie łamać głowę, co zdarzyło się kiedy?

Nad Krakowem wiszą ciężkie, deszczowe chmury. Ochłodziło się, ale goretexowa kurtka na polarowej podpince skutecznie chroni ją przed zimnem. Nie lubi chłodu, w ciągu ostatnich lat miała aż za dużo okazji, by przemarznąć do szpiku kości. Zbyt wiele razy dreptała w przemoczonych butach, głodna, ścigana, nieludzko zmęczona. Los się odmienił.

Antykwariat jest czynny. Sprzedawca ją poznaje i bez ceregieli zaprasza gestem na zaplecze.

– Czym mogę służyć tym razem?

Omiata półki spojrzeniem. Kaganek ciągle stoi na swoim miejscu.

– Można to zobaczyć?

– Kosztuje tysiąc osiemset złotych. Proszę zwrócić uwagę, jaki ładny... Lewant, ósmy wiek naszej ery...

Kaganek został posklejany z kawałków. Kilka brakujących fragmentów uzupełniono jasnym gipsem.

– Rekonstruowany – zauważyła.

– Te, które dotrwały do naszych czasów w całości, są dużo droższe...

Pokiwała głową w zadumie, a potem smukłą dłonią ujęła lampkę. Przymknęła oczy.

Był wieczór. Znad morza wiała chłodna, orzeźwiająca bryza. Księżniczka siedziała na szerokim parapecie okna. Po południu goniec przyniósł jej list, wezwanie do rezydencji biskupa. Wiedziała, dlaczego. Mieszkała w Myrze już od ośmiu lat. Przez ostatnie pięć nie postarzała się ani o rok, ciągle wyglądała na szesnaście. Rok wcześniej uduszono srebrnym łańcuchem siostrzenicę cesarza. Stare legendy, podania nagle ożyły. Na każdym targu, gdzie tylko pojawiali się sprzedawcy zwojów, można było kupić rozprawy rozmaitych „uczonych” na temat wampirów. Wcześniej czy później ktoś musiał skojarzyć.

A zatem koniec spokojnego życia w willi na brzegu morza. Trzeba uciekać, zdać się na niepewny los... Posiada kilka ładnych majątków ziemskich wokoło miasta. Gdyby miała choć tydzień czasu, mogłaby sprzedać je za niezłą sumkę. A tak, przypadło. Zza jedwabnego paska wyjęła tubus na dokumenty i wysypała jego zawartość na suknię. Klejnoty, spora garść złota, połyskującej emalii i szlachetnych kamieni. Zapinki, szpile. Przeżyje za to kilka lat. W Italii lub Armenii. Życie... Tak. Jej życie dopiero się zaczyna. Tu nie może zostać, ale przecież... Przecież cały wielki świat leży dosłownie u jej stóp! Zgarnęła kosztowności z powrotem.

Odległe stukanie do drzwi. Lekki krok na mozaikowej podłodze.

– Pani...

Oderwała wzrok od morza i zachodzącego słońca. Śliczna, śniadoskóra Alodyjka stała w drzwiach z kagankiem w dłoni. Niewolnica sąsiadów. Czasem księżniczka pożyczała ją, gdy chciała posłuchać gry na flecie. Chciała nawet odkupić, żal jej było samotnego dziecka, cierpiącego niewolę tak daleko od domu...

Ma piękny odcień skóry, szary jak piaski pustyni. Na szyi kropelki potu... Mały krzyżyk na rzemyku, wycięty z czarnego drewna. Tam na południu za Egiptem też żyją chrześcijanie. I ona jest chrześcijanką, więźniem w domu chrześcijan. Czemu Grecy nie słuchają słów biskupów? Czemu od pogan kupują swych braci, by im służyli? Dziewczynka pokłoniła się nisko.

– Pani, słyszałam w mieście, że jutro mają cię aresztować – wydyszała. – Ludzie na targu mówią, że staniesz przed sądem biskupim jako wampir... Musisz natychmiast uciekać.

Już jutro. Przez twarz księżniczki przebiegł cień. Sądziła, że ma więcej czasu. Stłumiła panikę. Jutro to jutro. Figę będą mieli, nie aresztowanie. Na rączym koniku zrobi tej nocy szmat drogi...

– A ty? – Monika spojrzała spokojnie. – Co sądzisz? Jestem winna czy niewinna? – Na wargach pojawił się smutny uśmiech.

Oczy, ciemne jak noc nad lewantyńskim wybrzeżem, zaślnęły.

– Pani, ja wiem. Od dwu lat się domyślałam, widziałam cię w stajni wtedy... Ale to nie tak, jak piszą i mówią. – Przechyliła głowę, a jej oczy błysnęły inteligencją. – Przecież tyle razy byliśmy same, a ja ciągle żyję. Nie zrobiłaś mi nic, nawet gdy coś pomyliłam.

Wiedziała i nie doniosła. Boi się, ale przyszła mnie ostrzec...

– Owszem, to nie tak, jak piszą w książkach... Przynieś mi przybory do pisania.

Dziewczyna знаła jej dom, znalazła je bez trudu. Księżniczka siadła przy stole. Niewolnica stanęła przy niej z kagankiem w ręce. Szybko przycięła papirus do odpowiednich rozmiarów. Tusz nieco zgęstniał, więc popłuła do miseczki i ująwszy w dłoń trzcinę, sprawnie skreśliła kilkanaście słów. Posypała kartę piaskiem i pospiesznie ucięła ze zwoju kolejną. Znowu kilkanaście słów.

– Dla ciebie. Posłuchaj mnie uważnie. To list do biskupa Pachomiosa. Wyrusza jutro o świcie statkiem do Aleksandrii. Jest mi winny przysługę. Zabierzesz się z nim jako dziewczyna do posług. Nie zna cię, więc napisałam, że jesteś córką kupca, który zmarł w podróży. Z Egiptu do Dongoli jest daleko, ale może nasi bracia w wierze pomogą ci. Drugi papier to potwierdzenie, że jesteś moją niewolnicą i jedziesz na południe na moje polecenie. Nie wiem, czy Arabowie będą to honorować, ale kto wie... Może zapewni ci choć częściową ochronę. Na pewno będziesz potrzebować pieniędzy. – Rzuciła na papiery sakiewkę z pięcioma złotymi solidarni.

Uniosła głowę i spojrzała niewolnicy w oczy. Spozregła łyzy.

– Nie daj się złapać – powiedziała ciepło – bo w żaden sposób nie będę mogła pomóc ci...

– Pani, czym zasłużyłam...

– Nie zdradziłaś mnie. A my, Stiepankovice, wysoko cenimy lojalność. Biegnij teraz do domu, pokręć się jeszcze po willi, żeby wszystko wyglądało jak zwykle. Ale nie wolno ci iść spać. Gdy niebo się zaróżowi, spiesz do portu. Statek odbija o świcie, płynie prosto do Aleksandrii. Zanim podniosą alarm, będziesz daleko.

Kaganek wysunął się z dłoni dziewczyny i z trzaskiem rozprysł się na podłodze.

Jeden przedmiot i tyle wspomnień. Ten czy nie ten? Po tylu latach pamięć szczegółów się zatarła... Chyba inny. Ale i tak ładny.

– Drogo – mruczy.

– Jeśli pani nie może zdecydować się w tej chwili...

Przechodzą do ogólnodostępnej części sklepu. Księżniczka Monika przegląda w zadumie zawartość gablotek. Wybiera złotą szpilę do włosów, ozdobioną pięknymi, czerwonymi granatami. Prawie dwa tysiące, ale płaci bez wahania.

– Ma pani gust. – Uśmiecha się sprzedawca. – To unikat... Secesyjna, niestety, nie sygnowana.

Kiwa głową. Secesja, coś jej to mówi. Trzeba będzie doczytać. A może jednak powinna kupić kaganek? E, nie. Po co odgrzebywać stare wspomnienia?

– Mogę prosić jakieś lustro?

Sprzedawca gestem wskazuje jej kryształową taflę w złoconej, rokokowej ramie. Włosy nieźle jej już odrosły. Spina je w kok i przetyka go od razu szpilą.

– Przydałyby się jeszcze kolczyki. – Staruszek przekrzywia głowę. – Mam tu jedną parę, ale nie wiem, czy będą pasowały...

Złote kolczyki z tymi samymi kamieniami, czerwonymi jak krew, ładnie komponują się ze złocistymi włosami. Jeszcze trzysta złotych...

– Dwieście. – Sprzedawca nieoczekiwanie obniża cenę i dyskretnie patrzy na zegarek. Powinien zamknąć dziesięć minut temu. – Pięknie pani wygląda. Jak prawdziwa księżniczka...

Monika obdarza go ciepłym uśmiechem.

– Może jestem księżniczką. – Jej oczy lśnią wewnętrznym blaskiem.

Idzie do domu, co jakiś czas przeglądając się w witrynach sklepów. Wygląda sztywnie. To był dobry zakup. Nieoczekiwanie przypomina sobie niewolnicę. Ciekawe, czy dotarła szczęśliwie do domu. W sumie nigdy o tym nie myślała. Przecież mogła po prostu pojechać z nią...

Stary sprzedawca zapomniał, że ma zamknąć sklep. Siedzi za biurkiem i zastanawia się, czy zagadkowa klientka faktycznie jest księżniczką.

* * *

Stanisława zlała zawartość słoja. Księżniczki nie ma w domu. Można przekazywać rodzinne sekrety zupełnie otwarcie.

– Zastosowanie śliwownicy zamiast zwykłej wódki to, oczywiście, nie wszystko – wyjaśnia spokojnie. – Trzeba dodać jeszcze kilka składników.

– Dosypiesz jeszcze czegoś?

– Oczywiście. Kardamon, odrobina cynamonu, ćwierć laski wanilii, cztery goździki i kilka kawałków litworu w cukrze. Tylko pamiętaj, żeby wszystko dobrze odcedzić, jak będziesz zlewać do butelek, bo jeszcze ktoś by się domyślił przepisu...

* * *

Arminius zaparzył mocną cejlońską herbatę. Jej niebiański zapach sprawił, że Laszlo otworzył oczy.

– Znowu mamy dzień – powiedział stary łowca. – Co powiesz na to, by przejść się po sklepach?

– Cierpię na chroniczną chorobę...
– ...objawiającą się dziurami w kieszeni. Ja stawiam.
– A co konkretnie mamy kupić?
– Po pierwsze: srebro, po drugie: rtęć, po trzecie: jakiś garnitur dla ciebie. I odpowiednie dodatki: muszkę, buty.

– W jakim celu?

Stary rzucił mu gazetę, kupioną kilka minut temu w sklepiku za rogiem.

– Zobacz sam. Akademia Muzyczna daje dziś koncert. Wstęp wolny. Będą wykonywali ten sam poemat symfoniczny Ciurlionisa, który grała ta bośniacka orkiestra młodzieżowa, gdy Monika była jej członkiem.

– Sądzisz, że?

– Prawdopodobieństwo, że znajdzie się pośród wykonawców jest minimalne, ale nie da się wykluczyć. Możemy też założyć, że ją to zainteresuje i przyjedzie sobie posłuchać. W każdym razie o osiemnastej musimy być gotowi. Przygotuj formę do kul, za godzinę wychodzimy. Wrócimy z surowcem. Samopół masz sprawny?

– Oczywiście.

– Zapas prochu? Spłonki?

– Na jakieś trzy wystrzały wystarczy.

– Jeśli dobrze pójdzie, dziś ją kropniemy.

Forma z gipsu to robota na dwadzieścia minut. Położył ją na piecu, żeby dobrze wyschła. Arminius w tym czasie przygotował śniadanie. Posilili się, wypili herbatę. I byli gotowi do wyjścia. Samochód zostawili na podwórzu, pojechali autobusem. W supermarkecie budowlanym kupili lampę lutowniczą oraz kilka puszek z propan-butanem. W sklepiku z materiałami jubilerskimi granulat srebra, wreszcie zanurkowali do sklepu z modą ślubną, z którego Laszlo wynurzył się odstawiony jak stróż w Boże Ciało. Ogolony starannie i w garniturze wyglądał tak sztywnie, że oglądały się za nim dziewczyny.

– Wreszcie wyglądamy jak profesjonaści. – Stary przyrodnik też się odpowiednio ubrał.
– Teraz możemy wykonywać naszą misję...

Wrócili na kwaterę i zdjęli odświętne stroje.

– A zatem... – Arminius zakrzętnął się przy piecu. – Po pierwsze, nie potrzeba nam temperatury rzędu kilku tysięcy stopni. Wystarczy tysiąc dwieście, a tyle da nam palniczek gazowy. Po drugie, co za bezsens grać metal w blaszanej puszcze? Użyjemy porcelanowego tygla. Wytrzyma półtora tysiąca stopni, a tyle nawet nie jest nam potrzebne...

Bez problemu w kilkanaście minut stopił kruszec i wlał w formy. Poczekał, aż odlew wystygnie. W tym czasie stłukł dziesięć termometrów i zgromadził rtęć w małym słoiczku. Laszlo milczał wstrząśnięty, podziwiając precyzję łowcy.

– Nie można schłodzić wodą? – Wskazał na formy.

– Metal mógłby popękać.

Wreszcie wyjął kule i zakręcił w imadle. Szybko wywiercił w nich dziury.

– Jak zabezpieczyłeś, żeby rtęć się nie wylewała? – zapytał przyrodnik.

– Klejem dwuskładnikowym... – wykrztusił młody.

– Tak myślałem. – Pokręcił głową, a na jego twarzy odmalowało się politowanie. – Energia poszła głównie do tyłu, zamiast do przodu i na boki. Przy uderzeniu o przeszkodę wywaliło dekiel...

– To jak to zrobić? – obraził się Laszlo.

Arminius wyjął niedużą lutownicę. Do otworów wlał rtęć i zreżnie zalutował.

– No, i teraz to jest konkret – mruknął. – Jak jesteśmy z czasem?

– Szesnasta.

– Nabij spluwę i będziemy się zbierać. Zajrzymy jeszcze do empiku.

* * *

Stanisława odłożyła gazetę na biurko. Popatrzyła na swoje uczennice. Jej wzrok mógł przyprawić o zawał.

– Naprawdę nie wiecie, kto to był Ciurlionis? – Była zaskoczona.

Odpowiedziało jej przerażone spojrzenie dwudziestu par oczu. Tylko Monika uśmiechnęła się skromnie.

– Nasza cywilizacja umiera – zawyrokowała nauczycielka. – Hańba! – huknęła, a potem pogрузzyła się w gorzkiej zadumie. Uczennice siedziały wstrząśnięte i milczały.

Wigilia 1904 roku, uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych zwalili się niemal w komplecie do pracowni na poddaszu, domu przy Żurawiej... Przyszła odrobinę spóźniona: nie mogła złapać dorożki. Dwadzieścia stopni mrozu, skostniała. Wdrapała się po długich, wąskich, drewnianych schodach i zapukała do drzwi. Otworzył jej Pawliszak, młody malarz, wtedy już naznaczony piętnem nieustannego cierpienia. Gruźlica kości toczyła go powoli, ale nieubłagane. Za rok zginie zastrzelony w kawiarni przez tego łajdaka Ksawerego Dunikowskiego. Ale dziś jest bal... Konstantinas właśnie wyjmował wewnętrzne drzwi, które miały służyć za stół. Wiktuały czekały w wiklinowych koszach. Jakaś dziewczyna rozpałała samowar. Większość przybyłych otoczyła blaszany piecyk. Grzali dłonie. Któryś z braci kompozytora wyjął z walizki haftowany litewski obrus.

Szmer rozmowy. Oderwana nagle od swoich wspomnień, spojrzała na klasę zupełnie dzikim wzrokiem. A potem wyszła, trzaskając drzwiami. Teraz naprawdę się przestraszyła. Może trzeba iść na koncert? Pani profesor ma dobry gust, jeśli ona twierdzi, że dobre... Tak, trzeba iść.

* * *

Księżniczka okręciła się przed lustrem. Czarna, aksamitna sukienka, włosy spięte w kok, przetknięte szpilą z granatami. Kolczyki w uszach. Leciutko zadarty nosek, mocno zarysowane kości policzkowe, delikatnie wykrojone wargi, długie rzęsy i grube brwi. Dawno nie wyglądała tak uroczo i jednocześnie szykownie. Jeden tylko element psuje odrobinę doskonałość jej urody. Jedno oko ma błękitne jak niebo nad Szwecją w pogodny, letni dzień, drugie ciemnobrązowe, prawie czarne, przywodzi na myśl noce w krajach Lewantu...

– Zaraz wychodzimy. – Stanisława pojawia się obok.

W siedemnastowiecznej sukni byłoby jej do twarzy, ale nie lubi aż tak rzucać się w oczy. Długa, jasnobrązowa spódnica i biała, haftowana, ukraińska bluzka, a do tego bordowa kamizelka z cieniutkiej skóry będą bardziej na miejscu. Nie nosi biżuterii. Srebrny krzyżyk z pięcioma rubinami na stalowym łańcuszku wystarczy.

– Idźcie. – Głos Katarzyny dobiegający z ubikacji jest trochę zduszony. – Ja nie dam rady.

– A nie mówiłam? – Jej kuzynka lubi pozzrzedzić. – Dobra, będziemy z powrotem za jakieś dwie godziny. Węgiel jest w apteczce, a śliwowica w lodówce.

Wychodzą w ciemność, w wilgotne, chłodne objęcia zimowego wieczoru. Stasia dalej zrzędzi.

– Kaszanki jej się zachciało – parska. – No i zerwał się żołądek z kotwicy.

– Nie lubisz kaszanki? – dziwi się księżniczka.

– Nie znoszę. Gdy byłam mała, nikt tego świństwa do ust nie brał. Robili ją, i owszem, ale to było pożywienie dla psów... Nawet ktoś kiedyś powiedział: „że się tego Polakom jeść nie godzi, boby nam psi nieprzyjaciółmi byli, gdyż to ich potrawa”. Jan Chryzostom Pasek zdaje się...

– A ja zjadłam pół talerza i dobrze się czuję. – Księżniczka uśmiechnęła się lekko.

Alchemiczka nie znalazła żadnej ciętej repliki, więc zmilczała. Na Plantach było dość paskudnie, pod naporem ostrego wiatru drzewa szumiały złowrogo, niebawem jednak obie dziewczyny znalazły się koło budynku Akademii. Jasno oświetlony hol wabił obietnicą ciepła i bezpieczeństwa...

* * *

Weszli do budynku Akademii Muzycznej i zatrzymali się nieco zdezorientowani. Takich tłumów się nie spodziewali. Kupa ludzi w garniturach, kilkoro we frakach. Arminius otrząsnął się pierwszy.

– Gdzieś tu musi być szatnia...

Powiesili płaszcze, pobrali numerki. Weszli do sali koncertowej i usiedli sobie skromnie z tyłu. Tu, w rogu mieli dobry widok i na widownię, i na podium.

– Jak myślisz, przyjdzie czy nie przyjdzie? – Laszlo pomacał przez skórę kolbę samopału spoczywającego w aktówce.

– Jeżeli nie przyjdzie, to sobie przynajmniej koncertu posłuchamy. – Uśmiechnął się stary. – I mile spędzimy czas. Przyjdzie, czuję ją.

Znajome mrowienie nasiliło się. Sala się wypełniała. Mężczyźni, elegancko ubrane kobiety, garść studentów i studentek, kilka licealistek, przejętych atmosferą, siedzących poważnie w kącie.

– Jest nasza zguba – mruknął przyrodnik.

Laszlo spojrzał i pierwszy raz w życiu zobaczył wampira. Śliczne, młodziutkie, złotowłose cielątko... No, nie takie młodziutkie. Jeśli wierzyć fotografiom, od dobrych dwu stuleci ciągle ma szesnaście lat. Podeszła do koleżanek, a te aż rozdziawiły buzie ze zdumienia.

– Rany, ale pięknie wyglądasz – wykrztusiła Gosia. – Jak... – przypomniała sobie słowa Alchemika. – Jak księżniczka.

Monika uśmiechnęła się skromnie i usiadła obok nich. Stanisława zajęła miejsce rząd dalej. Laszlo po raz dziesiąty zajrzał do torby. Samopał lśnił ponuro sinobłękitną barwą najlepszej stali narzędziowej.

– Uspokój się, bo spudłujesz. – Stary łowca ścisnął go za ramię. – Nerwy trzymaj na wodzy.

– Kropnę ją tutaj – zaproponował. – Narobię huku, rozwalę na kawałki, wybuchnie panika, nikt nas nie zatrzyma.

– Idiota.

Na salę weszli muzycy, wspaniały poemat symfoniczny „W lesie” genialnego kompozytora wstrząsnął murami Akademii. Księżniczka trwała zasłuchana, gdy nieoczekiwanie poczuła dziwny ciężar w żołądku.

Z trudem dotrwała do końca i wyleciała z sali jak oparzona. Znalazła toaletę i zaryglowała się w kabinie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się struła. Odetchnęła kilka razy głęboko. I znowu ją złapało. Istny katar kiszek... Zadzwonił telefon komórkowy. Odebrała.

– Halo? – jęknęła.

– Gdzie jesteś? – zapytała alchemiczka.

– W ubikacji...

– A nie mówiłam? Cholera, zachciało się wam świństwami objadać. Czekam przy szatni.

Monika wyłoniła się z toalety blada i roztrzęsiona. Miała dreszcze i ból głowy, o brzuchu nie wspominając. Przyjaciółka na jej widok załamała ręce.

– Chodźmy do domu – zarządziła. – A po drodze kupimy coś w sam raz na takie kłopoty...

Podawała jej polar, a widząc, że miała trząsę się z zimna, narzuciła na nią jeszcze swoją kurtkę. Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Po drodze skręciły do monopolowego przy Floriańskiej. W domu Stanisława zaaplikowała kuzynce i księżniczce po setce orzechówki. Upiorny trunek, ale szybko postawił obie na nogi... Ona też spróbowała, ale nie była zachwycona. Partacze. Żeby zrobić naprawdę leczniczą wódkę, trzeba dać więcej orzechów i muszą być jeszcze zielone... A zresztą, pal diabli. Ważne, że pomogło.

* * *

Obaj Węgrzy wyszli chyłkiem z sali, odebrali płaszcze i zaczęli się przy wejściu. Strumień ludzi, najpierw gęsty, szybko zaczął rzednąć.

– Gdzie ona jest? – Laszlo ze zdenerwowania zaczął się jękać.

– Nie wiem. Może poszła do toalety? Czekajmy, to jedyne wyjście z budynku.

Ludzie przestali wychodzić. Arminius popatrzył na zegarek i zaklął.

– Koncert skończył się dwadzieścia cztery minuty temu – powiedział.

– Wygląda na to, że wszyscy wyszli – burknął Laszlo. – W każdym razie dziewczyny, z którymi siedziała, dawno już sobie poszły.

– Hmm. Jeśli ja ją wyczułem, to może ona mnie też – zadumał się stary łowca. – Do diaska. Zwała.

– Zdążyła przed nami?

– Niekoniecznie. Mogła się zadekować w jakimś zakamarku i zamienić w nietoperza. A potem wyleciała pierwszym z brzegu lufcikiem. Diabli nadali... Idziemy.

– Zwróciłeś uwagę? – zapytał stary. – Przyszła, przywitała się z koleżankami i usiadła obok nich.

Laszlo przymknął oczy i, przypomniawszy sobie, kiwnął głową.

– Przy nich nie było żadnego chłopaka i żaden nie próbował ich zagadywać. Na sali nie było ani jednego w ich wieku. Niewykluczone, że przyszły tam na wycieczkę ze szkoły. Albo organizowaną przez ich szkołę. Skoro żaden chłopak nie wybrał się zobaczyć, jak też jego koleżanki wyglądają w wieczorowych kreacjach, może to oznaczać...

– ...że jest to szkoła żeńska. A do tego chyba prywatna.

– A ona tam uczy się.

– Właśnie, mój drogi. Ile może być prywatnych szkół żeńskich w Krakowie?

– Pewnie nie więcej niż kilka. Tu, chyba jak i u nas, było tylko szkolnictwo państwowe i koedukacyjne zarazem. Prywatne dopiero się odradza...

– Tak też i ja myślę...

Dotarli na kwaterę. Arminius przyniósł z kuchni książkę telefoniczną i słownik polsko-węgierski.

– Hmmm. Jest. Liceum Żeńskie Sióstr Prezentek.

– Nie wyglądały na uczennice szkoły przyzakonnej – zaprotestował młody. – Zbyt frywolnie ubrane, zbyt swobodnie się zachowywały.

– Masz rację... W takim razie zostaje nam tylko ta jedna szkoła. – Zakreślił adres długopisem. – Zajmiemy się tym jutro.

Zataił z radości długie, cienkie palce.

* * *

Dochodziła czwarta. Nocny strażnik uchylił drzwi sali egipskiej. Kropka laserowego celownika zatańczyła po pomieszczeniu. Pusto. Cicho. Martwo. Ma szczęście, komisja oczyściła go z zarzutów. Niczego nie zaniedbał. Z dyrektorem pomówił otwarcie. Opowiedział mu, co widział. Szef zna go od ośmiu lat. Uwierzył we wszystko. On też od dawna miał pewne podejrzenia co do mumii kapłana. Dlatego od razu wezwał fachowca z osikowym kołkiem.

Tylko czy to wystarczy? Strażnik nie był pewien, dlatego zdecydował się, wbrew regulaminowi, założyć dodatkowe zabezpieczenie. W drzwiach sali leży solidny radziecki potrzask na niedźwiedzie. Dwa stalowe półkola, najeżone kolcami, czekają na jeden nieostrożny krok. Gdyby kapłan znowu się obudził, z urwaną nogą daleko nie zajdzie...

* * *

O siódmej rano zaparkowali samochód opodal szkoły, tak, aby mieć dobry widok na wejście do budynku, a jednocześnie, żeby nie wzbudzić zaniepokojenia pracowników.

– Ładnie tu. – Laszlo rozejrzał się po okolicy.

Stare kamienice, nieco już zniszczone przez czas i dziesięciolecia zaniedbania, drzewa, mokre po całonocnej ulewie, sterczące nagimi konarami w szare niebo. A jednak to sympatyczny zakątek, wystarczy wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał wiosną lub latem. Dla Węgra piękny jest z innego powodu. Tu spełnią się jego marzenia, tu przeżyje inicjację i stanie się prawdziwym łowcą wampirów.

Przymknął oczy. A może... Może gdy kropnie Monikę, powinien wyryć na kolbie samopału kreskę? Jak traper z westernu, jeden karb za każdego złodzieja bydła? Uniósł do oczu lornetkę. Pierwsze uczennice zaczynają się schodzić do szkoły. Jest i cielaczek...

– Dziabniemy ją?

– Nie. Nie teraz. – Arminius pokręcił głową. – Poczekamy, aż wyjdzie ze szkoły, pojedziemy za nią i poszukamy dogodnej okazji. Cierpliwości... Już nam nie ucieknie.

- Czemu nie tutaj?
- To proste. Jeśli przypadkiem sfuszerujemy zamach, to nie domyśli się, że śledziliśmy ją spod szkoły. I będziemy mogli powtórzyć ten manewr.
- Chyba nie ma ryzyka.
- Chyba nie. Ale zawsze trzeba zostawić sobie furtkę. Nie palić mostów. Wtedy, w razie czego, można przypuścić kolejny atak z pozycji, które są już opanowane...

* * *

Do dzwonka na lekcję zostały może cztery minuty. Księżniczka weszła do klasy i jak gdyby nigdy nic zajęła miejsce w swojej ławce. Gosia spojrzała na nią. Monika wytrzymała jej spojrzenie, uśmiechając się leciutko.

Jej koleżanka wyglądała na nieco zaskoczoną. Faktycznie wczoraj wampirzyca wyglądała porażająco. A dziś znowu zupełnie normalnie. Rozpuściła włosy, wypięła z uszu kolczyki, założyła jeansowe spodnie. Wszystko, co podkreślało jej nieziemską urodę, znikło.

– Zastanawialiśmy się tak wczoraj po koncercie – odezwała się Magda – czy ty przypadkiem naprawdę nie jesteś księżniczką. Sprawdziłyśmy, w czasach, gdy Bośnia była niepodległym państwem, Stiepankovicze...

Ich koleżanka uśmiechnęła się leciutko.

– Wybaczcie, ale ród książęcy Stiepankoviców wymarł w XV wieku.

– Może boczna linia? – jęknęła Gosia.

Nie przesłyszała się. One tak na to liczą. One chcą, żeby okazała się księżniczką. Nie wiadomo po co... Ale chyba się domyśla. W szarym, zwyczajnym życiu byłoby to jak promyk światła.

– O rany – westchnęła. – Ubzduraliście coś sobie. U nas na Bałkanach to nazwisko popularne jak u was, na przykład, Malinowski.

– Ale wyglądasz jak księżniczka – szepnęła Gosia, przygryzając koniec warkocza.

– Nie żartujcie. Za dużo bajek się naczytałyście... Zakodowały wam się niebieskie oczy i jasne włosy, do tego pewnie smok, zamek i kwiatek w ręce... Nie mam pałacu, smoka, diademu, rycerzy.

– Nie przyzna się – mruknęła Gosia.

– Ale jakbyś kiedyś potrzebowała dam dworu, to pamiętaj o nas... – Magda puściła oko.

– Co!?

– Widać po tobie, że jesteś, jak to się u nas mówi, ulepiona z innej gliny. Jest coś, co łączy waszą trójkę: ciebie, panią Stanisławę i tego nowego biologa, Michała.

– To znaczy? – Przechyliła głowę.

– Nie rozumiemy was. Po nich widać, że tylko się bawią. Muszą mieć forsy jak lodu, ale uczą w szkole, bo w jakiś sposób to lubią. Jak gdyby zaspokajali w ten sposób potrzebę serca...

– A ja?

– Nie wiemy. Ale też do nas nie pasujesz. Chodzisz tu jakby od niechcenia. My zdobywamy wykształcenie, żeby mieć paperek i dostać się na studia. A ty... ty wyglądasz, jakbyś bywała tu dla rozrywki. Słuchasz poleceń, ale od niechcenia. Nie boisz się nikogo: ani dyrektora, ani fizyczki, nawet pani Stanisławy...

– Bo tak naprawdę nie zależy ci na ocenach – weszła jej w słowo Gosia. – Jesteś wolna. My walczymy, żeby wypaść jak najlepiej, a tobie to niepotrzebne, ty już coś osiągnęłaś. Dlatego sądzimy, że pisana jest ci inna przyszłość...

Zamyśliła się głęboko.

– Zawsze w życiu spadasz na cztery łapy – dodała Magda. – Bo po prostu takie jest twoje przeznaczenie.

Milczała długo. Tak długo, iż prawie straciły nadzieję na odpowiedź.

– Rzeczywiście byłam i na wozie, i pod wozem. I nie mylicie się. Lubię chodzić do szkoły, bo w przeciwieństwie do was nie boję się nauczycieli. I rzeczywiście nie przejmuję się ocenami. Są w życiu rzeczy ważniejsze niż trója ze sprawdzianu. Za kilka lat nie będziecie nawet pamiętały, jakie oceny dostaniecie z dzisiejszej klasówki. A co do strachu, wybaczenie... Trzy miesiące temu w ostatniej chwili wasi żołnierze uratowali mnie z rąk kilku gniewnych albańskich starców, którzy planowali udusić mnie łańcuchem. Chyba do końca życia nie spotkam nauczyciela, którego bym się mogła przestraszyć. Bo co on mi może zrobić? Przecież mnie nie zabije... – Nagle przypomniała sobie Siekluckiego i dreszcz przebiegł jej po plecach. – Zaś co do przeznaczenia. – Tu uśmiechnęła się szeroko. – Miałam w życiu dużo szczęścia i kilka razy udało mi się przeżyć tylko cudem... Ale spadać na cztery łapy po prostu się nauczyłam. Macie rację co do jednego.

Spojrzała na nie i uśmiechnęła się ciepło.

– Faktycznie płynie we mnie błękitna krew. Ale niech to zostanie między nami.

Kiwnęły przejęte głowami, wdzięczne za dopuszczenie do sekretu.

* * *

Wyszły ze szkoły. W powietrzu skąpo wirowały kropelki deszczu. Ochłodziło się znacznie. Stanisława zapięła szczelniej polar, Katarzyna postawiła kołnierz kożuska.

– Przejdę się do biblioteki na orientalistyce – powiedziała alchemiczka. – Macie ochotę się ze mną przespacerować?

Katarzyna wytrzeszczyła oczy.

– Po co?

– Poczytać książki – wyjaśniła jej kuzynka z błyskiem w oku. – Jak to w bibliotece... Sprawdzę tę asyryjską księgę „Wrota pieca”, może akurat będą mieli?

– Wrócę do domu i przygotuję obiad – mruknęła informatyczka.

– Ja też wybiorę się do biblioteki. – Monika uśmiechnęła się lekko. – Może znajdę utwory Szoty Rustawelego? Nie czytałam „Witezia” od dobrych stu pięćdziesięciu lat...

Ruszyły w drogę. Katarzyna pomaszerowała w drugą stronę, nucąc pod nosem motywy z Partity c-moll Bacha.

– Jak dotąd Bractwo Drugiej Drogi nie objawiło się ponownie – powiedziała w zadumie alchemiczka.

– Może to dobrze? Znaczy, że sparzyli się w starciu z Alchemikiem, a teraz przestrzegają pilnie zasad konspiracji i nie planują konfrontacji...

– Nie da się wykluczyć... Ale jeśli do pokoju wpadnie szerszeń, wolę wiedzieć, w którym jest miejscu. Czuję, że są gdzieś w mieście.

Zatopione w rozmowie, nie zauważyły, że w ślad za nimi wolno jedzie czerwone audi na dyplomatycznych numerach archipelagu wysp Tuvalu. Laszlo prowadził ostrożnie, utrzymując spory dystans. Samopał leżał na kolanach siedzącego obok Arminiusa. Spłonka na panewce, kurek naciągnięty. Do lufy wsypali miarkę prochu, srebrna kula, przybitka... Parę razy hamował i zatrzymywał się na chwilę, ale ciągle był zbyt daleko, by zaryzykować strzał.

– Ona? – zapytał nauczyciela po raz czwarty.

– Ona – potwierdził.

– A ta druga, co z nią?

– A bo ja wiem? Nauczycielka z tej jej szkoły. Normalna chyba. Wyczuwam tylko jednego wampira. Sprawdzimy później.

Monika i Stanisława zatrzymały się przed wejściem. Węgier spokojnie spuścił szybę i ujawszy samopał, złożył się do strzału. Wokoło snuło się trochę ludzi. Bez znaczenia. Gruchnie jak z armaty, dziewczynę rozerwie na kawałki, wybuchnie panika. Nikt go nie zatrzyma, mało kto w ogóle skojarzy, skąd padł strzał. W USA musiałby się liczyć z koniecznością wymiany ognia, ale w tym kraju studentom nie wolno posiadać broni...

Odległość była, niestety, spora, ale jasna kurtka dziewczyny stanowiła dobry cel. Muszka, szczerbinka, powinien przy odrobinie szczęścia trafić ją między łopatki.

– No to ognia – mruknął stary łowca.

Spokojnym, miarowym ruchem, tak jak go dziadek nauczył, ściągnął spust. Strzeliła spłonka i zasyczał proch na panewce. Huknął strzał. I w tej samej chwili coś na ułamek sekundy zasłoniło cel. Laszlo gwałtownie wduśił pedał gazu i po chwili zniknął już w perspektywie uliczki. Pierdut – tylna szyba rozprysła się w drobny mak. Brzdęk – zadzwoniły blachy bagażnika. Coś z gwizdem przemknęło tuż koło jego głowy i rozwalilo przednią szybę. Kto, u diabła, do niego strzela? Arminius klął po węgiersku i niemiecku, kryjąc się za siedzeniem. Łubudu! – coś rozerwało zagłówek, obsypując ich sieczką strzępków gąbki.

– Kto do nas wali!?

– Nie wiem – jęknął stary.

Nie miał czasu ani możliwości, by sprawdzić, Laszlo zatrzymał się w wąskiej uliczce nieopodal Kleparza. Tak podziurawionym samochodem daleko się nie zajedzie, zwinie ich pierwszy napotkany patrol drogówki. I nie będą patrzeć na proporczyk ani dyplomatyczne numery. A zatem wóz trzeba porzucić. Samopał z rozgrzaną luft leżał na gumowym dywaniku. Laszlo zawinął broń w szmatę i wsadził do ortalionowej torby. Wysiedli. Arminius przez chwilę szarpał się, usiłując, nie wiadomo po co, zatrzaskać drzwiczki, ale młody pociągnął go za ramię.

Dwa strzały z pistoletu gazowego pod nogi, z pozdrowieniami dla piesków tropiących, i ruszyli przed siebie. Bazar, a niedaleko niego przystanek. Zajęli miejsca w tramwaju i gdy ten ze zgrzytem ruszył naprzód, zaczęli analizować sytuację.

– Co poszło nie tak? – zadumał się Laszlo.

– W ostatniej chwili między ciebie a cel wlaźła Murzynka z teczką... Dobrze, że trafiłeś w aktówkę, i dobrze, że była wypchana czymś twardym, bo miałbyś kobietę na sumieniu.

– Nie zasłoniła jej celowo?

– Nie. Chyba nie. Ale dziwi mnie jedno. Padły na ziemię obie, wampirzyca i ta nauczycielka.

– Nie rozumiem?

– Proch syknął na panewce. Usłyszały to i obie jednocześnie odruchowo padły. Mogłeś tego nie zauważyć, bo w tym momencie gruchnął strzał, a cel już zasłaniała ta czarna...

– Znają ten dźwięk? Syk prochu?

– Tak mi się wydaje. Teraz pytanie skąd. Wampirzyca wiadomo – była na wojnie. I to w epoce, gdy w tamtych stronach skałkówki nie były czymś nadzwyczajnym, ale pani nauczycielka...?

– Dwie wampirzyce?

– Może... I wiesz, wydaje mi się, że to ona do nas strzelała.

– Hmm... Jesteś pewien? Gruchnęło jak z armaty, rozwalilo teczkę, nikt nie wie, co się stało, a ona ot tak, wstaje i wali w nas całą serię? Przecież szok, konsternacja...

– Musiała się błyskawicznie pozbierać... Albo też była na wojnie, albo ma nerwy jak ze stali...

* * *

Kulę rozerwało, gdy była wewnątrz torby. Któraś kolejna książka po prostu wyhamowała jej morderczy bieg. Odłamki srebra poszarpały kartki na ścinki i wyrzuciły je na zewnątrz. Strzępy papieru sypią się z nieba jak płatki śniegu. Siła uderzenia była potworna, Murzynka leży na wznak na chodniku. Wiatr rozwiewa papierki pokryte robaczkami arabskiego pisma.

Stanisława opuściła dymiący jeszcze rewolwer. Uciekł, bydlak. Na siedem strzałów miała trzy niewypały... Trzeba wykorzystać chwilę, gdy wszyscy są jeszcze zdezorientowani. Któryś ze studentów wyciągnął z kieszeni komórkę, ale osadziła go jednym spojrzeniem i pogroziła lufą. Kilkanaście osób w chwili strzałów wyjrzało przez okna. Trzeba wiać. Złapała Monikę za ramię i jednym szarpnięciem postawiła ją do pionu. Obrzuciła spojrzeniem Murzynkę. Nie doznała żadnych obrażeń, tylko aktówkę musi spisać na straty. Brak czasu, ale maniery wpojone jej w domu przeważały. Pochyliła się i podała jej rękę, pomagając wstać.

– Dziękujemy za pomoc – powiedziała w fusha.

Gdzieś daleko rozległ się namolny dźwięk syreny radiowozu. A zatem chodu. Puścili się sprintem. Jedna uliczka, druga, jeszcze kilka zaułków i, zatoczywszy spory łuk, dotarli do Starego Miasta.

– *Nas nie dogoniat* – wysapała zadyszana Stanisława. Podśluchiwała ten zwrot u uczennic.

Zanurkowały w znajomą bramę. Padły na krzesła przy stoliku kawiarni.

– Dwie wody mineralne – zadysponowała Monika na widok kelnerki.

Ile przebiegły? Może półtora kilometra.

– Krucho u nas z kondycją, moja droga – mruknęła nauczycielka. – Widziałas tę czarną?

– Złapała kulę na teczkę. Zasłoniła się jak tarczą, a potem przesunęła odrobinę w bok, tak, by uderzyła w sam środek.

– Jesteś pewna?

– Ona jest wampirem.

Stasia spojrzała na nią uważnie.

– Skąd to podejrzenie?

– Widziała kulę. My czasem to potrafimy, szybko poruszające się rzeczy są dla nas jak długie smugi.

– Szybciej reagują ci nerwy wzrokowe, przewodzące sygnał z oka do mózgu, albo masz nieco szersze spektrum widzenia i dostrzegasz ciepło fali balistycznej.

– Nie. Ja nie umiem, ale moja kuzynka była bardzo szybka. Łapała muchy w locie, potrafiła chwycić strzałę wypuszczoną z łuku. Mnie nigdy się to nie udawało...

– Skąd ona się wzięła?

– Znam ją. A może lepiej będzie powiedzieć, że znałam kiedyś. – Księżniczka z zadumą spojrzała przez okno w skrawek błękitnego nieba wysoko nad podwórzem. – Choć może to... Może tylko przypadkowe podobieństwo? Jest starsza...

– Za wyjątkiem nas dwu i mistrza Michała wszyscy ludzie się starzeją.

– Nie o kilka lat na przestrzeni milenium...

Kelnerka wróciła, niosąc dwie butelki wody i szklanki z lodem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeśli to ona... Poznałam kiedyś w Myrze niewolnicę. Nie była wampirem. E, to chyba przypadkowe podobieństwo. Sprawdzę.

– Ciekawe tylko, kto do nas strzelał. Naraziłaś się kiedyś jakiemuś dyplomacie?

– Nigdy.

Milczały przez chwilę.

– Miałam wielu wrogów – powiedziała wreszcie Stanisława. – W Etiopii i Sudanie. Może ktoś mnie odnalazł.

– A może to ci z Bractwa Drugiej Drogi?

– Jasne. – Przygryzła wargi. – Że też o tym nie pomyślałam...

* * *

Mistrz Michał odebrał maile. Jeden z nich przyszedł z Berlina. Nadawcą był pracownik wydziału archeologii tamtejszego uniwersytetu... Alchemik kliknął myszką i otworzył załącznik. Asyryjski traktat „Wrota pieca” z VII wieku przed naszą erą spisano trzciną na glinianych tabliczkach. Jego tekst nie był przeznaczony dla profanów, tabliczki ukryto skrzętnie w bibliotece pałacowej, założonej jeszcze przez króla Ascharodona. Być może istniał tylko jeden odpis? Prawdopodobnie zaufany człowiek miał nauczyć się tego tekstu na pamięć, a potem tabliczki zostałyby zniszczone. Traf chciał, że stało się inaczej. W 614 roku p.n.e. sprzymierzone armie medyjska i babilońska rozbiły asyryjskie wojsko i obległy Niniwę. Miasto padło, a król Sinszariskun zginął w gruzach płonącego pałacu. Ogień strawił dzieła sztuki, ale dla biblioteki okazał się zbawienny. W płomieniach wielogodzinne go pożaru gliniane tabliczki wypaliły się na cegłę... Dzięki temu przetrwały prawie trzy tysiące lat, nim wydobyły je z ziemi łopaty niemieckich archeologów.

Każdy tekst alchemiczny posiada kilka warstw. Profan zrozumie piąte przez dziesiąte, zagubi się w wymyślnych konstrukcjach stylistycznych, nie przebrnie przez złożoną symbolikę. Dobry fachowiec, zgłębiający dzieła hermetyczne, pojmie więcej. Ba, może mu się nawet wydawać, że zrozumiał wszystko. Ale dopiero prawdziwy alchemik, adept sztuk hermetycznych, który spędził całe lata na studiowaniu dzieł swoich poprzedników, zrozumie wszystko. On się domyśli, gdzie tekst należy rozumieć dosłownie, a gdzie doszukiwać się ukrytego sensu. On będzie wiedział, które partie należy odczytać zupełnie odwrotnie...

Asyria dysponowała najlepszym wywiadem wojskowym i cywilnym na świecie. Skąd zdobyli dane zawarte w księdze? Kogo przekupili, kogo przeciągnęli na swoją stronę, kogo torturowali dla wydarcia tajemnicy? Czyta i nie może pozbyć się natrętnego uczucia szacunku.

Autor, a może autorzy „Wrót pieca” musieli przeniknąć do środowiska alchemików egipskich. Nie piszą o tym wprost, ale rozległe fragmenty to opis metod zawartych w „Księdze Tota”. Seton miał ją w ręce, być może jako ostatni z żyjących... Ale tysiąc sześćset lat wcześniej, gdy Asyryjczycy pisali ten traktat, dostęp do niej musiał być łatwiejszy. Opisana przez nich metoda to nic innego, jak przepis na uwarzenie kamienia filozoficznego...

Ale to tylko część książki. Opisują też inną metodę, wynalezioną przez Chaldejczyków. To właśnie druga droga. Użyta symbolika nieco różni się od tej stosowanej przez Setona, Sędziwój ma problemy ze zrozumieniem. Ale wszystko powoli staje się jasne. Potrzebna jest rtęć i oliwa. I krew dziewicy. Rtęć miesza się z krwią. Dodaje coś jeszcze, tego nie zdołał zrozumieć, a potem podgrzewa wiadro rtęci na oliwnym kaganku. Ile czasu? Przez rok bez przerwy... W tym czasie w rtęci rodzi się kruszec. Wreszcie trzeba wyprażyć amalgamat w ogniu i odzyskać złoto. Asyryjscy alchemicy, wspominając o tej metodzie, trzeźwo zauważyli, że wobec cen oliwy produkcja kruszcu tą drogą jest zupełnie nieopłacalna.

Mistrz czyta i kręci ze zdziwieniem głową. Najwyraźniej asyryjscy alchemicy z Niniwy nie poradzi sobie z metodą pierwszą i spróbowali zaadaptować metodę drugą dla swoich potrzeb. Zamiast oliwy użyli oleju ziemnego, czyli pospolitej ropy naftowej, jednak, jak wynika z opisu, uzyskali tylko śladowe ilości złota. Zapewne trzeba zachować temperaturę spalania. Użyli krwi koziej, a nie ludzkiej. Humanisci...

Jest i opis trzeciego sposobu. Tu go naprawdę zaskoczyli. Symbolika wymyka się jego rozumieniu. Brak tu starych alchemicznych znaków: jaja, kruka, węża, róży, słońca, księżyca, władcy i ognia... Zamiast tego mowa jest o kości smoka, okrągłym kamieniu, kobiecie przybyłej ze słońca, żabie, która przynosi powodzenie, i o płynie, który zamienia brąz w złoto. Z tym sobie nie poradzi. Ale czuje, że wiedza ta pochodzi z daleka. Smok i żaba wskazują na Chiny. Kobieta ze słońca może być japońską boginią Amaterasu-o-mi-Kami. Tynktura w postaci roztworu? W sumie, czemu nie. Wyłączył komputer.

Wiele jest dróg prowadzących do celu. Od swego nauczyciela i mistrza Setona Gebera Cosmopolity nauczył się, że jest jedna droga cnoty i druga, która jest drogą występku. Dziś dowiedział się o istnieniu metody trzeciej. Chińska alchemia... Może warto się tym zająć? Może trzeba pojechać na Tajwan i odszukać miejscowych hermetystów? Czy przyjęliby go do swojego grona? Pewnie tak...

– Wszystkie rzeczy wzięły się z jednego – mruczy sam do siebie. – I jedna jest ojczyzna ludzi światłych: wiedza.

Ale na razie... Na razie trzeba odszukać członków Bractwa Drugiej Drogi i wykonać na nich wyrok. Wzdraga się na myśl o konieczności zabijania, ale wie, że to nieuniknione. Degeneraci, którzy gotowi są mordować, by zdobyć złoto, muszą umrzeć.

Rozdział IX

Szkoła. Księżniczka powoli przemierza korytarz wyłożony jasnym, sosnowym parkietem. Ma akurat długą przerwę. W torbie z mocnego, szarego, malarskiego płótna ciążyą jej podręczniki i zeszyty. Przygryza leciutko wargi. Nie wie, kiedy w życiu czuje się zmęczona. Łapie się na tym, że polubiła liceum. Może dlatego, że traktuje je z dystansem, jako miejsce tymczasowego tylko pobytu?

Jej koleżanki z klasy stają na rzęsach, pochłaniając wiedzę, uczą się najdrobniejszych szczegółów, byle tylko choć o cal wyprzedzić konkurentki w wyścigu szczurów. Uczą się uśmiechać, podlizywać bezwstydnie. Każde polecenie wypełniają natychmiast, nie wnikając w jego sens. Uczą się, że oceny nie zależą od tego, co się umie, tylko od tego, czy nadąza się za tokiem rozumowania profesora, czy opanowało sztukę odgadywania jego poglądów i podporządkowało jego wizji. Wiedza, którą zdobywają, jest płaska, opiera się na podręczniku. Stopnie wynikają w znacznej mierze z umiejętności stania na dwu łapkach i merdania ogonkiem. A system oducza samodzielnego myślenia i szukania własnych dróg...

Większość nauczycieli akceptuje ten ludożerczy układ. Nie zauważają nawet, jak strasznie wypaczają się charaktery ich podopiecznych. Pedagodzy mogą spać po nocach, nie dręcząc ich wyrzuty sumienia.

Stanisława czy Mistrz Michał są inni. Wszystkich traktują równo. Zachęcają do samodzielnego myślenia. Polonista też jest niczego sobie. Facet świeżo po studiach, idealista. Kruszewskie, Alchemik i on, to zbyt mało, by pokonać inercję systemu.

A jednak jakoś polubiła tę koszmarną budę. Jej koleżanki z klasy nie są takie złe. Trochę ciapowate i ospałe, układ zrobił z nich kujonki i lizuski, ale chyba mają szansę. Wpasowały się w szkołę, oddały jej część swojej duszy, ale tam, w głębi, pozostały żywe. Mają marzenia i tak bardzo pragną czegoś, co zmieni ich szare, monotonne życie. Jest dla nich zagraniczną księżniczką, powiewem egzotyki, dowodem na to, że świat, ten, o którym marzyły, gdzieś jednak istnieje... A ona? Nie ma marzeń. Owszem, pół roku temu marzyła jej się sucha piwnica, talerz wodnistej zupy, całe majtki i niezawszawiony koc. W chwili, gdy znalazła bezpieczną przystań, marzenia zasnęły.

Co będzie dalej? Gosia i Magda pójdą na studia, po kilku latach znajdą sobie pracę albo i nie. Urodzą dzieci. A ona będzie nadal szesnastoletnią wampirzycą, przeskakującą stulecia, żyjącą w świecie, który staje się coraz ciaśniejszy dla istot takich jak ona czy Stanisława.

Zakręciła się i omal nie wpadła na księdza katechetę. Popatrzył na nią i chyba zaniepokoił go wyraz jej twarzy.

– Co się stało, moje dziecko?

– Gryzie mnie bezsens egzystencji.

Delikatnym ruchem ciepłej dłoni podniósł jej brodę. Spojrzenia spotkały się.

– Drogie dziecko – powiedział. – Egzystencja ma sens. Zawsze. A jeśli wydaje ci się, że nie ma, pomyśl nad tym, ilu ludziom w życiu pomogłaś i ilu jeszcze możesz pomóc. Jesteś częścią Bożego planu. Za każdym razem, gdy żywa wychodzisz z opresji, możesz sobie powiedzieć, że nie wypełniłaś jeszcze swojej misji na ziemi.

– A gdybym chciała wstąpić do klasztoru? – wypaliła nagle.

Zamyślił się na ułamek sekundy.

– Chyba co innego jest ci pisane – rzekł wreszcie. – Możesz sądzić inaczej, ale twoje życie dopiero się zaczyna. Nie czas jeszcze na odpoczynek.

– Dopiero się zaczyna? – Spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma.

I nagle poczuła coś jakby uderzenie prądem. Zrozumiała, że on też wie. Że odgadł w niej wampira, od razu, jak Alchemik...

– Nie ma znaczenia, jak długo żyjemy i jak długo będziemy żyli – powiedział, potwierdzając jej domysły. – Liczy się jakość. I nasze czyny względem innych ludzi. A kiedyś i tak wszyscy staniemy przed obliczem Pana i zdamy relację z naszej ziemskiej pielgrzymki. Ale jeszcze nie teraz. Wiele jeszcze zostało do zrobienia.

Patrzył na nią spokojnie, uśmiechając się.

– Dziękuję za radę. – Kilka słów duchownego pozwoliło jej przezwyciężyć apatię.

Jak on to zrobił?

* * *

Nogi same zaniósły ją na orientalistykę. Gryzł ją problem zagadkowej Murzynki. Poza tym musi jej przecież podziękować. Weszła do budynku. Co robić dalej? Cholera, przecież nie zapyta portiera, czy studiuje tu Murzynka nosząca w teczce książki. Trzeba podejść do zagadnienia bardziej naukowo.

W ataku na wrogi obiekt najważniejsze jest umieszczenie wewnątrz swojej agentury. Rozejrzała się uważnie, łowiła nosem zapachy. Biblioteka czy stołówka, oto jest pytanie. Hmmm. Stołówka. Zeszła do podziemi i kierując się zapachem starego oleju, na jakim, po raz nie wiedzieć który, usmażono frytki, znalazła odpowiednie pomieszczenie. Coś tu można zjeść? Można. Nie trzeba się zapisywać, wystarczy zapłacić. Drobne brzęczały jej w kieszeni. Zamówiła porcję frytek. Wrzący olej dość skutecznie odkaża, zmniejszając ryzyko zatrucia. To najbezpieczniejsze jedzenie. Zatrucie kaszanką zapamięta na długo.

Siadła sobie skromnie w kącie nad podwójną porcją, która wyglądała jak połówka normalnej, i popijając z butelki colę, przyglądała się wypełniającym wnętrze studentom. Niektórzy nawet na czas posiłku nie przerywali nauki. Jeden czytał notatki, kilku dyskutowało na temat ideogramów japońskich... I oto jej cel. Wysoki, jasnowłosy student siedział nad słownikiem. Na stole przed sobą rozłożył kserokopię jakichś tekstów. Na oko sądząc, perski z jedenastego wieku naszej ery. Zapisywał tłumaczenie, kreślił, kłął i grzebał w słowniku. Dostał pracę, która wyraźnie go przerasta. Pomożemy...

Siadła obok niego, nawet nie zauważył. Bazgrał strasznie, ale dało się odczytać. Są i błędy.

– To nie tak – powiedziała mu tuż nad uchem. – Pomyliłeś formy. Ta litera – stuknęła długopisem w tekst – to nie „r”, ale ozdobna forma litery „m”.

– Niemożliwe – pokręcił głową.

– Założymy się?

Z uśmiechem przeczytała na głos całą linijkę. Teraz dopiero na nią spojrzał. I замуrowało go. Taka młoda i zna się na perskiej kaligrafii? Dalej przez tekst brnęli razem. Wytykała mu błędy, a właściwie potknięcia. Nieźle sobie radził, po prostu odrobinę brakuje mu wiedzy, wystarczyło tylko ukierunkować i robota poszła jak z płatka.

– O rany – westchnął, gdy wreszcie skończyli. – Jak mogę się odwdziżyć?

– Mam problem – mówi. – Jest tu taka wysoka Murzynka. Chodzi w garsonce i z teczką pod pachą... Sądząc po kształcie czaszki, przyjechała z Sudanu. Chciałam sobie z nią chwilę pogadać o inskrypcjach z kościołów w Starej Dongoli...

– Nazywa się Anysza Safez. Jest lektorką arabskiego – wyjaśnia. – Znajdziesz ją na ostatnim piętrze, ma teraz indywidualne zajęcia ze studentami.

– Dzięki.

– To ja dziękuję...

Pobiegła schodami na górę. Student odprowadził ją spojrzeniem. Ileż ona może mieć lat? Szesnaście? Kim jest, skąd się wzięła, jakim cudem zna jedenastowieczną odmianę perskiego!? Może to córka któregoś z profesorów? Nie, wtedy nie pytałaby o panią Anyszę. A zresztą, czy to ważne? Spojrzał na dalszy ciąg pracy domowej i zagryzł wagi. Trzeba się pośpieszyć i nadrobić stracony czas. Zwłaszcza że dzięki temu złotowłosemu cielątku wreszcie wiedział, jak się za to zabrać.

Czwarte piętro, kilka par drzwi. Przed jednymi tłoczyła się grupka studentów. Stanęła po drugiej stronie korytarza. Kolejne ofiary wchodziły i wychodziły, a ona patrzyła. Anysza wyglądała bardzo podobnie do małej Alodyjki, ale jednak nią nie była. Po pierwsze, ma dwadzieścia kilka lat, po drugie, znacznie smuklejszą szyję. I dużo ciemniejszą karnację. A zatem pomyłka. Cholera. Ale podziękować trzeba... Ostatni student? Ostatni...

Zapukała do drzwi. Weszła i uśmiechnęła się do lektorki. Ta oderwała wzrok od leżącej przed nią arabskiej gazety. Księżniczka słabo zna fusha, ale kilka zdań była w stanie sklecić.

– Chciałam podziękować...

Twarz Murzynki nie pokryła się trupią bladością. Za dużo pigmentu. Zrobiła się za to szara jak popiół.

– Wampir!

Słowo to różnie brzmiało w różnych językach, ale kultura masowa ujednoliciła jego wymowę. Anysza odepchnęła krzesło, odskakując do tyłu. Błyskawicznym ruchem sięgnęła pod pachę. O mamusiu, rewolwer. I to jaki, kaliber co najmniej dziewięć milimetrów. Pociągnęła za spust, nawet nie celując. Księżniczka w ostatniej chwili, widząc już czarną smugę pocisku, wykonała unik rodem z Matrixa. Huk ogłuszył je obie i zdezorientował.

Ale Monice zdarzało się bywać na wojnie, a pewnych rzeczy się nie zapomina. Przez drzwi nie zdążyłaby, a zatem oknem. Skoczyła, zaplątała w firanki, rozbiła szybę głową i ramionami, i wyrwała się na świeże powietrze. Które to piętro? Czwarte. Fatalnie...

Rąbnęła nogami, nie utrzymały jej i zaraz runęła na plecy. Cóż, fajny mieli przed wydziałem żywopłot. Wyłamała w nim dziurę jak stodoła. No trudno, jeszcze piętnaście lat i krzaki odrosną. Odetchnęła głęboko. Nic nie boli? Właściwie to wszystko. Kolana, kostki nóg, mięśnie, żebra, ramiona, głowa. Ale to inny ból, tępy, od wstrząsu i stłuczenia, a nie ostry od złamanych kości. Poruszyła stopami. Działały. A zatem kręgosłup nie jest uszkodzony.

Do listy urazów dodać musiała jeszcze liczne drobne skaleczenia wywołane przez odłamki szkła. Spojrzała w górę, na szczęście lektorka chyba przestraszyła się na tyle, że nawet nie podchodzi do okna. I bardzo dobrze, mogłaby ją zastrzelić bez trudu.

Teraz dopiero spostrzegła, że wokoło stoi wianuszek studentów. Ktoś podał jej rękę. Musieli słyszeć o wczorajszej strzelaninie przed budynkiem. A teraz znowu strzał i jej skok z okna. Co robić? Nietrudno udawać biedną, przerażoną, zagubioną nastolatkę. Łzy w oczach, potargane włosy, drobne, krwawe nacięcia na twarzy... Wyglądała niewinnie, bezbrinnie, była na tyle śliczna i sponiewierana, by wzbudzić natychmiastowe współczucie. Jakaś studentka podała jej paczkę chusteczek. Dygnęła w podziękowaniu, co jeszcze odjęło jej kilka lat. Przyłożyła jedną do rozbitego czoła.

– Cóż za krwiożerczy wydział – powiedziała. – Już drugi raz próbują mnie tu zamordować...

– Nigdy wcześniej nic takiego nie miało tu miejsca. – Ktoś próbował bronić honoru swojej uczelni.

Rozejrzała się, okupując to porażającym bólem głowy. Wstrząs mózgu? Niewykluczone. Zakaszła głucho. Dobra. Żyła, ale policja będzie tu za kilka minut. A zatem musiała wiać. Z tak rozbitymi kolanami nie ucieknie daleko.

– Przepraszam, czy ktoś może mnie odwieźć do Hotelu Europejskiego?

W każdym mieście jest Hotel Europejski. I jak tu nie pomóc biednej, poranionej nastolatce, którą jacyś dranie, wiadomo, że wykładowcy to skończone bydlaki, wyrzucili przez okno?

Pięć i pół minuty później wysiadła przed hotelem. Podziękowała i gdy tylko student odjechał, ruszyła szybkim krokiem w drugą stronę. Pod kurtką miała podpinkę z polaru, zarzuciła kaptur, by trochę zasłaniał jej poranioną twarz. Dowlokła się do mieszkania Alchemika. Na szczęście był w domu.

– O mój Boże. – Na jej widok złapał się za głowę.

– Cóż ci się stało?

– Potknęłam się o parapet i wyleciałam z czwartego piętra przez zamknięte okno – wyjaśniła. – Mogę skorzystać z łazienki?

Napuściła sobie do wanny gorącej wody, prawie wrzątku, i zanurzyła się w niej. Obejrzała się w lusterku. Na szczęście firanka uchroniła ją przed odłamkami szkła. Nacięć znalazła tylko kilka, z czego trzy lub cztery głębokie.

Gorąca woda powodowała porażający ból wszystkich stłuczonych miejsc, ale dzięki niej krew krążyła zwawiej, odpływała z rozbitej tkanki. Nie będzie zakrzepów, może nie będzie też siniaków. A skaleczenia już przyschły. Popatrzyła na siebie w lustrze. No, nie jest źle.

– Weź niebieski ręcznik – zasugerował przez drzwi Mistrz. – Spirytus jest w szafce. Coś ci jeszcze potrzeba?

– Nie masz przypadkiem farby do włosów? – spytała bez większej nadziei.

– Za pięć minut będzie. Jaki kolor?

– Byle tylko nie zielony... – Miała siłę żartować, a więc nie było najgorzej.

Trzasnęły drzwi. Faktycznie nie minęło pięć minut i podał jej farbę. Przeczytała instrukcję. Ciemnokasztanowy. Znakomicie. Alchemik widać również przeczytał ulotkę, bo dostarczył jej także foliową torebkę i dodatkowy ręcznik.

– Suszarka jest na półce.

Wreszcie zasiadła w salonie, rozgrzana kąpielą, obolała i zmaltretowana. Ale żywa. Fotel zapadł się pod nią wygodnie, miała tylko ochotę spać i spać...

– Co się stało? – Mistrz tym razem poprosił o konkrety.

Więc opowiedziała.

– Tak, przefarbowanie włosów to zdecydowanie dobry pomysł. – Kiwnął wreszcie głową.

– To bardzo charakterystyczny element. Ludzie to szybko zapamiętują... Jeśli podadzą twój rysopis, dla policji jesteś w tej chwili poza podejrzeniem.

– Jak to jest, że zawsze ktoś rozpoznaje we mnie wampira? – zapytała.

– Nie wiem, jak inni, ja to po prostu czuję. Nagły chłód na plecach, włoski stają na karku... I już wiem. Raz spotkałem kobietę na Ukrainie, dawno, ponad dwieście lat temu. Potem po raz drugi w czasie wojny. Tamten był esesmanem... Zabiłem go zresztą.

– Zidentyfikowała mnie natychmiast.

– Ja też bardzo szybko. Tego się nie zapomina. Ale skoro ona od razu wiedziała, to znaczy, że wcześniej musiała spotkać kogoś takiego jak ty. Może w Sudanie?

– Może...

Na dole przed bramą kamienicy trzasnęły drzwiczki co najmniej dwu samochodów. Mistrz drgnął i nadstawił uszu.

Ulica Westerplatte to ruchliwa arteria, którą w dzień i w nocy nieustannie sunie sznur samochodów. Na poddaszu, chronionym potrójnymi szybami, warkot ich motorów zredukowany jest do cichego szmeru. Alchemik, mieszkając tu przez wiele tygodni, zdołał do niego przywyknąć. Teraz jednak uniósł głowę.

Przez czterysta lat pochłoniął ogromną masę książek dotyczących przeczuć, telepatii i temu podobnych zjawisk. Większość „literatury przedmiotu” okazała się zwykłą makulaturą. W nielicznych autorzy przytoczyli przykłady, dodając jednocześnie uwagę, że nie zgłębili natury tych zjawisk ani nie zdołali potwierdzić empirycznie ich realności.

Oczywiście, w bibliotece cadyka Salomona Storma spoczywają księgi, z których wynika, że telepatia istnieje realnie, a nawet takie, za pomocą których można się jej nauczyć. Alchemik nigdy nie szkolił się w tym kierunku, jednak nauczył się ufać przecuciom.

Przesunął myszkę, budząc komputer z uśpienia. Obraz z dwu kamer, umieszczonych na zewnątrz i od strony podwórza... Przed domem parkowała furgonetka. Stało przy niej dwu roślących drabów.

– Policja? – zapytała Monika.

Zdażył zapomnieć, że dziewczyna siedzi w fotelu naprzeciwko.

– Dobrze by było – mruknął.

Obraz z drugiej kamery był jeszcze mniej optymistyczny.

– Wyjdź na dach i spróbuj przejść do sąsiedniej kamienicy – polecił. – Masz szansę się uratować.

– Bractwo Drugiej Drogi. – Księżniczka spojrzała na niego kolorowymi oczyma.

Była zaskakująco spokojna i opanowana. Po twarzy Mistrza przebiegł cień. To dziecko, mimo że przeżyło ponad milenium, nie zetknęło się widać z tak bezwzględными typami...

– Dlaczego nie uciekniesz ze mną? – zapytała.

– Dlatego, że jestem mężczyzną – powiedział spokojnie. – Gdybym się cofnął, jak potem mógłbym patrzeć w lustro?

– Mają przewagę liczebną. Prawdopodobnie dziesięć do jednego... Może to głupota, a nie odwaga?

– Najwyżej zginę, ale wcześniej pokażę tym szmaciarzom, jak umiera prawdziwy szlachcic. I oczywiście zadbam przy okazji o to, by radość zwycięstwa zatruć im goryczą strat...

– Zostaję. Razem mamy większe szansę.

– Dam ci kamizelkę kuloodporną – zaproponował.

Pokręciła przecząco głową. Zdjął ze ściany szablę i zważył w dłoniach. Na oko była to zwykła kopia starej batorówki, jednak gdy wydobyl ją z pochwy, Monika aż uniosła brwi ze zdziwienia.

– Bułat?

– Na tyle, na ile udało się odtworzyć tę cudowną technologię – powiedział. – Wpadłem na ten pomysł, gdy zobaczyłem twój sztylet. Nie było łatwo, nie było tanio, ale paralem się w życiu wieloma profesjami, sztuka płatnerska też nie jest mi obca. Zmajstrowałem sobie taką oto zabawkę. I mam szaloną ochotę ją wypróbować...

Księżniczka popatrzyła na niego spokojnie.

– W sumie nic gorszego od śmierci raczej nas nie spotka. – Wzruszyła ramionami.

Podwinęła nogawkę spodni i wyjęła z pochwy na łydce sztylet. Przeciągnęła klingą po przedramieniu. Na ziemię posypały się drobne włoski. Ostry jak brzytwa...

– Ja też mam ochotę pokazać im to i owo...

Wampir, przemknęło mu przez głowę. Oswojony drapieżnik... Z pozoru łagodna, ale poszczuta, rozszarpie bez litości.

* * *

Wyjął z szafy niedużą butlę i, wstrząsnawszy, wcisnął spust. Wnętrze mieszkania zaczęła powoli wypełniać biała mgła.

– Co to takiego?

– Mój wynalazek. Odpowiednio dobrane bakterie gnilne, żrą głównie tłuszcze, a i szybko giną na świeżym powietrzu. Gdybyśmy mieli przypadkiem przeżyć, wyczyszczą ten dom z naszych odcisków palców, uszkodzą ewentualne DNA w zgubionych włosach, usuną ślady zapachowe...

– Genialne.

– Owszem, ale nie opatentuję tego.

Zrozumiała natychmiast. Jeżeli ten wynalazek wpadłby w ręce kryminalistów...

– A zatem...

– Na nas czas. – Gdyby któryś z członków Bractwa zobaczył w tym momencie jego uśmiech, prawdopodobnie wszyscy zapakowaliby się do samochodów i odjechali. Księżniczka poczuła dreszcz na plecach, ale było w nim więcej rozkoszy niż strachu.

Schody wiodące na strych skrzypiały cicho. Trzask, trzask... Ale Mistrz wiedział, że forpoczty już stoją tuż za drzwiami, szykując się do ich wyważenia. Oparł się plecami o jasne, sosnowe deski i, ujawszy oburącz szablę, pchnął potężnie pod swoją pachą.

Metrowej długości ostrze z najlepszej stali przeszło przez drewno jak przez tekturę i utknęło w czymś miękkim. Coś stuknęło o deski podłogi. Wyrwał klingę i dopiero otworzył drzwi.

Młody człowiek o ziemistej twarzy i nieruchomych oczach rzeźnika stał jeszcze na nogach. Z osłabłej ręki wypadł mu obrzyn przygotowany wyraźnie do rozwalania zamków. Chłopak, nie mogąc wykrztusić słowa, wpatrywał się w ogromną krwawą plamę na piersiach. Michałowi wystarczyło jedno spojrzenie, by ocenić, że rana jest śmiertelna. Cóż, posiadał pewne doświadczenie w rzemiośle wojennym. Pchnął konającego i podniósł z ziemi jego broń.

Zdażył złożyć się do strzału, gdy nad podestem pojawiły się dwie głowy. Pociągnął za oba spusty jednocześnie i głowy zniknęły jak zdmuchnięte. Odrzucił bezużyteczną już dwururkę.

– Ciekawe, ilu ich jest – mruknęła Monika.

– Sprawdzimy?

Jednocześnie przesadzili barierkę i zeskoczyli na podest pół piętra niżej. Spadli tak, by stanąć do siebie plecami. Stare deski z hukiem popękały. Powietrze zaśpiewało, a dwie bułatowe klingi zaśniły jak błyskawice.

Ostrza przecięły pustkę.

– Nikogo – stwierdziła z pewnym rozczarowaniem.

– Czyli nadal trzy do zera – powiedział spokojnie.

– Zobaczymy, co czeka nas niżej? – zapytała dziewczyna.

Gdzieś na dole szczękął odbezpieczony karabin. Trzeszczące pod nogami wrogów deski...

– Niżej czeka nas śmierć. Chodźmy jej na spotkanie. Przeżyłem czterysta lat i chyba wystarczy. – Uśmiechnął się drapieżnie.

Może zginie, a może nie. Ale tak czy siak, wrogowie na długo zapamiętają ten dzień. Ci, którzy przeżyją, przez kolejne dwadzieścia lat będą budzić się z wrzaskiem w zasikanej pościeli...

– To z waści szczeniak dopiero nieopierzony. – Rozjaśniła się promiennie.

Uniosła sztylet w ostatnim pozdrowieniu. Ten rycerski gest był stary już w czasach, gdy pierwsza krucjata ruszyła w stronę Ziemi Świętej. Alchemik płynnym ruchem schował szablę do pochwy i podniósł pistolet maszynowy z tłumikiem, porzucony na podeście. Runęli biegiem na dół, na spotkanie przeznaczenia. Huk tynku łupanego serią z automatu nie był zbyt głośny. Tłumik zredukował dźwięk. Dranie dobrze się przygotowali, wiedzieli, że nadmiar hałasu ściągnie im na karki gliniarzy. Na schodach stał tylko jeden zakapturzony typek, ale prawie wystarczyło...

* * *

Zatrzymali się, ciężko dysząc, na parterze. Monika otarła czoło z krwi.

– Jesteś ranna? – zapytał z niepokojem.

– Kilka draśnięć.

Przestrzelone udo, rozharatane ramię, złamane dwa palce... Bolało ją, ale trzymała się dzielnie. Nawet jak na wampira. Prawa ręka Alchemika zwisała bezwładnie, kula strzaskała ją tuż poniżej łokcia. Na szczęście był leworęczny. Nadal mógł utrzymać w dłoni szablę.

– Wracaj na górę – powiedział. – Ratuj się.

Nie odpowiedziała, ale poznał to po jej minie. Nie odejdzie. Stanęli naprzeciw drzwi. Gdzieś z góry po schodach ciurkały strumyczki krwi.

– Cztery do zera.

– Dajmy im jakieś punkty za zranienia – zaproponowała. – Tak będzie bardziej sportowo.

Pył z połupanego kulami tynku wirował i opadał powoli, jak śmiertelny całun. Gdzieś w górze trzasnęły drzwi i ktoś zaczął okropnie wrzeszczeć.

– Do tej pory mieliśmy mnóstwo szczęścia, ale teraz to już chyba koniec – powiedział poważnie. – Możemy poczekać tu, zaraz przyjedzie policja. Albo iść naprzód.

Zamyśliła się. Wybór zaiste trudny, a konsekwencje pomyłki poważne. Śmiertelnie.

Bractwo chce ich zabić. Policja będzie chciała aresztować. W pierwszym przypadku niewesoło. W drugim przesłuchania, sprawdzanie tożsamości, wyroki, deportacje i inne tego typu przyjemności... Śmierć czy niewola, oto jest pytanie. W sumie niewola lepsza, ale oboje już przez to przechodzili. I jakoś nie mają ochoty na powtórkę...

Gdy człowiek wie, że może zginąć, najczęściej paraliżuje go strach. Ale nie zawsze. Niekiedy kop adrenaliny i endorfiny jednocześnie wyłącza instynkt samozachowawczy i w skazańcu budzi się odwaga. Odwaga ostateczna. Odwaga, której nie da się w żaden sposób zgasić. Odwaga, z którą można iść z szablą na czołgi, samotrzeć na setkę wrogów.

Popatrzył w oczy dziewczyny i dostrzegł w nich diabelskie ogniki. A może to było odbicie jego spojrzenia?

– Póki życia, póty nadziei. – Uśmiechnęła się.

Wyjął z kieszeni siedemnastowieczny modlitewnik oprawiony w skórę. Otworzył w miejscu założonym jedwabną wstążeczką: „W godzinę śmierci”...

– Mistrzu Michale! – Rozległo się z zewnątrz.

– Kto mnie woła? – odwarknął.

– Rafor, przywódca Bractwa Pierwszej Drogi.

– O, to ty jeszcze żyjesz? – zdziwił się Alchemik.

– Poddaj się. Gwarantujemy ci wolność i życie... W zamian za wyjawienie sekretu twojej tynktury.

– Widzisz? – Zwrócił się do Moniki. – Z nimi tak zawsze. Głośno się chwala, że ich metoda jest lepsza, a jak przyjdzie co do czego, to chcieliby...

– Każdy chce długo żyć...

– Jasne, problem w tym, że nie każdy na to zasługuje... Na przykład oni... Wyobrażasz sobie, ile zła byłoby w stanie uczynić przez kolejne pięćset lat? – Wzdrygnął się na samą myśl.

Odczytał modlitwę i przeżegnał się nabożnie. Ona też się przeżegnała, w drugą stronę, prawosławnym zwyczajem.

– Gotowa?

Kiwnęła głową. Nieoczekiwanie objął ją i pocałował w czoło.

– Jesteś dzielną dziewczyną.

– Znajomość z tobą, Mistrzu, była dla mnie prawdziwym zaszczytem.

Wyjął z kieszeni świecę dymną i, odpaliwszy, rzucił przez okienko nad drzwiami.

– No to z Bożą pomocą – szepnął.

Kopnął w drzwi i znowu runęli do przodu jak burza.

* * *

Katarzyna siadła do komputera. Zalogowała się do sieci CBS. Trzeba odnaleźć siedzibę Bractwa Drugiej Drogi. Jak tego dokonać? W sumie nie jest to zadanie bardzo trudne. Ci dranie robią złoto z rtęci. W trakcie transmutacji wydziela się radioaktywny jod. Opary rtęci są trujące. Podwyższona radiacja też szkodzi.

No to do roboty. Wykorzystując priorytet służby, weszła do danych Instytutu Onkologii. Długie listy pacjentów wyleczonych i zmarłych. Teoretycznie tajne, ale jej program błyskawicznie złamał zabezpieczenia. Skopiowała dane adresowe i nałożyła na plan Krakowa. Promieniowanie wywołuje raka... A w każdym razie zwiększa jego ryzyko. Teraz dane demograficzne. Długotrwałe zatrucie związkami rtęci wywołuje ze dwadzieścia przewlekłych chorób.

Nałożyła jedno dane na drugie. Bingo. Na planie miasta pojawiła się nieregularna, ciemna plama. W okolicach Dworca Głównego istnieje obszar, gdzie ludzie generalnie żyją nieco krócej, a chorują częściej. Nie są to dane alarmujące, zachorowalność na nowotwory jest tu większa o cztery procent, a długość życia mniejsza o dwa, ale nałożenie tych dwu czynników pozwala już na wykrycie anomalii.

Co jeszcze? Rtęć... Na terenie miasta jest kilkadziesiąt automatycznych stacji badających zanieczyszczenia powietrza. Ma odczyty. Są dni, gdy poziom rtęci w powietrzu skacze dość gwałtownie. Teraz dane meteorologiczne. Trzeba skorelować wzrost poziomu rtęci w powietrzu z kierunkami wiatrów w danym dniu. Wykreśliła wektory i znowu trafiła – wszystkie strzałki przecinają się w okolicach dworca.

Lepszych danych uzyskać się nie da. A zatem należy zabrać się do pracy w terenie. Co będzie jej potrzebne? Wysokiej klasy licznik Geigera...

* * *

Katarzyna popatrzyła na wskazania licznika i leciutko zagryzła wargi. Nieźle, prawie dwukrotna wartość tła. Spokojna, cicha uliczka, asfalt, szare płyty chodnikowe, a w powietrzu radioaktywność. Oczywiście, daleko jej do tej po awarii w Czarnobylu, ba, daleko jej do tej, którą wypromieniowują bloki granitu. Ale jest i da się zmierzyć.

Przyłożenie aparatu do nawierzchni lub ściany powoduje skok odczytu. A zatem radioaktywny pył. Coś sypie się z nieba, osiada na ulicy i tam powoli następuje rozpad...

Skażenie jest na tyle słabe, że nie postawiło w stan gotowości żadnych służb. Ale jest. Jego centrum wydaje się być nieduża parcela, otoczona murem. Katarzyna obeszła ją dookoła. Hmm. Miejsce jak miejsce. Metalowa furtka zarosła rdzą... Wyjęła z torby teleskopową wędkę z zaczepioną na końcu miniaturową kamerą. Rozłożyła, podczepiła ciekłokrystaliczny ekranik i zajrzała, co jest za murem.

Niewielki budynek kryty dwuspadowym dachem. Ogród. Pod drzewem – kupka starych ludzkich kości, porośnięta już mchem. I żywego ducha. Przełączyła kamerę na podczerwień, omiotła okna. Wewnątrz pali się w piecu, ale chyba pusto. Pchnęła furtkę. Zamknięta na głucho. Pod klamką dziurka od klucza, sprytnie zamaskowany zamek gerda.

No to do dzieła. Pojemniczek z ciekłym azotem. Metal zatrzeszczał, struktura krystaliczna stali zaprotestowała. Agentka odczekała chwilę i połała raz jeszcze. A potem przyładowała w zamek znalezionym kamieniem. Żelazo rozprysło się z dźwiękiem tłuczonej szklanki. Pchnęła drzwiczki i znalazła się w przedsionku. Krata w poprzek, kolejny zamek. W sumie skoro metoda się sprawdziła, po co szukać innych?

Domek był niewielki, tylko kilka pomieszczeń. Rewolwer w ręce i do dzieła. W jednym pokoju prowizoryczne legowiska. Wyczuła szóstym zmysłem, że ktoś tu mieszka na stałe, ale większość użytkowników wpada tylko raz na jakiś czas. Kolejne pomieszczenie, komputer, dyskietki. Zdemontowała obudowę i wyjęła twardy dysk. Zbada się w domu. Kolejna salka, coś jakby laboratorium. Nieduży kocioł, w nim na dnie resztki rtęci. Nad paleniskiem wyciąg. W powietrzu paskudny, zastarzały zapach krwi.

Odwróciła się na pięcie i trzy razy pociągnęła za spust. Człowiek w płaszczu podobnym do habitu powoli osunął się po ścianie. Ciężki rzeźnicki topór wypadł mu z ręki.

Żył jeszcze. Podeszła i bez ceregieli ściągnęła kaptur z jego głowy.

– O, jaka niespodzianka – mruknęła. – Pan wizytator z kuratorium dorabia po godzinach, mordując agentów CBŚ?

Wciągnął spazmatycznie powietrze. Nieźle go trafiła, nie przeżyje. Jego problem, mógł nie atakować jej siekierą. Zresztą to urzędnik. Wszy trzeba rozgniatać bez litości, tak powiedziała Stasia.

– Ty suko – syknął. – Wykończą cię jak Alchemika...

Odskokczyła i wycelowwała w niego broń.

– Coś ty powiedział?

Uśmiechnął się tylko krzywo w odpowiedzi. Z ust pociekła mu krew i skonał. Zrozumiała, dlaczego nikogo poza nim tu nie ma... Cholera. Zmrużyła oczy. W sumie to tylko kilka przecznic stąd. Może zdąży... Rzuciła się sprintem.

* * *

Dym rozwiewał się powoli. Księżniczka stała koło bramy i spoglądała spokojnie. Trzy trupy malowniczo udekorowały błotniste podwórze. W zasadzie cztery. Siedem do jednego. Alchemik padł w połowie drogi. Wpakowali niego dobre pół serii z kałasznikowa. Siedem, może dziewięć pocisków. Jakby dopiero kilka kul było w stanie zniszczyć niezwykłą żywotność tego człowieka. Nawet martwy wyglądał godnie i budził mimowolny szacunek. Nie u wszystkich. Jeden z zakapturzonych właśnie ściągał mu buty.

– Co robisz? – Zaciekawiał się jego kompan.

– Zobacz jakie fajne, szewska robota... W sklepie takich się nie kupi. I pasują, jak na obstalunek zrobione. – Przymierzył.

Swoje znoszone adidas ciepnał do śmietnika. Przeliczyła wzrokiem tych, którzy przeżyli. Czterech. Tylko czterech, w tym zaledwie dwu uzbrojonych. Mało brakowało, a zdołałaby się przedrzeć. Ale to już koniec. Brama jest zbyt wysoka i zbyt jasna. Jeśli nawet rzuci się w nią, dostanie w plecy ze dwa pełne magazynki. Poza tym, czy wypada odwracać się plecami do wroga? Niedoczekanie.

Dłonią mocno przyciśniętą do piersi zablokowała krwotok. Co kilka oddechów zanosila się kaszlem i pluła krwią. Trafili ją tylko raz, za to paskudnie. Przebite płuco, kula wyszła z drugiej strony przez łopatkę. Boli, jakby ktoś gwoździe wbijał. Sztylet w jej dłoni był zakrwawiony aż po rękojeść.

– Niezła jesteś. – Skrzywił się Rafor. – Dwu naraz takim króciutkim majcherkiem? Podziwiam waszą taktykę, strategia taranowa, sądziłem, że od czasów Tuchaczewskiego nikt się tak nie wygłupia...

Dłoń Sędziwoja lekko drgnęła i zaczęła powolutku pełznąć w stronę przyczepionej do pasa kabury. Monika uznała to w pierwszej chwili za złudzenie. A jednak. Ciągłe żyje. Jest więc szansa. Spojrzała przywódcy wrogów prosto w oczy.

– Ja też znam sekret robienia kamienia filozoficznego – skłamała.

Wytrzymała spojrzenie jego chciwych oczek. Nauczyła się dobrze łąć. Miała na to tysiąc lat. Nienawidzi oszukiwać, ale teraz gra toczy się o życie. Może nawet o dwa życia...

– Słucham propozycji. – Uśmiechnął się wredne.

– Po pierwsze, podam numer mojego konta w Szwajcarii. Przez pierwsze dziesięć lat chcę czwartą część waszych dochodów ze sprzedaży złota. Po drugie...

Katarzyna weszła na podwórze niemal tanecznym krokiem. W idealnie skrojonej garsonce, wyglądała jak istota z innego świata. W dłoni trzymała aktówkę. Jeden z zakapturzonych automatycznym ruchem uniósł karabin. Spojrzała na nich surowo, choć spokojnie.

– A wy co? – huknęła. – Nie wiecie, że na kręcenie filmów trzeba mieć zezwolenie administracji wspólnoty mieszkaniowej? Kto tu jest reżyserem?

Spojrzeni zaskoczeni po sobie. Ten ułamek sekundy jej wystarczył. Cztery razy ponuro huknął podwójny strzał. Najpierw ci z bronią, potem pozostali. Prościutko między oczy, tak jak uczyli ją na kursach. Jeden niewypał, ale reszta kul w celu. Monika wytrzeszczyła oczy. Nie sądziła, że jej przyjaciółka tak dobrze strzela.

Teraz ci, który leżą koło klatki. Każdy dostaje kontrolnie w skroń. Koniec amunicji. Rozgrzana lufa czeczeńskiego rewolweru pękła z cichym brzęknięciem. Agentka wcisnęła broń w dłoń kolesia, który ukradł Sędziwojowi buty. Monika dopadła ciała Alchemika.

– Nie żyje? – Katarzyna stanęła obok i dłuższą chwilę patrzyła na zwłoki.

Na twarzy Mistrza Michała malował się spokojny uśmiech, a oczy spoglądały gdzieś w niebo. Pochyliła się, by zamknąć mu powieki, gdy nieoczekiwanie źrenice drgnęły i popatrzyły na nią prawie przytomnie.

– Ojej – mruknął, aż kącika ust spłynęła mu strużka krwi. – Dama przyszła, a ja się wyleguję... Mam połamane żebra. Pomóż mi wstać.

Powoli dźwignął się z ziemi. Ciężko oparł się na szabli, niczym na lasce. Podał agentce kluczyki od samochodu.

– Przed bramą... – wyszeptał.

Księżniczka w tej dopiero chwili poczuła, jak bardzo była osłabiona wpływem krwi. Przyjaciółka złapała ją i przerzuciła sobie przez ramię.

– Dziękuję – szepnęła Monika.

Katarzyna biegiem wróciła na podwórze. Mistrz szedł, opierając się o ścianę, ale widać było, że każdy krok przywraca mu siły. Obejrzał się na pokrytą ciałami ziemię i uśmiechnął pod nosem. Dawno temu zobaczył fajny film o siedmiu samurajach i zapamiętał ostatnie zdanie wypowiedane przez jednego z bohaterów. Do tej pory nie było dobrej okazji, by je wygłosić...

– Raz jeszcze udało się przeżyć – wymamrotał.

Podtrzymując Alchemika, pomogła mu dowlec się do auta.

– Nie masz czasem łyżeczki śliwowicy? – zagadnął. – Czuję się coś nie do końca dobrze...

Ruszyła z piskiem opon. Gdzieś daleko słychać było narastające wycie syren radiowozów.

– Odwiozę was do szpitala – zaproponowała.

– Nie – wycharczał Alchemik. – Do was. Wyliżę się sam.

– Ja też, zresztą mam uprawnienia felczerskie – dodała księżniczka.

– Z jakiej epoki? – parsknęła agentka.

– Wojna Krymska. Byłam uczennicą Florence Nightingale.

Milczeli. Mistrz wyciągnął pasek ze spodni i zrobił sobie opaskę uciskową, powstrzymując krwawienie z przestrzelonego ramienia. Pojękiwał cicho na każdym wyboju.

– Jakim cudem żyjesz? – zapytała Monika. – Kulą z kałasznikowa można przebić...

Uniósł głowę i z wysiłkiem skoncentrował się na odpowiedzi.

– Jan Szczepanik wymyślił to w 1901 roku. Tkanina kuloodporna, pierwsza skuteczna... I jednocześnie najlepsza.

– To jakaś bzdura, przecież wtedy jeszcze nie było kevlaru – zaprzeczyła Katarzyna, z piskiem opon wchodząc w zakręt.

– Ale miał jedwab...

– Jedwab nie zatrzyma kuli z karabinu.

– Szczepanikowi nie chodziło o to, by ją zatrzymać od razu. Jego tkanina miała splot przestrzenny, jak kilkanaście warstw nałożonych na siebie sieci. Pocisk lub odłamek, wpadając w oczka, zrywał nitki, ale wytracał energię. Aż wreszcie któraś kolejna siatka zatrzymywała go definitywnie. Taki pancerz uratował życie hiszpańskiemu królowi Alfonsowi XIII.

Aż zatchnęła się z wrażenia.

– I pan wytrzasnął gdzieś jego kamizelkę kuloodporną?

– Znałem ideę, zresztą byłem swojego czasu jednym ze sponsorów Szczepanika, gdy prowadził badania nad kolorową fotografią... Skopiowałem jego tkaninę, oczywiście używając włókna poliwęglowego.

Podjechała pod same drzwi. Spojrzała na plamy krwi znaczące gęsto tapicerkę wozu. Leciutko zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. Monika nie była w stanie utrzymać się na nogach. Wzięła ją więc na ręce jak dziecko i wniosła po schodach. Alchemik, mrucząc pod nosem coś na temat śliwowicy, poczłapał za nimi. Śliwowicy nie mają. Ale pigwówka już dojrzała.

Stanisława na dźwięk dzwonka otworzyła drzwi. Obrzuciła rannych jednym spojrzeniem. Przez umysł przemknęło jej kilkanaście słów w różnych językach, ale najodpowiedniejsze do sytuacji wydało jej się gruzińskie.

– Wuuuj!

* * *

Anysza Safez pospiesznie wrzuca książki do walizki. Ma dosyć. Od kiedy wyjechała z Sudanu kilka lat temu, bez przerwy spotyka wampiry. Ci biali to durnie, nie umieją wytropić i wytłuc tałatajstwa... Trudno, to już nie jej problem. Zdążyła wymienić maile z kilkoma uczelniami. Zaczepi się na odtwarzanym właśnie uniwersytecie w Kabulu.

Głupio jej trochę porzucać pracę w połowie roku, na samym początku kontraktu, ale sami sobie winni. Przecież obiecywali jej bezpieczeństwo...

* * *

Kostnica Zakładu Medycyny Sądowej rzadko bywa pełna ciał. Tym razem wypełniały ją do granic pojemności. Na wszystkich stołach spoczywały zwłoki nakryte prześcieradłami.

– Kurna mać! – skwitował sytuację nadkomisarz. – Ilu macie?

– Na razie doliczyliśmy się jedenastu trupów – zameldował technik. – Ale sprawdzamy jeszcze wszystkie zakamarki. Zabezpieczyliśmy sześć sztuk broni automatycznej. Balistyka wydobywa kule z tynku. Musieliśmy szybko zdejmować ciała, żeby się nie rypło, ale mamy szczegółowe fotografie... Technicy badają mieszkanie na poddaszu, z którego część z nich wylazła. Tu zagadka, żadnych odcisków palców... Za to śmierdzi jak w chlewie.

– To łatwo wyjaśnić. – Błysnął pomysłem praktykant. – Widocznie pociągnęli opuszki palców specjalnym lakierem albo przez cały czas nosili rękawiczki.

– Kim oni, u diabła, są!? – zapytał nadkomisarz.

Policyjny technik bezradnie popatrzył na najbliższe zwłoki. Szary płaszcz z kapturem przypominał habit...

– Z całą pewnością nie są mnichami żadnego znanego nam zgromadzenia zakonnego – odparł. – Co więcej, ich identyfikacja nie będzie łatwa, bo nie mieli przy sobie żadnych dokumentów, a odcisków palców nie znaleźliśmy w naszej kartotece. Teraz szukamy fotografii w bazach CBS...

Praktykant pochylił się nad jednym z ciał. Nieboszczykowi brakowało dłoni.

– Proszę zwrócić uwagę – powiedział do nadkomisarza. – Mamy tę uciętą rękę z ulicy Świętego Krzyża. Mam wrażenie, że będzie pasowała...

A potem zemdlony runął jak długi między stoły. Nadkomisarz popatrzył na niego i pokręcił głową. Minus dwadzieścia punktów za nie zaliczone zajęcia w prosektorium.

– Co z nim? – zapytał kostnicowy.

– Docućcie i szklankę wódki – zarządził. – To go postawi na nogi.

Po chwili praktykant, zielony jak ściana, stał obok.

– Nie ma powodów, by bać się trupów – powiedział uspokajająco nadkomisarz. – Bać się należy raczej żywych... Doszedłeś do siebie?

– Eeee...

– No, to uczymy się dalej. Czterej z nich mają głowy rozwalone z rewolweru na naboje takie jak do kbks-u – pokazał.

Jeszcze jedna szklanica wódki i młody zdołał utrzymać się na nogach. Trunek jednak wyraźnie mu nie służył. Trzeba będzie zapamiętać, by wykreślić tamte ujemne punkty za alkoholizm.

– Innymi słowy koleś, w którego dłoni znaleźliśmy tę zabawkę – młody potrząsnął rewolwerem w plastikowej torebce – zastrzelił trzech kumpli, a potem palnął sobie w łeb?

– Zgadza się. Ale zwróć uwagę, co ma na nogach!

Ściągnął dół prześcieradła.

– Fiuuu. Te buty...

– Szewska robota. Założę się, że pasują do śladów znalezionych w muzeum!

– A zatem podsumujmy...

– To bardzo proste – nadkomisarz zaczął wyjaśniać. – Wracamy do twojej teorii. Tu, w Krakowie istnieje organizacja, nazwijmy ją umownie lożą masońską. Organizacja na tyle silna, że postanawia wyrwać się spod kurateli swojej loży macierzystej. Z zewnątrz, nie bardzo wiadomo skąd, przybywają emisariusze ich szefa w liczbie trzech.

Kwaterę zakładają tam na strychu. Na początek dopadają Dymitra i wykonują na nim wyrok śmierci – jak to u nich, masonów, przewidziane jest za zdradę. Potem udają się lochami do muzeum, by odprawić jakiś swój rytuał. Wracając, wysadzają w powietrze lokal na podwórzu – nawiasem mówiąc, wiemy już za co.

– O!

– Ustaliłem z wojewódzkim konserwatorem zabytków, że dziura, którą wyleźli, była jeszcze kilka lat temu zabezpieczona renesansową płytą. Ktoś ją zaiwaniał i zaklajstrował betonem. Eksplozja prawdopodobnie miała na celu zastraszenie gościa, aby oddał artefakt. Na ulicy Świętego Krzyża nadziali się na miejscowych masonów, którzy pałali chęcią zemsty za śmierć swojego wodza.

– Oni swoich wodzów nazywają chyba mistrzami.

– Ładnie brzmi. Świetnie. Dymitra, mistrza loży w Krakowie. W toku walki jeden traci dłoń, a kilku zostaje rannych. Mimo to nie rezygnują. Wyśledziwszy kryjówkę emisariuszy, wyruszają, żeby ich zabić. Główny przybysz, ten w butach, przeżył strzelaninę i rżnięcie nożem, ale zobaczył, że nie żyją zarówno jego towarzysze, jak i miejscowi masoni, których miał „nawrócić” i ponownie podporządkować loży macierzystej.

– Wtedy doszedł do wniosku, że zawiódł, i strzelił sobie w łeb – domyślił się praktykant.

– Widocznie uznał, że lepiej zginąć z własnej ręki niż na przykład z rapierem w brzuchu jak ten Dymitr.

– Czyli śledztwo utknęło nam w martwym punkcie?

– Wręcz przeciwnie. Sprawa została rozwiązana – oświadczył dumnie nadkomisarz. – Dzięki naszej dedukcji, twoim pomysłom i mojemu doświadczeniu, wszystkie wątki zostały wyjaśnione. A sprawcy i ofiary nie żyją... Trzeba ich tylko jeszcze zidentyfikować, oczywiście, o ile się da, ale to już robota dla komputerowych systemów identyfikacji CBS.

– Dobrze. Co w takim razie robimy teraz?

– Masz zaliczone praktyki w Sekcji Dochodzeniowo-Śledczej Komendy Miejskiej... A zatem u mnie to już koniec. Czas na pracę w „Wydziale Y”.

– Brzmi interesująco.

– No, ba... Z tego, co pamiętam, mają do rozpracowania sprawę staruszki zgwałconej przez kosmitów...

– O! Hmm. A nie można od razu umorzyć z powodu niewykrycia sprawców?

– Mają problem, bo to ciotka... a, nieważne czyja. – Spostrzegł, że pracownik kostnicy nadstawia ucho. – Skieruję cię do nadkomisarza Tomaszewskiego, myślę, że on najlepiej wprowadzi cię w szczegóły sprawy. U mnie masz za praktyki dwieście pięćdziesiąt punktów. Zaokrągliłem ci nieco w górę. To bardzo ładny wynik. Powodzenia. Myślę, że będzie z ciebie dobry gliniarz.

– Dziękuję...

Młody poszedł a nadkomisarz z westchnieniem otworzył teczkę. Wyciągnął stos raportów. Praktykant spławiony, trzeba się zabrać za tę sprawę na poważnie...

* * *

Monika uchyliła powieki. Ktoś chłodnym kompresem zbierał jej pot z rozpalonego czoła. Zogniskowała wzrok. W półmroku rozpoznała warkocz. Katarzyna.

– Jak się czujesz?

– Już dużo lepiej. Co z Mistrzem?

– Ma połamane żebra. Usztywniliśmy opatrunkiem. Trochę uszkodziło mu płuca, ale to powinno przejść w ciągu kilku dni.

– A ja?

– Kula przeszła na wylot. Oczyszczałam kanał rany i zobaczymy. Dostałaś zastrzyk przeciwtężcowy. Alchemik twierdzi, że jak na wampira, to powierzchowne obrażenia...

– Niech Bóg mu wybaczy te bezlitosne słowa!

– Do wesela się zagoi.

– Wychodzisz za mąż? – Uśmiechnęła się, udając, że nie zna tego powiedzenia...

Zerknęła na budzik. Fosforyzujące wskazówki układały się w kąt prosty. Trzecia w nocy, a informatyczka czuwa przy jej łóżku.

I nagle zrozumiała. Pojęła prostą prawdę i aż się zawstydziła, że zajęło jej to tysiąc dwieście lat. Dwie gorące łzy spłynęły jej z kącików oczu i znowu zapadła w otchłań maligny. Ale ostatnim przeblyskiem woli spróbowała zapamiętać swoje odkrycie. Chciała mieć niewolnicę, by ktoś czasem czuwał nad jej snem. Po co? Przecież wystarczy znaleźć sobie przyjaciółkę...

* * *

Dopiero na czwarty dzień księżniczka usiadła na łóżku. Gorączka opadła i dziewczyna już nie czuła bólu przy każdym oddechu. Alchemik też wracał do zdrowia. Trzy palce w postrzelonej ręce znowu zaczęły się poruszać i choć nie miał w nich zbyt dużo siły, wierzył, że niebawem odzyska w nich pełnię władzy.

Obie kuzynki Kruszewskie, jako że niebezpieczeństwo minęło, wróciły do pracy. Mistrz musiał zrezygnować. Gdy tylko doszedł do siebie, zaczął żałować pozostawionych na poddaszu urządzeń i książek. Ale cóż, tak niestety bywa. Dodatkową przyczyną jego udręki była dieta, bogata w żelatynę, mająca przyspieszać gojenie i zrastanie kości.

Piątego dnia księżniczka uparła się, że pójdzie do szkoły. Obie kuzynki zaczęły prawić morały, a Stanisława nawet zagroziła, że przeciągnie ją smyczą po zadku, czym wywołała u wszystkich domowników atak wesołości... Do szkoły nie poszła, ale przynajmniej pozwoliły jej wybrać się z klasą do kina.

* * *

Od pięciu dni cel nie pojawił się ani razu pod szkołą. Jednak ciągle jest w mieście, a nauczycielka, która była z nią wtedy przed Instytutem Orientalistyki, chodzi do pracy.

– Może po prostu jest chora – zastanawiał się Laszlo.

– Wampiry nie chorują. – Arminius zmarszczył lekko brwi. – Ale czuję jej myśli. Ona chce tu wrócić...

– Hmm... Co robimy?

– Najlepsze są stare, wypróbowane sposoby...

Szesnasta. Uczniowie poszli do domów, ale dyrektor jeszcze siedzi w swoim gabinecie. Można działać. Zaparkowali wynajętego w wypożyczalni fiata przed drzwiami. Stary łowca obciągnął na sobie garnitur. Spojrzał do lusterka i uśmiechnął się do swego odbicia. Dwuogniskowe okulary w cienkich, metalowych oprawkach nadawały mu wygląd prawdziwego intelektualisty.

Wszedł do szkoły. Cień na jego widok zaszalutował tylko kijem od miotły. Oto i gabinet. Zapukał i wszedł do środka.

– Czym możemy służyć? – Na widok czcigodnie wyglądającego starca dyrektor sam przybrał dostojną pozę.

– Jestem profesor Arminius Vamblery z uniwersytetu w Sarajewie... – Łowca zaczął po angielsku.

– Bardzo mi miło. W czym mogę pomóc?

– Dowiedziałem się, że do pańskiej szkoły uczęszcza Monika Stiepankovic. To moja ukochana prawnuczka. Sądziłem dotąd, że zginęła... – W oczach starego zaszkliły łzy.

– Mówiła, że nie ma żadnych krewnych. – Dyrektor nic nie podejrzewał. Po prostu się ucieszył.

– Widocznie przypuszczała, że podzieliłem los wszystkich mieszkańców miasteczka... Serbowie wymordowali podczas czystek etnicznych całą naszą dolinę – dodał.

– A to się dziewczynka uraduje. – Dyrektor się rozpromienił. – Zabiera ją pan z powrotem do Bośni?

– Jeszcze nie wiem. Ale chyba tak. Musimy odbudować nasz dom... I od nowa układać sobie życie. Ja wróciłem do pracy na uczelni, poradzimy sobie.

Dyrektor rzucił okiem na grafik.

– Szkoda, że nie przyszedł pan dwie godziny temu, poszła już do domu...

– A gdzie mieszka?

– Zaraz sprawdzimy...

Z szafy wyciągnął jej teczkę i podał adres domu dziecka. Arminius zagryzł w duchu wargi. Wraca do punktu wyjścia.

– Ale wie pan co? – Dyrektor był radosny jak szczygielek. – Dziś o dziewiętnastej jej klasa idzie do kina, tego przy ulicy Świętego Tomasza. Może tam ją pan złapie? Będzie chyba przyjemniej...

– Dziękuję panu bardzo. – Łowca uśmiechnął się i uszczęśliwiony opuścił szkołę.

Wsiadł do samochodu.

– Mamy ją! – Zatarł ręce. – Będzie dziś o siódmej wieczorem w kinie. A potem... wraca do domu. Może sama...

– Dziabniemy ją na ulicy?

– Z czego? Zrobimy inaczej. Rąbniesz ją prądem. – Podał mu porażacz elektryczny. – Wpakujemy do samochodu, skujemy, zawieziemy do nas i przypalikujemy kołkiem.

Laszlo klasnął w dłonie.

– Nawet wolę tak – powiedział. – Bliski kontakt z wrogiem... I jakby bardziej honorowo niż kulą w plecy.

– I zgodnie z tradycją łowców wampirów. – Skłonił głowę stary.

– Możemy zaparkować na Starym Mieście?

– Niestety, nie bardzo. Ale jest na to metoda. Zamaskujemy nasz wóz jako taksówkę...

* * *

Dziewczyny wysypały się z kina. Obserwowali je spokojnie i uważnie. Księżniczka Monika pożegnała się z koleżankami i ruszyła przed siebie ulicą.

– Przefarbować się, spryciaro – mruknął Laszlo.

– No to z Bożą pomocą. – Arminius przeżegnał się i klepnął ucznia w ramię.

Laszlo podniósł broń i, wysiadłszy z wozu, ruszył za ofiarą. Przystanęła, oglądając drobiazgi wystawione na wystawie sklepu jubilerskiego. Kolczyki i wisiorki wzorowane na wyrobach rosyjskiej firmy Faberge. Złoto zdobione granatową emalią. Wyroby niczego sobie, ale ceny zaporowe. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Ostatecznie stać ją... Tylko czy warto wydawać fortunę na kilka błyskotek?

Przyspieszył kroku. Przeciął ulicę i szedł środkiem chodnika. Cholera, szkoda, że jest leworęczny. Cel ma po prawej stronie... Będzie musiał zrobić zwrot, cała akcja może nie wypalić przez głupią sekundę... Zlustrował ulicę. Kupa ludzi. Żadnej policji. Ile czasu minie, zanim ktoś zareaguje i wyciągnie komórkę? Powiedzmy, że pięć sekund.

Mijał witrynę. Jeszcze krok, jeszcze pół. Nieoczekiwanie odwrócił się i pchnął niemal na oślep porażaczem. Spozstrzegła ruch w szybie wystawowej, ale nie zdążyła nic zrobić. Wyladowanie trzystu tysięcy woltów przebiło bez trudu kożuszek. Włosy stanęły dęba, otoczyły głowę jak naelektryzowana burza. Pociemniało jej w oczach i osunęła się prosto pod nogi łowcy.

Złapał ją, żeby nie gruchnęła o chodnik. Stary zatrzymał samochód obok sekundę później. Laszlo otworzył tylne drzwi i jednym ruchem rzucił ją na tylne siedzenie. Była lekka i drobna, nawet nie poczuł. Skoczył w ślad za nią. Trzaśnięcie drzwiczek. Łowca prowadził szybko i pewnie.

– Obszukaj ją i zakuj – polecił. – Powinna być nieprzytomna przez jakieś dziesięć minut, ale nie wiadomo, jak to z nimi jest...

Rozpiął kożuch i obszukał pospiesznie boki. Żadnych kabur, żadnych spluw... Ups? Coś miała na łydce. Odsznurował pochwę ze sztyletem.

– Tylko nóż – zameldował.

– Kuj. Nie czekaj.

Kožuch przeszkadzał, ściągnął go pospiesznie. Ręce na plecy, podwójne kajdanki. Więszymi spiął jej nogi w kostkach. Jeszcze łańcuch łączący obie pary. Solidna stal samohartująca, zamki znacznie wymyślniejsze niż w policyjnych modelach.

Arminius wjechał na podwórze i zaparkował przed ich kwaterą. Wysiadł i zatrzaskał bramę. Rozejrzał się na boki. Pusto. Ulica jak wymieciona, żywego ducha. I bardzo dobrze.

– Dasz radę ją ponieść? – zapytał.

– Tak, przerzucę sobie przez plecy...

– Nie! Jeśli się ocknie, dziabnie cię zębami. Chyba byś nie chciał...

Złapał ją pod pachy i, sapiąc z wysiłku, wtaszczył po schodach do pokoju. Stary wyjrzał oknem. Nadal spokój. Nikt za nimi nie jechał, nikt chyba nie zauważył, jak wnoszą nieprzytomną dziewczynkę do swojej rudery. Na Sławkowskiej spostrzegł co najmniej trzech ludzi z komórkami przy uchu. Gadali tak sobie, czy wzywali policję? Nieważne.

– Nadal śpi – zameldował Laszlo.

– Rozciągnij i przykuj – polecił. – Jak będzie miała rozłożone ręce, nie zdoła się zamienić w nietoperza.

Węgier rozkuł jej ręce i rozkrzyżował na podłodze. Wbił solidne haki w drewniany parkiet, przyczepił do nich kajdanki. W ostatniej chwili. Obudziła się i natychmiast szarpnęła potężnie. Deski zaskrzypiały cichutko, ale nic się nie stało. Naprawdę solidne okowy. Potoczyła oszołomionym spojrzeniem wokoło. Obłazące z farby ściany, popękany tynk na suficie, okna zabite dyktą z portretami jakiegoś psychologa. Podłoga, niegdyś piękna, obecnie zapuszczona jak reszta tej meliny. Na parapecie półtoralitrowa flacha rakiji. Pod ścianą, na warstwie świeżych gazet, dwa materace i śpiwory. I jeszcze ci dwaj. Młody, sympatycznie wyglądający chłopak. To on dziabnął ją prądem. Śniada cera, grube brwi. Ormianin? Gruzin? Nie, raczej Węgier albo Rumun. Byłby nawet przystojny, gdyby nie te wąskie, zaciśnięte jak kreska wargi i spojrzenie psychopaty.

Jego towarzysz, na oko dziewięćdziesięcioletni starzec, szlachetne rysy jak wykute w granicie. Wygląda na lekarza, może adwokata. Hmmm... Nie, to bardziej typ starego, szalonego naukowca. Starannie utrzymana siwa bródka, ciemne oczy, błyszczące jak gdyby ciągle miał dwadzieścia lat. Spojrzenie badacza, odkrywcy tajemnic natury. Garnitur starannie skrojony, ale wedle mody sprzed siedemdziesięciu lat... Prosta sylwetka. Czerstwy, dobrze się trzymający staruszek. Co też takiego trzyma w ręce? O jasna cholera!

– Kim jesteście? – zapytała.

– Zgadnij. – Uśmiechnął się krzywo, ale nie przerwał swojego zajęcia.

Małym toporkiem ociosywał solidny, osikowy kołek. Laszlo bawił się pięciokilowym młotkiem z supermarketu.

– Co wam zrobiłam? – warknęła po węgiersku. – Ile chcecie, żeby mnie wypuścić?

– Spełniamy nasz obowiązek wobec ludzkości – oświadczył z godnością Laszlo.

Szlag. Łowcy wampirów. Prawdziwi łowcy wampirów jak z kiepskiego horroru. Niemożliwe? A jednak. A sądziła, że tacy kolesie to tylko wymysł reżyserów kretynów. Z drugiej strony powinna się była tego domyślić po zamachu przed biblioteką... Znaczy do niej walili, a nie do Stasi. No to wpadła.

– Mam konto w Szwajcarii. Od lat narastają tam odsetki – zełgała. – Mogę wam dać połowę.

Stary podszedł i zalepił jej usta szerokim plastrem opatrunkowym.

– Bo jeszcze by nas przekonała – mruknął.

– To wystarczy? – Młody popatrzył z powątpiewaniem na kołek. – A jeśli nie?

– Jakby kołek nie pomógł, to upitolimy jej głowę szpadlem. Ale do tej pory zawsze skutkowało.

Księżniczka szarpnęła się znowu. Ale bez skutku. Do diabła. Przeżyć ponad tysiąc lat, by umrzeć na zaszczanej przez myszy podłodze z rąk dwu fanatyków? Niedoczekanie. Mięśnie na jej ramionach napięły się jak postronki. Deski zatrzęszczały, ale haki nie puściły.

No to wpadła. Jak śliwka w... A nawet jeszcze gorzej. Zabijają ją, głupie palanty! Haki są wbite głęboko. Pewnie pod parkietem znajdują się solidne dranice... Oczywiście jest w stanie je rozruszać i wyrwać. Powoli, mocnymi szarpnięciami, tylko że zajmie jej to całą noc albo dłużej, a tu najwyraźniej szykują się, by wykończyć ją już za kilka minut.

I gdzie są przyjaciele? Właśnie w tej chwili, gdy są jej potrzebni... Alchemik pewnie leży w fotelu i je sobie galaretę z nóżek, Katarzyna bawi się komputerem, Stasia haftuje. Zastanawiają się, kiedy wróci z kina. A ona leży tu na podłodze, skuta jak niewolnica na targu, a nawet gorzej, i czeka na egzekucję. Walnąć ssawką przez własny policzek? Nic to nie da.

– Ciosaj szybciej, szkoda dziewczyny, wariuje ze strachu – powiedział Laszlo.

O, to on ma jakieś ludzkie uczucia? Zdumiewające. Zupełnie nie wygląda. Zresztą, co z tego, że ma? Widać po nim, że ręka mu nie drgnie... W zasadzie miło z ich strony, że jej nie zgwałcili. A może i szkoda? Miałaby szansę przy okazji choć jednego posłać na tamten świat. Co za problem złamać któremuś miednicę udami? Ale, zdaje się, nawet o tym nie pomyśleli...

Rany, wbijają jej kołek w serce. I co się stanie dalej? Wybuchnie? Zapali się jak w głupich filmach o wampirach, czy może rozsypie w pył? A może zdoła to zregenerować? Nie, gucio, kuzynkę przecież zaszlachtowali... O Boże, on już kończy.

– Gotowe. – Arminius z zadowoleniem sprawdził koniec kołka. – Szkoda dziewczątka, ładniutka jest, ale cóż obowiązki... – Pożałowała w tej chwili, że zna węgierski.

O, mamusiu. No to kompletny kłops. Kiedy ostatnio była u spowiedzi? Dawno, cholera. A tyle miała okazji. Ale może się uda pójść do nieba, ostatecznie nie nagrzeszyła jakoś szczególnie. Zobaczy kuzynkę, rodziców. Hmmm... Minęło tysiąc lat, ciekawe, czy ich od razu pozna.

Do diaska, czemu akurat kołkiem? I to jeszcze takim grubym? W serce... Przecież to będzie bolało jak diabli. Z drugiej strony kilka sekund i po krzyku. A przecież bywa i tak, że umiera się w wielogodzinnych męczarniach... Więc może nie jest tak źle, jak się jej wydaje? Kurczę, kilka dni temu się nie bała, poszła z nożem na kołesiów uzbrojonych w karabiny. A teraz strach ściska jej żołądek... I to paskudne uczucie, jakby nażarła się lodu.

Arminius ukląkł obok i jednym ruchem rozerwał jej bluzkę na piersiach. Gładka jak jedwab skóra. Drobne, dziewczęce piersi, bawełniany stanik z supermarketu, medalik na łańcuszku. Tatuaze nie zdziwiły go specjalnie. Za to ich treść – tak. Błękitny herb, litania zapisana alfabetem sprzed wielu stuleci, kawałek brakuje, jest w tym miejscu świeża blizna po postrzale.

– Fiuuu – gwizdnął. – Napis głagolicą... Tego alfabetu nie używa się już ze czterysta lat.

Ujął koniec kołka.

* * *

Stary łowca zważył kołek w dłoni. Przymierzył. Dotknął wierzchem dłoni skóry księżniczki. I zamarł, zdumiony.

– Cholera – zaklął wściekle. – Ona jest ciepła!

– Jak to?

– Normalnie, jak ty czy ja!

Zerwał jej jednym ruchem plaster z ust.

– Do mojej poprzedniej oferty dodam kwotę stu dwudziestu tysięcy dolarów i obiecuję, że nie podejmę żadnych działań przeciw wam – powiedziała pośpiesznie.

– Milcz! Potrzymaj jej głowę – polecił Laszlo.

Rozwarł szczęki dziewczyny. Spróbowała chłasnąć go ssawką, ale w ostatniej chwili cofnął rękę.

– Zęby ma normalne – zauważył uczeń. – Dziadek uczył mnie, że kły wampira chowają się w dziąsłach, ale zawsze wystaje ich...

– Zobacz, ma ssawkę pod językiem. Psiamać. Ale żeśmy się kropnęli...

– To kim ona jest? – zdumiał się łowca. – To zwykła dziewczyna? Człowiek?

– Gdzie tam – jęknął. – Pseudowampir. Nie jest martwa i nie wysysa ludzi. Podpija krew z koni. Niegroźna, nawet się na takie nie poluje... Bo i po co? Szlag by to trafił, sto dwadzieścia lat zabijam wampiry i na starość taka hańba!

Wziął z parapetu butelkę rakiji i nalawszy do wyszczerbionego kubka, pociągnął długi łyk.

– Palanty – parsknęła Monika.

– To co robimy? – Laszlo podniósł porzucony kołek i podrzucał go w dłoniach.

– Jak nie masz co z tym zrobić, to se wsadź w zadek. – Księżniczka poznała mowę Madziarów nieźle, ale raczej nie był to język literacki...

– Jak to co? Wypuszczamy... I przeprosić by wypadało – mruknął stary, nalewając sobie drugą porcję. – No to teraz nas wyśmieją... Wszyscy łowcy do skończenia świata będą sobie opowiadać dowcipy o Arminiusie i Laszlo, jeden stary i głupi, drugi młody i głupi... Tośmy się dobrali, dwu idiotów na tropie...

– Jak to wypuścić? – Przestraszył się uczeń.

– Rozkuj ją po prostu.

– Jak tylko ją odepnę, pourywa nam głowy... – Spojrzał z obawą na księżniczkę.

– A niech urywa. Zasłużyliśmy...

– Nie urwę – obiecała. – Choć należałoby. Bierz się do roboty.

Popatrzył na nią z wahaniem. Ponagliła go spojrzeniem. Trzasnęły obręcze kajdanek i już po chwili stała, rozcierając nadgarstki.

– Cholera, i jeszcze guziki pourywali – jęknęła, poprawiając bluzkę. – A ty gdzie się gapisz, stary pedofilu! – wsiadła na Arminiusa. – Temperaturę ciała to się na czole sprawdza, a nie smyrając nastolatki po cycach.

– Przepraszamy – wykrztusił. – Każdemu może się zdarzyć...

– Trzy zamachy, mało mnie kołkiem nie przypalikowałeś i mówisz, że każdemu może się zdarzyć? – prychnęła jak dzika kotka. – Poszczułeś mnie golemem, wiesz, jak nam mieszkanie zdemolował? Drzwi i okna musiałyśmy wymienić. I moja ulubiona bluzka, cała poszarpana. I spódnica uświniona. – Otrząpywała się z kurzu. – I jeszczeście mnie nastraszyli... – Spojrzała na nich z wściekłością. – Księżniczkę z rodu Stiepankowiczów tarzać po ziemi, za grosz szacunku dla błękitnej krwi... A kozuch gdzie? Pod sklepem został? Cholera, i sztylet przez was zgubiłam! Jediną pamiątkę po dziadku...

– Jest w samochodzie – wykrztusił Laszlo. – Zaraz przyniosę.

Jak cudownie mieć powód, by zejść jej z oczu... Pobiegł, łomocząc buciorami po schodach. Arminius drżącą dłonią nappełnił jeszcze dwa kubki.

– Wasza wysokość, niech pani łyknie na uspokojenie – zaproponował. – Zaraz wszystko wyjaśnię.

Wychyliła kubek rakiji jednym haustem, tak jak się tego nauczyła w Abchazji. U, mocna! Co najmniej sześćdziesiąt procent. Poczuła ścieżkę wypaloną w przełyku, a w żołądku coś w rodzaju iskrzącej świecy zapłonowej. Faktycznie pomogło. Przestała się trząść. Blask furii w jej oczach lekko przygasł. Podstawiła, żeby nalał jej jeszcze.

* * *

Dochodziła pierwsza w nocy. Zatrzymali się nieopodal mieszkania Stasi.

– Ty – Monika szturchnęła Laszlo. – Całowałeś się kiedyś z wampirzycą? Nie? To będziesz miał co wspominać...

Pocałowała, aż mu świecezki stanęły w oczach. Arminius nucił coś pod nosem.

– Pal diabli, że nie jesteś prawdziwym wampirem – powiedział. – Fajna z ciebie dziewczuszka. Tylko głupio wyszło...

– Oczywiście, że nikomu nie powiem – obiecała i dla utrzymania równowagi musiała przytrzymać się latarni.

Ech, rakija...

* * *

Stasia spojrzała przez okno.

– No i jest nasza zguba – westchnęła z ulgą.

– Ty, zobacz, całują się. – Kuzynka trąciła ją w ramię.

Alchemiczka uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Otaksowała łowcę uważnym spojrzeniem.

– Fajnie, że sobie kogoś wreszcie znalazła. Nawet niczego sobie ten jej chłopak. Ciekawe, gdzie się poznali?

* * *

Jest mroźny, grudniowy ranek. W oddali zgrzyta tramwaj. Alchemik stoi przy otwartym oknie w kuchni. Chciwie pije parzące chłodem powietrze. Każdy głębszy oddech okupić musi bólem. Ale to niebawem przejdzie. Żebra zrastają się prawidłowo.

On żyje, a tamci dostali to, na co zasłużyli. I wszystko wróciło na swoje miejsce. Tylko butów szkoda.

Spojrzał na zegarek. Już czas. Za chwilę wejdzie do pokoju i potrząśnie wiszącym na ścianie dzwonkiem. Będą trzeć zaspane oczy, a on powie:

– Wstawajcie dziewczęta. Śniadanie na stole.

Z ciemnego krakowskiego nieba zaczyna padać gęsty śnieg. Zima przyszła na dobre. Wkrótce Wigilia.